

Zatrzyma Ci akcję serca, wywoła dreszcze.  
Fabuła zostanie Ci w głowie na długo.  
Będziesz ofiarą Czornyja.

**Katarzyna Bonda**

Autor bestsellerowej  
powieści

**GRZECH**

# OFIARA

CÓŻ BOWIEM JEST WAŻNIEJSZE,  
OFIARA CZY OŁTARZ,  
KTÓRY UŚWIĘCA OFIARĘ?

Mt 23, 19

**MAX CZORNYJ**

FILIA

MAX CZORNYJ

# OFIARA

FILIA

*Pamięci mojego kochanego Dziadka,*

*Józefa Hartanowicza*

*Gdy przyzwyczajamy się lekceważyć jedno z praw natury, prawdziwą rozkosz dać nam może tylko przekraczanie ich wszystkich po kolei...Markiz de Sade Oto wy wszyscy, którzy rozniecacie ogień,którzy zapalacie strzały ogniste,idźcie w płomienie waszego ognia,wśród strzał ognistych, któreście zapalili.Z mojej ręki przyjdzie to na was:będziecie powaleni w boleściach.Księga Izajasza 50, 11*

Z fascynacją popatrzył na nagiego mężczyznę przykutego do rury ciepłowniczej. Skrępował go tak, aby był wyprostowany. Dumnie idący na śmierć. Prawdziwy święty.

Jeszcze raz sprawdził węzły i kajdanki. Musiały wytrzymać nie tylko szarpanie udreżonego ciała. Musiały wytrzymać o wiele więcej. Nie mogły ich rozerwać nawet konwulsje umierającego.

– Co ja ci zrobiłem?

Nie zwrócił najmniejszej uwagi na ruch napuchniętych, wysuszonych warg skrępowanego mężczyzny. Był zbyt skupiony. Jego myśli prowadziły własny dialog, nie zważając na nic innego.

– Jezus Maria, wypuść mnie!

Ofiara nie była w stanie się poruszyć. Wszystkie węzły trzymały doskonale. Kawał solidnej roboty. Przyjrzał się jeszcze raz, czy nie pojawiły się żadne obtarcia na skórze. Ta powinna być doskonała. Bez skazy.

Uśmiechnął się i nucąc *Te Deum laudamus*, wyszedł z pomieszczenia. Idąc korytarzem, słyszał, jak uwięziony mężczyzna szarpie się i krzyczy. Podobało mu się, że walczy o życie. Gdyby się zamknął i skupił na modlitwie, zepsułyby całą zabawę. Zresztą to było niemożliwe. Tak zachowywali się jedynie buddyjscy szaleńcy, a nie katolicki męczennicy. Wystarczy porównać tego mnicha z Sajgonu, który dokonał samospalenia, i chrześcijańskich jeńców Państwa Islamskiego. Kto bardziej ceniał życie? Kto bardziej na nie zasługiwał?

Kiedy wrócił, żałosna ofiara popatrzyła z przerażeniem w jego stronę.

– Co to jest? Co chcesz zrobić?!

Doszedł do *Tu Patris sempiternus es Filius* i z ulgą postawił na ziemi dwa wielkie wiadra. Oba wypełnione były wodą. Przeniesienie ich o kilkanaście metrów kosztowało go mnóstwo wysiłku. Głośno odsapnął, uważnie obserwując skrępowanego.

– Jak niosłem, to trochę przestygła. – Uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Nie zważając na rozpaczliwy krzyk, podniósł wiadro i się zamachnął. Musiał uważać, aby metalowy uchwyt nie wysliznął mu się z dłoni.

Wrząca woda chlusnęła na tors mężczyzny i rozbryzgnęła się wokół. Jej strumienie błyskawicznie ściekły po ciele i parując, rozlały się na podłogę.

Nigdy nie słyszał takiego wrzasku. Świdrującego, przeszywającego uszy i powracającego jęczącym echem. Mimo więzów mężczyzna drżał. Jego twarz wykrzywiła się w wyrazie bezgranicznego cierpienia, żyły nabrzmiały, a skóra natychmiast się zaczerwieniła.

Sięgnął po drugie wiadro.

Tym razem musiał wziąć większy zamach. Pochylił się i napinając mięśnie, przytrzymał kubek na wysokości ramion. Gorąca zawartość obryzgała twarz skrępowanego. Nie miał jak się wywinąć, nie miał czym się zasłonić, przesłona zaciśniętych powiek była tylko całunem dla niespodziewanego. Jego krzyk zamienił się w bełkotliwe łkanie. Wokół nosa zebrała się gęsta

wydzielina, której nie splukała woda. Również gęsta ślina pozostała przyklejona w kącikach ust.

Czas nieubłaganie płynął. Musiał natychmiast działać dalej. Podszedł do drewnianej półki na narzędzia i sięgnął po przedmiot przypominający stalowy długopis. Paczka z nim przysłała dopiero wczoraj. Zgodnie z katalogiem rękojeść o numerze K5L była *doskonale wyważona*, natomiast ostrze w typie Major miało zapewnić *najwyższą precyzję cięcia*. Skalpel zaskrzył się w świetle gołej żarówki.

Skrepowany mężczyzna wciąż kurczowo zaciskał oczy. Rzęził i płakał, trzęsąc się z bólu. Poparzone fragmenty ciała błyskawicznie puchły, nabierając intensywnie czerwonego zabarwienia.

Podszedł do niego i głęboko wciągnął powietrze. Przypalana skóra miała niepowtarzalny zapach, natomiast poparzenia najwyraźniej nie wyzwalały żadnego aromatu. Czuł jedynie woń parującej wody, odór moczu i kału. Żaloszny chłystek nie upilnował zwieraczy.

Przyłożył ostrze do jego nabrzmiałego boku. Tyle razy zastanawiał się nad techniką cięcia, ale do końca nie mógł zdecydować się na żadną koncepcję. W źródłach nie znalazł niezbędnych szczegółów.

– Błagam, nie! Proszę! O Jezu, Jezu...

Beksowaty gamoń pewnie otworzył oczy. Darcie się jak baba nie mogło niczego zmienić.

– Nie chcę umierać! Mam rodzinę!

Chciał, żeby krzyczał jeszcze głośniejsze. *Più forte*. Wbił czubek ostrza. Co prawda, nie miał dobrego porównania, ale rzeczywiście rękojeść była wyważona, a cięcie prowadziło się precyzyjnie. Znacznie dokładniej niż zwykłym nożem.

– Jezu! Dlaczego?!

Wiódł skalpel wolno, od biodra ku piersi. Skóra nie stawiała żadnego oporu. Rozwierała się, ukazując powłoki białozółtej tkanki, które błyskawicznie zalewała krew. Zmniejszył nacisk, aby nacięcie było płytsze. Przecież nie chciał, żeby mu wypłynęły flaki. Zastanawiające, czy cienka warstwa tłuszczu stanowiła jakąkolwiek ochronę? Oparł się pokusie, aby to przetestować.

Mężczyzna rozpaczliwie starał się oswobodzić, ale jego wysiłki kończyły się na delikatnych drgnięciach. Jedynie szybko poruszająca się klatka piersiowa sprawiała, że cięcie nie było idealnie proste. Panikujący skurwysyn.

– Czego ty chcesz! Odpieprz się, kurwa, odpieprz się! – Słowa zaczęły się zlewać, zamieniając się w rżący charkot. – Czzsszoo ci zrobiem!

Poprowadził skalpel przez pierś ku obojczykowi. Następnie odszedł na kilka kroków i w skupieniu spojrzał na swoją ofiarę. Krew wyciekająca z rany spływała w stronę krocza i po udzie skrepowanego. Powinien był nacinać z góry na dół. Wtedy nie rozorałby tak głęboko brzucha. Teraz już było za późno, a mężczyzna zaczynał tracić przytomność. Musiał się pospieszyć.

Szybszym, bardziej chaotycznym ruchem poprowadził symetryczne cięcie po drugiej stronie ciała. Tym razem znacznie delikatniej. Kiedy oderwał skalpel, zauważył, że mężczyzna spazmatycznie zacisnął szczęki. Z przygryzionej wargi popłynęła ciurkiem krew. Na skraju ust zawisł fragment języka.

Nie sprawdzając efektu, sięgnął po drewniany stołek. Stał na nim i z całej siły napał na niepodłączoną rurę. Po chwili konstrukcja odwróciła się i zobaczył napięte mięśnie pleców skrepowanego. Drżały i falowały jak skóra kota drapanego przy ogonie. Smród kału wzmógł się intensywnie.

– Czas na drugą stronę – wyszeptał mu do ucha. – Zaraz wracam, pójdę tylko po wiadra.

Komisarz Eryk Deryło wysiłkiem całego ciała podciągnął się, zapierając o barierkę szpitalnego łóżka. Nie mógł uwierzyć, że nie udało się pochwycić szaleńca, który nakłonił dwóch nastolatków do udziału w serii morderstw. Przecież mieli go w garści. Popisowo dali dupy na całej linii. Zbrodniarz okrzyknięty przez media Cztery Iksem wykpił się i wpakował dwóch funkcjonariuszy do szpitala. Jeden z nich do końca życia będzie kuternogą z metalowym butem zamiast stopy, a Deryło zachowa parę blizn na wieczną pamiątkę.

Wsparł się na łokciach, napinając bicepsy. Pomimo pięćdziesięciu dwóch lat wciąż był potężnym, wysportowanym mężczyzną. Na jego twarzy widoczne było jednak zmęczenie. Pod pergaminową skórą nabrzmiały żyły. Krótko ścięte włosy były zmierzwione i nieświeże, a przenikliwe spojrzenie nosiło ślady wielogodzinnego uspienia. Z wysiłkiem skupił wzrok na Brzeskim.

Aspirant stał obok jego łóżka z rękoma założonymi pod pachami, jakby było mu bardzo zimno. Przeszepował z nogi na nogę. Biorąc pod uwagę wzrost, przypominał koszykarza symulującego rozgrzewkę. Tylko że nawet na koszykarza symulanta był zbyt wątyły i chudy.

– Nie było go tam – westchnął. – Nie wiem, jakim cudem, ale przetrzasnęliśmy całą kamienicę...

Komisarz podniósł się jeszcze wyżej.

– Jak to nie było?

– Poza trupami nikogo nie znaleźliśmy. Oczywiście jest mnóstwo śladów, ale...

Deryło mu przerwał:

– Więc kogo zastrzeliliście?

Brzeski przygładził dłonią białozółte włosy. Po chwili wrócił do poprzedniej, rozgrzewającej pozycji.

– Kiedy tracił pan komisarz przytomność – odchrząknął – podbiegłem jako pierwszy. Leżał pan na podłodze, obok córki...

– Przecież wyraźnie słyszałem strzał! Widziałem, jak ten sukinsyn osuwa się na kolana.

– Oddałem strzał ostrzegawczy. Miałem wrażenie, że w lustrach widzę jakąś postać, ale to musiało być jedynie wypaczone odbicie.

– Sukinsyn uciekł.

Aspirant nie podjął tematu. Akcja w kamienicy nie była w ogóle przygotowana. Incydent w Magdalence to przy niej strategiczny majstersztyk. Nie przeprowadzono rozpoznania terenu ani żadnego wywiadu. W chaosie sytuacji kilku policjantów wpadło do kamienicy, nie mając najbledszego pojęcia, czego się spodziewać. Tylko cudem nikt nie zginął. Spaliło się pół stropu, a sześć zastępów straży pożarnej zamiast wodą oblewało Wigilię wężem gaśniczym. To nie była cicha noc.

Może powinni przyjąć, że Cztery Iksa w chwili interwencji już tam nie było? Może uciekł, nim przybyło wsparcie?

– Wspomniałeś o ciałach. – Deryło zacisnął dłonie na poręczach łóżka. – Czyich?

– Dwóch porwanych dziewcząt i Daniela Kosa. Gówniarz leżał w habicie z roztrzaskanym łbem.

– Ten złamas zabił go na moich oczach.

– I pewnie wtedy spieprzył. Miał wiele możliwości...

A więc to była już oficjalna wersja. Cztery Iks wywinął się, zanim zjawily się służby. Zamordował swojego czeladnika zbrodni i zniknął.

Brzeski, dostrzegając grymas komisarza, oparł się o brzeg łóżka.

– Złapanie księdza to tylko kwestia czasu – powiedział z naciskiem. – Cały czas nad tym pracujemy.

– A jeżeli to wcale nie był ten ksiądz?

– Wszystkie dowody wskazują na niego. Analiza Tracza też wydaje się całkiem rozsądna. Do tego badanie pisma, mnóstwo odcisków palców i innych śladów biologicznych...

– A zeznania mojej córki?

– Ani ona, ani ta druga dziewczyna nie widziały twarzy sprawcy. Zawsze miał na sobie maskę.

Wiktoria, córka Deryły, została porwana przez Cztery Iksa, którym okazał się szanowany ksiądz egzorcysta. Teraz dochodziła do siebie pod troskliwą opieką matki. Brzeski nie chciał dodawać, że druga z ocalałych kobiet, Magdalena Szus, została zgwałcona. Samego zajścia jednak nie pamiętała, tak samo jak rysów twarzy oprawcy. Była szansa, że z upływem czasu odzyska niektóre wspomnienia i uzupełni złożone zeznania. Tylko miał wątpliwości, czy dla niej nie lepiej byłoby zapomnieć.

– Są już wyniki sekcji Kosa? – zapytał chrapliwie Deryło. W ustach miał saharyjską suszę.

– Nic nadzwyczajnego. Po egzorcyzmach nie został nawet gwóźdź w żołądku.

– On podobno akurat jadał żyletki.

– Pal diabli. Tych też ani śladu.

Komisarz ciężko opadł na łóżko. Jak to możliwe, że ten śmieć mu się wywinął? Gdyby działał szybciej i uważniej, na pewno już by go dorwał. Poczul narastającą falę wyrzutów sumienia. To przez niego cierpiała jego córka. To przez niego sierżant Banach przyzwyczajał się właśnie do okrągłego kikuta.

I to przez te pieprzone leki bierze na siebie winę za wszystkie nieszczęścia świata!

Wyciągnął dłoń po butelkę wody, ale Brzeski go ubiegł.

– Pomogę panu.

– Jeszcze raz podstawisz mi to pod usta, to skopię ci dupę. – Wyrwał aspirantowi butelkę i pociągnął solidny łyk. Oczywiście się zakrztusił.

Dostrzegając spojrzenie komisarza, Brzeski nawet nie drgnął. Spokojnie odczekał, aż ten się wykaszle, i dopiero wtedy z satysfakcją podał mu chusteczkę.



– Co z tym drugim chłopakiem? – zachrypiał Deryło. – Jak on się tam nazywał?  
– Wiktor Puszke.  
– O właśnie.  
– Mamy go. Był cały czas w tej kamienicy.  
– Stawiał opór?  
– Nie.  
– Malczewski postawił mu zarzuty?  
– Oczywiście, z pełną pompą. Do tego od razu zaklepany został wniosek o tymczasowy areszt. Tylko że trudno będzie ustalić konkretną odpowiedzialność tych chłopaków... Nie wiemy, czy dokonywali mordów i jak mocno byli w to zamieszani. Do tego niezbędna będzie opinia biegłych psychiatrów.

No tak, dwóch pomocników seryjnego mordercy mogło być świrami. Skoro jeden z nich został poddany egzorcyzmom, to wiele na to wskazywało. Ostatecznie zamiast psychiatry zajął się nim patolog. A teraz chłopak stał przed Najwyższym Sędzią. Cztery Iks posłużył się nim jak zabawką, którą bez skrupułów odłączył od prądu. Klucz do rozwiązania sprawy mógł stanowić drugi z nastolatków.

Komisarz chciał jeszcze o coś zapytać, ale do pomieszczenia wszedł lekarz. Wymownie wskazał na zegarek.

– Jeszcze chwilę. – Deryło zmierzył go zirytowanym spojrzeniem. – Nie wydobrzeję, jeśli nie będę wiedział, na czym stoję.

– Pan akurat teraz leży – cierpko odparł doktor. – I to jeszcze przez parę dni.

– Do cholery, niech pan da sobie na wstrzymanie...

– To nie jest dom spotkań, tylko szpital. Musi pan odpoczywać.

Deryło miał ochotę porządnie skłąć lekarza. Zmuszając go do odpoczynku, dbał o święty spokój na oddziale, a nie o jego zdrowie. Może szpital to nie dom spotkań, ale na pewno też nie więzienie. W momencie gdy otwierał usta ze słowami riposty, ktoś pchnął drzwi wejściowe.

Nie zwracając żadnej uwagi na doktora, do sali wbiegła żona komisarza. Deryło zmusił się do uśmiechu.

DWA DNI PÓŹNIEJ

29 GRUDNIA

Kancelaria adwokata Przemysława Obarę zajmowała trzy pokoje na parterze domu wielorodzinnego. Położona nieco na uboczu, przynosiła stały, ale nieimponujący dochód. Od czegoś trzeba było zacząć. Czynnosc za lokal przy reprezentacyjnych Chopina lub Trzeciego Maja przerastał na razie jego możliwości. Może za dwa, trzy lata? Poza tym kolejna tabliczka wepchnięta w kilkusetmetrowy szpaler podobnych, choć w części już pordzewiałych, zginęłaby w tłumie. W obecnej okolicy była wprawdzie symbolicznym, ale jednak unikatem.

Praca pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem powinna dołożyć kilka złotych do rubryki szumnie nazwanej „oszczędnościami”. Standardowo większość lubelskich kancelarii była wtedy zamknięta. Chociaż ich właściciele mogli mieć rację – od rana nie miał ani jednego klienta, a całą robotę bez problemu odwaliliby w domu. Albo zamiast bezmyślnie przeglądać akta, zjadłby porządny obiad i obejrzał z żoną serial. Cała tragedia polegała na tym, że ona także była adwokatem. Oczywiście również dziś pracowała.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos otwieranych drzwi i radosne „dzień dobry” kuriera. Że też ten człowiek zawsze miał dobry humor. Ślizgał się na ledwie odśnieżonych chodnikach, taszczył wielką torbę i szczyrzył zęby jak menel do butelki. Może oprócz papierosów, których smród anonsował jego nadejście, palił coś jeszcze?

Po uprzejmej świątecznej wymianie zdań na mahoniowym biurku (które udało się wliczyć w koszty działalności) wylądowały dwie kartki z życzeniami i trzy listy. Termin rozprawy, wiadomość od klienta z aresztu i jakieś zarządzenie. Obara, znudzony, rozerwał kopertę. Jednostronicowe pismo z nieznaną mu sygnaturą sądową i śledczą wzmogło jego uśpioną czujność. Podobne niespodzianki zawsze lepiej awizować. Siedmiodniowy termin na ustosunkowanie się niejednemu wilczkowi palestry zrujnował sylwestra.

Zarządzenie z dnia bla bla... Prezes Sądu Okręgowego w Lublinie po rozpoznaniu wniosku bla bla... zarządził wyznaczyć podejrzanemu Wiktorowi Puszcze obrońcę z urzędu w osobie adw. Przemysława Obarę. Klient z urzędu zazwyczaj zwiastował nadciągający kataklizm. Jednak tym razem w głowie adwokata zakołatała nutka ciekawości. Odsunął listy na bok i sięgnął po leżący za laptopem egzemplarz gazety. Już na pierwszej stronie znalazł to, czego chciał. Sensacyjny, tabloidowy artykuł o akcji policji sprzed kilku dni. Wielkie litery tytułu od razu przykuwały wzrok.

**CZTERY IKS NADAL NIEUCHWYTNÝ!** Obara przeleciał wzrokiem po kolejnych linijkach. Wreszcie zatrzymał się na fragmencie dotyczącym rezultatów akcji.

...podejrzany Wiktor P. został ujęty w jednym z pomieszczeń na strychu kamienicy. Przy zatrzymaniu nie stawiał oporu. Prokurator natychmiast wystąpił z wnioskiem o zastosowanie tymczasowego aresztowania. Uzyskaliśmy nieoficjalne informacje, że podejrzany konsekwentnie odmawia składania zeznań. Obara się skrzywił. Wiecznie ten sam błąd dziennikarski. Podejrzany i oskarżony w odróżnieniu na przykład od świadka nie składają zeznań, ale wyjaśnienia. Czy tak trudno to zapamiętać?

To nie było jednak istotne. Wiktor P. i Wiktor Puszke to niemalże z całą pewnością ta sama osoba. Z zadowoleniem jeszcze raz przyjrzał się zarządzeniu. Właśnie takiej sprawy potrzebował. Podniecony, wybrał numer do sekretariatu sądu i podał sygnaturę.

– Zostałem właśnie wyznaczony na obrońcę z urzędu.

– No i?

Jak zwykle musiał trafić na niezadowoloną urzędniczkę. W sumie nic dziwnego. Jej nie pozostawiono wyboru, czy chce przyjść do pracy.

– Mogłaby mi pani odczytać, jakie zarzuty przedstawiono mojemu klientowi?

Zirytowane mruknięcie stanowiło jedynie cenzuralną wersję „ale pan zawracasz dupę”.

– Nie wiem, czy znajdę to w systemie. Chwileczkę.

Oczywiście. Miał czas. Zniecierpliwiony, ścisnął słuchawkę telefonu. Sekretarka odezwała się po kilkudziesięciu sekundach.

– Halo, jest pan?

– Jestem.

– Przecież to ta sprawa.

„Ta” zostało wymówione z wyraźnym akcentem. Tak jakby nie miał żadnego pojęcia o otaczającej go rzeczywistości.

– Jest kilka zarzutów, ale pierwszy to sto czterdzieści osiem paragraf dwa i trzy.

Nie podziękował za wypowiedziane z łaską słowa. Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do rządów kodeksów i komentarzy. Nie musiał sięgać po żaden z nich.

Paragraf drugi artykułu sto czterdziestego ósmego każdy adwokat zna praktycznie na pamięć.

*Kto zabija człowieka ze szczególnym okrucieństwem lub w związku z wzięciem zakładnika, zgwałceniem albo rozbojem lub w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie czy też z użyciem materiałów wybuchowych, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat dwunastu, karze dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności.*

Ot co. Paragraf trzeci dotyczył zabójstwa kilku osób.

Miał wreszcie grubą, medialną sprawę. Nieważne, że zapewne była przegrana bez smarowania mydłem. Wystarczy, że ugra choćby chwilowe zawieszenie broni, a w kryminale będą go mieli za nowego bohatera palestry. Wieści rozejdą się lotem błyskawicy. A raczej pędem kurwiania grypsery.

Nagle przyszło mu coś do głowy. W przepastnych odmętach szuflady wygrzebał kalendarz i wysypał z niego zbiór wizytówek. Adwokat, adwokat, detektyw, doradca podatkowy, adwokat... jest! Rzecznik Prokuratury Okręgowej w Lublinie była jego dawną znajomą. Nic wielkiego, ale z całą pewnością nie odeśle go z kwitkiem.

Wybrał numer, odczekał kilka sygnałów i się przywitał. Nie miał obmyślanego toku rozmowy, ale od konieczności zobaczenia się sprawnie przeszedł do swojego celu. Po kilku zdaniach wiedział, że mu odpowie.

– A ten Robert W. ma już obrońcę?

Deryło dwa razy zaglądał do sali, w której leżał sierżant Banach, i dwa razy zastał go pogrążonego w głębokim śnie. W dniu wypisu udał się tam po raz trzeci, ale wokół łóżka stali kobieta i dwójka dzieci. Nie miał odwagi spojrzeć im w oczy. Rodzina Banacha musiała zionąć do niego nienawiścią. Ukradkiem obserwował, jak rozmawiają, wreszcie ruszył do wyjścia, gdzie czekała taksówka. Zabronił urządzania hucznych powrotów, rozwieszania baloników i towarzystwa zbiorowej asysty.

Na parkingu pod blokiem zobaczył nieoznakowaną skodę. Doskonale znał jej numery rejestracyjne, podniesione, niedawno reperowane zawieszenie i zmęczonego funkcjonariusza w środku. Ukradkiem skinął mu głową. Ta symboliczna ochrona wcale go nie uspokajała. Nie żeby miał coś do jej kompetencji, ale to siedziało gdzieś w środku. Przez kilka dób spędzonych w szpitalu nie było chwili, kiedy nie czułby łapy niepokoju zaciśniętej na żołądku. Nawet w śnie dopadały go jedynie koszmary.

– Musicie wyjechać – zakomunikował, wchodząc do mieszkania.

Jego żona dała mu powitalnego całusa i nie zwracając uwagi na deklarację, przytuliła się. Była elegancką, smukłą blondynką o tym sposobie starzenia, który określa się uszlachetnieniem. Przynajmniej on to tak nazywał.

– Będziesz tu z nami... – szepnęła, jeszcze mocniej do niego przywierając. – Nie martw się.

– Od jutra wracam do roboty. Muszę mieć czystą głowę.

Rozejrzał się po mieszkaniu.

– Gdzie Wiki?

W tym momencie jego córka wyszła z pokoju i uśmiechnęła się do niego.

– Jak się czujesz, tato?

Widział, jak bardzo wymuszony jest jej uśmiech i jak bardzo zmieniło ją kilka ostatnich dni. W oczach wciąż tkwiła czujność osoby głęboko skrzywdzonej. Po prawie ćwierćwieczu pracy w policji znał to spojrzenie zbyt dobrze. Do tego chorobliwa bladość i nerwowość ruchów zdradzały, że pomoc psychologa przynosi efekty zbyt wolno. Tylko że w tym wypadku „wolno” również było sukcesem. Najważniejsze, że całkiem się nie rozsypała.

Komisarz bez słowa podszedł do córki i ją przytulił. Przeczesał jej gęste włosy, tak jak to robił wiele lat temu. Poczuł, że do oczu napływają mu łzy, ale ich nie powstrzymywał. Uczucie kojącej ulgi rozlało się po całym jego ciele. Po raz pierwszy od dawna uścisk na żołądku zelżał.

– Pojedźcie do Ełku – oznajmił, wyprostowując się. – Dzwoniłem już do ośrodka

policyjnego i potwierdziłem dla was miejsce. Jest na tyle duży, że nikt nie zwróci na was uwagi, a do tego to dość daleko od Lublina, żebym się nie martwił.

Ewa przybrała surową minę.

– Jakbyś nie pamiętał, to ja pracuję.

– Wezmiesz urlop, zwolnienie, cokolwiek. To żaden problem.

– Nie możesz przewrócić całego życia do góry nogami!

Deryło podszedł do żony. Nie był specjalistą od gaszenia domowych pożarów, ale tym razem nie dopuszczał sprzeciwu.

– Nie tylko mogę, ale muszę – wycedził. – Nie rób z tego problemu. Ledwo uratowałem córkę, ledwo posklejałem swoje życie, więc proszę, nie rób problemu!

– Powinienes tu z nami zostać. To wszystko.

– Powinienem dorwać tego sukinsyna.

Zobaczył, że Wiktoria, ocierając oczy, wycofała się do swojego pokoju. Zrobił krok za nią, ale w tym momencie zadzwonił domofon. Rzucił wymowne spojrzenie żonie i sięgnął po słuchawkę.

– Aspirant Brzeski. Chciałem tylko zapytać, czy wszystko gra, komisarzu?

– Właż na górę.

Nacisnął przycisk otwierania drzwi klatki schodowej i odwrócił się do żony.

– Nie chcę, żebyś mnie źle rozumiała. Jeśli mam mieć czystą głowę, musicie wyjechać.

Ewa odwróciła się i poszła do salonu. Komisarz został w przedpokoju sam na sam ze swoim wkurwieniem. Po chwili rozległo się pukanie, drzwi otworzyły się i do środka wszedł Brzeski. Z uśmiechem spojrzał na Deryło.

– Chciałem odebrać komisarza ze szpitala, ale powiedzieli mi, że się spóźniłem.

– Wziąłem taksówkę. Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję. – Aspirant pokręcił głową. – Wracam do roboty, przyszedłem tylko się przywitać.

– Zobaczyc, jak bardzo mam skopaną dupę?

– Już tego nie widać.

– Będziemy stać w przedpokoju? Zapraszam na kawę. Albo jeszcze lepiej na coś mocniejszego. W końcu powroty ze szpitala wypada świętować.

W sumie nie potrzebował baloników, ale mały toast nie mógł zaszkodzić. Brzeski zamiast uśmiechnąć się, przygryzł usta. Deryło od początku widział, że coś go gnębi.

– Wyduś to z siebie – mruknął, idąc do kuchni.

– Słucham?

– No, wyduś to z siebie. Widzę, że masz wielką gulę w gardle.

Brzeski, ociągając się, ruszył za komisarzem.

– Komendant główny chce pana przenieść – mruknął posepnie.

Przemysław Obara wykonał kilka telefonów i z zadowoleniem spoglądał w ekran komputera. Do ulubionych zakładek dodał strony znanych mu najważniejszych serwisów informacyjnych i gazet. Jak dotąd wszystko poszło zadziwiająco gładko. Mimo niewielkiego doświadczenia poznał już trochę sztuczek balansujących na krawędzi etyki i nie miał skrupułów, aby ich użyć. Kiedy siostra Roberta Wolskiego dowiedziała się, że Obara reprezentuje z urzędu Wiktora Puszkę, zawnioskowała o wyznaczenia go na obrońcę dla brata. Po tym, jak zamordował niewinnego podejrzanego o porwanie swojej żony, zawisła nad nim groźba długiej odsiadki. Mimo powiązania spraw nie zachodziła sprzeczność interesów, więc adwokat ochoczo przystał na ten układ. Dzięki sprytniej manipulacji wyszło na to, że Wolski praktycznie sam się do niego zgłosił. Udało mu się więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. I to tego samego dnia. Kiedy dostał telefon, że prokurator zamierza przesłuchać Wolskiego, zatarł ręce z radości. Wreszcie miał pretekst do ruszenia się sprzed komputera.

Dwie godziny później był w ponurym gmaszysku prokuratury. Przez ten czas obmyślił całkiem solidną taktykę na początek sprawy. Nie było pośpiechu. Potrzebował czasu na przejrzenie akt, na rozmowę z klientem, na zapoznanie się z materiałem dowodowym.

– Chce pan chwilę na osobności?

Prokurator Malczewski wychylił się z gabinetu. Jak zwykle w idealnie skrojonym garniturze i z widoczną kaburą pod marynarką. Pieprzony pozer.

– Oczywiście.

Obara pozwolił się poprowadzić do pokoju przesłuchań i z niecierpliwością czekał na sprowadzenie klienta. Z przyzwyczajenia spodziewał się łysego dresa z bliznami pozostałymi po trądziku. W końcu najczęściej taki model człowieka spotykał w tym pomieszczeniu.

Drgnął na odgłos otwieranych drzwi. Ku jego zdziwieniu w progu stanął trzydziestokilkulatek o fizjonomii potulnego niedźwiedzia. Zarośnięta twarz, krótko ścięte włosy, a do tego inteligentne spojrzenie nie pasowały do utartego obrazu mordercy. To był pierwszy plus. Kolejny będzie, jeżeli dopasuje się do jego planu.

\*

Rozpoczęli formalne przesłuchanie. Do niewielkiego pomieszczenia poza Obarą i Wolskim wcisnęli się jeszcze Malczewski i dwóch policjantów.

– Czynność jest rejestrowana przez kamerę wideo. – Prokurator zerknął na zegarek. –

Rozpoczęto o czternastej pięćdziesiąt trzy.

Wolski z kamienną twarzą wysłuchał pouczeń i podał wymagane dane osobowe. Kiedy prokurator Malczewski chciał rozpocząć merytoryczne przesłuchanie, zabębnił palcami w biurko.

– Korzystam z prawa odmowy odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania – oznajmił.

– Odmawia pan odpowiedzi? – Prokurator zerknął na Obarę.

– Tak, mój klient nie będzie dziś odpowiadał.

– Ale przyznaję się, że załatwiłem tego gnoja – wtrącił Wolski.

– Zaraz, zaraz. – Malczewski był wyraźnie zirytowany. – Przyznaje się pan do zarzucanego czynu?

– Przyznaję, że wbiłem nóż w serce tego kutasa.

– Czyli przyznaje się pan do zabójstwa?

Wolski wymienił spojrzenie z adwokatem i skinął głową.

– Proszę to powiedzieć.

– Tak, przyznaję się.

– Może pan opisać wszystko po kolei?

Wolski założył ręce pod pachy.

– Jak powiedziałem, nie będę odpowiadał na pytania, ale to jedno chcę wyjaśnić.

– Słucham. – Prokurator nerwowo poruszył się na krześle.

– Kiedy mnie zobaczył, przyznał się do tego, co zrobił. Czasem jest tak, że nie potrzeba żadnych słów. Po prostu się wie. Patrzy pan, prokuratorze, na przesłuchiwanego i wie, że jest winny. Widzi pan to po mnie, prawda?

Malczewski nie odpowiedział, więc Wolski ciągnął dalej.

– Wystarczyło, że stałem w kitlu i czekałem, aż się wybudzi. Wiedziałem, że tego dnia był już przytomny. Kiedy otworzył oczy, nie zobaczył mnie. Stałem w nogach łóżka. Najpierw popatrzył po suficie, potem pomrukał jak cholerne dziecko i dopiero po pewnym czasie utkwiał wzrok we mnie. Nie odezwał się nawet słowem.

Wolski potarł wierzchem dłoni zarośnięty podbródek. Popatrzył po policjantach, po Malczewskim, wreszcie skierował spojrzenie na Obarę. Ten pokrzepiająco pokiwał głową.

– Niech pan mówi dalej – pospieszył go prokurator. – Słuchamy uważnie.

Wolski zacisnął pięści, ale się nie poruszył. Kontynuował tym samym ożywionym tonem.

– Bałem się, że będzie wzywał pomocy, ale on się tylko kpiąco uśmiechał. Rozumiecie, co to jest pieprzony kpiący uśmiech? Kawał sukinsyna. Nie mogłem czekać. Nie mogłem znieść tego cholernego uśmieszku ani sekundy dłużej. Nóż, który miałem ze sobą... – cmoknął i oblizał usta. – Tyle razy zastanawiałem się, jak to zrobić. Nie spodziewałem się, że z taką łatwością przebije żebra i młażnie gdzieś o organy wewnętrzne. Słyszałem, jak każdy cios gruchocze kości, i sprawiało mi to największą ulgę. Nie wyobrażacie sobie, jaka to pierdolona ulga! Krew, która rozbryzgiwała się wokół, tylko mnie nakręcała. I nie, nie żałuję.

Mężczyzna zamilkł. Otarł pot z czoła i głośno wypuścił powietrze. Sprawiał wrażenie człowieka, który ukojony odchodzi od konfesjonału. Dostał rozgrzeszenie i starał się zapamiętać, ile zdrowasiek ma zmówić.

– Dlaczego pan go zamordował? Chciał pan wyładować emocje? Nieważne, na kim, byle się lepiej poczuć?

Obara szturchnął Wolskiego, powstrzymując go od odpowiedzi.

– Oskarżony już o tym mówił – odezwał się za niego. – I mówił też, że nie odpowie na pytania prokuratury.

– To kuriozalne.

– To pańska interpretacja.

Prokurator przeniósł wzrok z adwokata na Wolskiego.

– Taką wersją nie polepsza pan swojej sytuacji – powiedział lodowatym tonem. – Zabójstwo z premedytacją. Do tego dokonane ze szczególnym okrucieństwem na osobie, która nie mogła się bronić.

Wolski jeszcze mocniej zacisnął pięści. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał się zerwać i rzucić na prokuratora.

– On był winny – wycedził.

– Słucham?

– On był winny.

– Nie mamy nawet cienia wątpliwości, że nie był zamieszany w porwanie pańskiej żony.

Wolski z ironicznym uśmiechem pokręcił głową.

– Nic nie rozumiecie.

– Jeszcze raz powtarzam, że ten człowiek nie miał z tym nic wspólnego. Mamy jednego z podejrzanych, mamy motyw i sporo mocnych dowodów.

– Nie wierzę. Ten sukinsyn przyznał się mi, że porwał moją żonę.



Magdalena Szus opuściła szpital na własne żądanie. Nie chciała, żeby rodzice po nią przyjeżdżali, nie chciała rozmów z własnym facetem, a przede wszystkim nie chciała psychologa. Wpakowane do głowy idiotyczne frazesy nie mogły jej pomóc. Czuła się jak dziwka. Chociaż to też nieprawda. Dziwki czuły się znacznie lepiej, bo nie przeszkadzało im rozkładanie nóg. Boże! Nie powinna już o tym myśleć. Nie powinna starać się przypomnieć sobie niczego więcej. W głowie tkwiły jej jedynie ból, strach i ciemność. Zupełnie jakby wszystko zdarzyło się w cholernie realnym, ale zapomnianym rano śnie. Tylko że tak nie było. To była rzeczywistość. Dobitnie świadczyły o tym ból każdego milimetra ciała i całodniowe wymioty po tabletkie „siedemdziesiąt dwie po”. Przynajmniej nie zdążyli jej jeszcze kompletnie zdelegalizować. Tylko czy to robiło jakąś różnicę? Wszystko ma jakiś sens, jak pocieszała ją psycholog. Piękny frazes.

Nawet opuszczenie szpitala na żądanie nie było proste. Pilnujący jej policjanci zaprosili ją na formalne przesłuchanie na komisariacie. Skoro czuła się zdrowo, mogła zeznawać. Kiedy wydusili z niej tyle przeszłości, ile pamiętała, pojawiły się pytania o przyszłość. Podróż do Jasła, jeszcze tego samego dnia, była najwyraźniej wyjątkowo nie po ich myśli. Jeszcze bardziej nie po myśli była jej rodzicom. Wysłuchała kilkuminutowej awantury, odrzuciła prośby i błagania, potwierdzając, że wkrótce ma bus. Absolutnie nie zamierzała czekać, aż ojciec po nią przyjedzie. Tym bardziej że dopiero wczoraj wrócili do Jasła. Przez trzy dni czuwali przy jej łóżku, jakby razem ze spermą wiano w nią ostatnie stadium nowotworu.

– Proszę pani! – usłyszała, kiedy wychodziła z komisariatu. Biegł za nią młody, szczupły policjant.

– Szef kazał mi panią odwiedzić – powiedział zakłopotany.

– Jadę prosto na dworzec.

– W takim razie jestem do dyspozycji.

Było jej wszystko jedno. Rodzice zostawili jej akurat tyle pieniędzy, że starczy na bilet. Na nic więcej nie potrzebowała. Pochwaliła się w myślach za stanowczość, ale cała poza runęła, gdy wsiadła do auta. Tak samo jak wtedy. Zapadła się w fotelu, myśląc, że zaraz go usłyszy. *Tu się mnie nie spodziewałaś*. Wyraźnie pamiętała te słowa i oddech na karku. Z trudem złapała powietrze. Musiała się uspokoić, przecież to tylko złudzenie.

Szeroko otworzyła oczy i policzyła w myślach do dziesięciu. Właśnie wyjeżdżali z parkingu.

– Ma pan papierosa? – wybełkotała.

Policjant spojrział na nią w lusterku. Najwyraźniej nie zauważył, co się z nią dzieje.

– Nie palę. Chociaż... zaraz, zaraz. Sierżant często zostawia swoje dymki w schowku.

Nie spuszczać wzroku z drogi, wygrzebał kilka kubków po kawie, a za nimi pomiętą paczkę winstonów i zapalki.

– O, proszę.

Podał je kobiecie, jednocześnie spotykając się z nią spojrzeniem w lusterku.

– Proszę palić, nie ma problemu.

Otworzyła okno i zapaliła papierosa. Lodowate powietrze wpadło do środka razem z pojedynczymi płatkami śniegu. Nawet nie drgnęła. Od wielu lat nie paliła, ale nie czuła ani drapania gardła, ani uspokojenia. Równie dobrze mogła wciągać czyste powietrze. Wyrzuciła prawie całego papierosa, ale zaraz wzięła kolejnego. Może ten jej pomoże? Może ten ją uspokoi? W panice sięgnęła do torebki. Psycholog zapisała jej jakieś leki, ale chyba zapomniała zażyć dzisiejszej dawki. A jeśli ją brała?

– ...i wtedy będziemy – dobiegł ją głos policjanta.

Znalazła opakowanie i wytrząsnęła z niego kilka tabletek. Połknęła je, nie myśląc o popijaniu.

Nawet nie zauważyła, kiedy wjechali na teren dworca. Policjant lawirował pomiędzy rzędami autobusów, wreszcie zatrzymał auto przy jednym z ostatnich stanowisk. Na płycie stał mały, kilkunastomiejscowy bus. Mężczyzna wychylił się, aby zobaczyć tabliczkę przy przedniej szybie.

– Zgadza się. Prosto do Jasła. Zgodnie z rozkładem do odjazdu zostało jeszcze prawie dwadzieścia minut.

Magdalena Szus apatycznie spojrzała na pojazd. Jak zwykle ta trasa nie była zbyt oblegana. Do tego w okresie pomiędzy świętami a Nowym Rokiem ruch praktycznie zamierał. Większość podróżnych wsiadała dopiero w Rzeszowie. Kurs z Lublina musiał przynosić jedynie symboliczny zysk, pozwalający na wykazanie dochodowości połączenia. Przynajmniej nie będzie miała problemu ze znalezieniem miejsca.

– Usiądę z tyłu – powiedziała sama do siebie.

Policjant jedynie skinął głową.

– Z tyłu będę wszystko widziała.

– Niech pani będzie spokojna.

– Nie zaskoczy mnie.

Nerwowo zamrugła i powtórzyła to kilkukrotnie. Dopiero kiedy policjant położył dłoń na jej ramieniu, otrząsnęła się. Wyprostowała palce i spojrzała na ślady otarć po węzłach. Szybko obciągnęła rękawy.

– Przepraszam. Chyba czasem tracę kontakt z rzeczywistością.

Policjant uśmiechnął się pokrępiąco i wrzucił ramionami.

– Jest pani bezpieczna. Komenda w Jasle wydzieliła ludzi, którzy będą panią obserwować przez całą dobę. Proszę się tego nie przestraszyć. Czekają już pewnie na dworcu, a później nieraz zobaczy ich pani pod swoim oknem.

– Podejrzewacie, że on może chcieć...

– Złapiemy go – zapewnił funkcjonariusz. – Może mi pani zaufać.

Bus był jeszcze zupełnie pusty, więc mogła wybrać dowolne miejsce. Przynajmniej tyle szczęścia. Uznała, że najlepsza będzie tylna kanapa. Przez chwilę rozważała jeszcze pojedynczy fotel przy oknie, ale przesądziła możliwość obserwowania całego pojazdu. Dodatkowy pozór bezpieczeństwa. Możliwość, że patrzyłby na nią ktoś, kogo sama nie widzi, napawała ją strachem. Albo raczej obrzydzeniem. Zresztą obrzydzenie było w ostatnich dniach jej głównym odczuciem. Obrzydzenie do siebie, do innych, do miejsc, do własnych myśli...

Położyła małą torebkę na brzegu kanapy, odsunęła siedzenie przed sobą i włączyła nadmuchi. Potrzebowała powietrza. Wspomnienie mdłego zaduchu dławilo ją.

Z dwudziestozłotówką w dłoni poszła w stronę kierowcy.

– Do Jasła, poproszę.

Mężczyzna, zajęty wydłubowaniem brudu spod paznokcia, nawet na nią nie spojrział.

– Później zbiorę. Mam jeszcze wyłączone kasę.

Magdalena, nie wdając się w dyskusję, wróciła na miejsce. Otuliła się kurtką i spojrzała za okno. Sympatyczny policjant stał obok radiowozu. Nachylał się ponad otwartymi drzwiami i mówił coś do nadajnika. Pomiędzy dworcowymi stanowiskami przemykali pasażerowie, zajęci wyszukiwaniem swoich połączeń. Wszyscy z walizkami lub torbami, większość z biletami kurczowo trzymanymi w rękawiczkach. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Nikt nie obserwował busa ani nie przystanął, udając wiązanie butów. Leki zaczynały działać i kobieta się uspokajała. Intensywny, ale ciepły nawiew przyjemnie rozwiewał jej włosy. Mogła przekręcić gałkę na niebieskie pole, lecz się rozleniwiła. Tak było dobrze. Nie sądziła, że powiew powietrza na karku kiedykolwiek będzie jeszcze dla niej przyjemny.

Kierowca zamknął mechaniczne drzwi. Najwyraźniej znudzony czekaniem, nie liczył już na żadnych pasażerów. Po chwili zarządził silnik pojazdu i bus powoli ruszył. Magdalena Szus kątem oka zobaczyła, że policjant odwrócił się i pomachał w jej stronę. Sympatyczny gest. Sympatyczny człowiek.

Gdyby nie telepanie zawieszenia na progach spowalniających i to, że walnęła głową o szybę, zasnęłaby. Powieki ciążyły jej jak rolety, którym wydano polecenie opuszczenia. Z trudem powstrzymała ten impuls. Przeciągnęła się i poruszyła głową. Mięśnie karku wciąż paliły.

Sięgnęła do torebki i wyjęła telefon. Policja trafiła na niego przy przeszukiwaniu kamienicy, w której ten potwór przetrzymywał ją przez tyle dni... Wszelkie ślady zostały już zdjęte, więc mógł wrócić do właścicielki. Wybrała numer. Z obrzydzeniem dotykała klawiszy, które przesiąkły tamtym miejscem. Klawiszy, których być może i on dotykał.

– Wszystko w porządku? – Jej matka odebrała niemal od razu. Była zła, zatroskana i przestraszona. Może niedokładnie w tej kolejności.

– Już jadę – zebrała się na jak najspokojniejszy ton. – Nie martw się. Policja odwiozła

mnie pod sam bus.

– O której będziesz?

– Zgodnie z planem po szesnastej. Ale...

Ugryzła się w język. Nie, nawet nie będzie mówić, że może być opóźnienie, bo tylko bardziej ich zmartwi. Co będzie, to będzie.

– Ojciec po ciebie wyjedzie. Daj znać, jak będziesz dojeżdżać. W ogóle dawaj znać co chwilę...

– Dobrze, już dobrze, mamo.

– Powinien był po ciebie przyjechać do Lublina.

Znowu to samo. Najlepiej, jakby dostała całodobową ochronę. Poza tym policja w Jasle ponoć została powiadomiona.

– Nie martw się, mamo. Niedługo się widzimy, teraz chwilę odpocznę.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. Przymknęła oczy. Oparła głowę o szybę i wzięła kilka głębokich oddechów. Radio grało tak głośno, że o spaniu nie było mowy, ale chciała przez chwilę się odprężyć.

Nagle kątem oka zobaczyła wysoką postać w ciemnych szatach. Była tuż obok. Na wyciągnięcie ręki. Otaczała ją poświata migoczącego blasku świec. Zbliżała się, mierząc ją lodowatym spojrzeniem i wyciągając ku niej kościste dłonie. Wyraźnie widziała blade palce zakończone długimi, nierównymi paznokciami. Palce, które niedawno ją dotykały.

Otworzyła oczy.

Jechali obwodnicą. Zamrugwała, patrząc na monotonną powierzchnię ekranów dźwiękochłonnych. Rozluźniła napięte mięśnie i głośno odetchnęła. Tak jak poleciła jej psycholog. Skupiła się na tym, gdzie jest, na miękkości fotela i chłodzie szyby. W ten sposób miała łagodzić jakiegokolwiek napływające wspomnienia.

Po kilku kilometrach bus skręcił i zjechał na wąską drogę pomocniczą. Wreszcie, podskakując na wyboistej, pokrytej lodem żuźłowce, minął barierę ekranów. Wokół były pokryte śniegiem pola, za którymi ciągnął się ponury las.

Kobieta poczuła powracający niepokój. Być może wariowała, ale to nie mógł być objazd. Coś było nie tak.

– Przepraszam! Halo!

Głośno nastawione radio zagłuszało jej słowa. Właśnie rozbrzmiewały ostatnie tony *November rain* Guns N' Roses. Wychyliła się z rzędu siedzeń.

– To chyba nie jest droga na Jasło? – prawie krzyczała.

Kierowca odwrócił się i spojrzał na nią z szerokim, drapieżnym uśmiechem.

– Ale my wcale nie jedziemy do Jasła.

Brzeski wrócił do mieszkania styrany jak koń po orce. Mimo że śledztwo po Deryle formalnie przejął komisarz Lipski, to na jego barkach wylądował główny ciężar harowy. Skoro tkwił w sprawie od samego początku, oczekiwano, że będzie znał odpowiedź na każde pytanie. A to był hurraoptymizm. Mógłby siedzieć na komisariacie przez całą dobę, ale obawiał się, że z każdą chwilą jest jedynie bliższy udaru. Poza tym cała machina służb, techników, analityków i ludzi dziesiątek innych specjalności wykonywała swoją robotę. Wystarczyło, że on będzie pod telefonem. Przezornie nastawił dzwonek na pełną głośność.

Wszedł do mieszkania i zdjął zaśnieżone buty. Odstawił je starannie na sam środek wycieraczki.

– Jesteś? – rzucił w stronę salonu.

Nie otrzymał odpowiedzi. Zaniepokojony, zerknął do środka, ale pomieszczenie było puste.

– Kochanie?

Szybko minął kuchnię i wszedł do sypialni. Jego żona leżała zwinięta na łóżku. Łkała.

– Co się stało?

Zrzucił na krzesło płaszcz i siadł obok niej. Delikatnie dotknął jej ramienia. Kobieta wybuchła jeszcze głośniejszym płaczem.

– Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Odwróciła się do niego i rozmazując makijaż, otarła oczy. Smutno pokręciła głową. Bez słowa wyciągnęła rękę i położyła mu coś na kolanie.

Test ciążowy. Przyjrzał się wynikowi. Znowu negatywny.

Na głowie miał wystarczająco dużo spraw, aby mogły stłumić burzę przetaczającą się przez życie prywatne, lecz nie dopuszczał do tego. Nie dla siebie, nie dla własnych marzeń, ale dla marzeń tej zrozpaczonej kobiety. Może chciała dziecka nieco bardziej niż on, może zbyt naciskała, tylko czy mógł mieć jej to za złe? Decyzję podjęli wspólnie, wspólnie powinni cierpieć. Przynajmniej miał takie poczucie.

– To nic takiego. – Przyciągnął ją do siebie i przytulił. – Jest jeszcze mnóstwo czasu.

– Mam trzydzieści pięć lat i wcale nie mam mnóstwa czasu.

Kobieta położyła głowę na jego udzie.

– Pójdziemy znów do tej lekarki – szepnął pokrzepiająco. – Ostatnie wyniki były przecież całkiem dobre.

– I to jest właśnie najgorsze. Wszystko miało być dobrze!

Poczuł, że Alicja znowu zalewa się łzami i dygocze. Nie mógł nic wymyśleć. Odkąd zdecydowali się postarać o dziecko, skończyć z zabezpieczeniami i dać się ponieść przeznaczeniu, minął ponad rok. Rok rozczarowań, wątpliwości i złudnych nadziei. Na świecie pełnym niechcianych ciąży oni nie mogli mieć dziecka. Badania nie wykazywały żadnych odchyłeń od normy, żadnych stanów zapalnych ani najmniejszych zaburzeń w strukturze

plemników. Jedynym zaczepieniem był minimalnie przekroczony poziom prolaktyny u jego żony. Ironia losu. Jeszcze kilka miesięcy temu powiedziałaby, że to składnik mleka lub nazwa środków odchudzających.

– Zobaczmy. – Poglądził ją po głowie. – Sama słyszałaś, że mamy być dobrej myśli.

– Słyszę to od pół roku.

– Musimy być cierpliwi. Nadmiar przyjemności nam przecież nie grozi.

Uśmiechnął się do niej, ale wiedział, że tym jej nie pocieszy. Sam też był coraz bardziej zdenerwowany. Zawsze chciał być ojcem, ale dopiero od niedawna uświadomił sobie jak bardzo. Wizja zabawy z dziećmi, uczenia ich i wychowywania nadawała życiu głębszy sens. Dzięki niej życie przestawało być jedynie okresem przejściowym pomiędzy urodzinami a śmiercią. Dawała przyjemną nadzieję na pozostawienie po sobie czegoś trwalszego.

– Pozwól mi poleżeć samej.

Kobieta zsunęła się z jego uda i podciągnęła pod brodę koc.

– Nie chcę, żebyś była sama. Nie płacz już.

– Proszę cię, zostaw mnie – powiedziała stanowczo. – Zaraz mi przejdzie, ale daj mi chwilę z sobą samą. Tylko chwilę.

– Jak chcesz.

Pocałował ją i wyszedł z sypialni. Miał sobie coś odgrzać, ale nie był dość głodny. Powiesił płaszcz, zdjął garnitur i poszedł do salonu. Wciąż słyszał cichy, rozpaczliwy płacz. Wściekała go własna bezsilność. Rzucił się na wersalkę i włączył telewizor. Jak zwykle nastawił go na tyle głośno, żeby zagłuszał niechciane myśli. Odruchowo zmieniał kanały, ale wszędzie były reklamy. Zerknął na zegarek. Za trzy piąta. Przełączył na jedynekę, akurat kiedy leciał spot o pampersach. Prześmieszny zbieg okoliczności. Pchnął pilot na brzeg wersalki i położył się. Z zamyślenia wyrwały go rytmy czołówki Teleexpressu. Kolejny dzień najważniejszą sprawą wałkowaną w mediach były poszukiwania księdza.

*Sześćdziesięciosiedmioletni Józef D., okrzyknięty przez media Cztery Iksem, wciąż pozostaje nieuchwytny. Policja prosi o kontakt wszystkich, którzy mogą mieć informacje na temat miejsca jego pobytu.* Na ekranie wyświetlił się portret pamięciowy mężczyzny. Szczupła, gładko ogolona twarz i siwe włosy nadawały mu wygląd leciwego pocziwca. Okrągłe okulary – na Lennonie symbol hippisostwa – w tym przypadku stanowiły gadżet intelektualisty. Jedynie cienki, orli nos dodawał klasycznym rysom drapieżności. Po chwili pokazano zdjęcie księdza w sutannie, ale było słabej jakości. Brzeski doskonale pamiętał jego spojrzenie. Inteligentne, uważne, a do tego hipnotycznie przenikliwe. Nie było jednak w nim nic natrętnego. Nie było zadziorności spojrzenia chłopaczków spod budki z piwem. Raczej matowa pustka kogoś głęboko zadumanego.

Zdjęcie zastąpił wycinek z konferencji Renaty Krzyżanowskiej, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Lublinie.

*Otrzymujemy bardzo dużą ilość informacji, każdą z nich traktujemy poważnie. Wszystkim gwarantujemy anonimowość.* Nie taką dużą. Kilka zgłoszeń od ludzi, którzy znali księdza osobiście, kilka telefonów od zblazowanych życiem emerytów – i to wszystko. Teoretycznie znalezienie księdza powinno być tylko kwestią czasu. Powiadomione zostały już służby z całej Europy, czujnie obserwowano przejścia graniczne, lotniska i porty. Z tym że on wcale nie musiał uciekać. Miłosz Tracz, zaprzęgnięty do współpracy profiler, upierał się, że zabójca zostanie w okolicy miasta. Był gotów zaryzykować swoje marne wynagrodzenie, obstawiając taki scenariusz. Nikt jednak nie był w nastroju się z nim zakładać.

Do rzeczywistości przywołał go dzwonek telefonu. Natychmiast odebrał. Przez chwilę słuchał, wreszcie poderwał się z wersalki i pobiegł do przedpokoju.

– Już jadę – rzucił, chwytając płaszcz. – Szlag by to!  
Alicja, słysząc odgłos otwieranych drzwi, schowała głowę w poduszkę.

– Muszę tu być z powodu strzelaniny czy przenosin do Opolu?

– A jak pan myśli, komisarzu?

Psycholog spojrział na Deryłę zza szkieł okularów.

– Nic nie myślę. Perspektywa pracy w Opolu Lubelskim przeraża mnie, ale dam sobie radę. Mówiłem, że nie potrzebuję tego spotkania.

– Wie pan, że takie są procedury.

– Procedura jest taka, że muszę to mieć w papierach. Dlatego proszę o podpis i zaoszczędźmy sobie wzajemnie czasu.

– A jeżeli pan wyjdzie i odbije panu, komisarzu?

– Czy ja wyglądam na wariata? Myśli pan, że wyjdę stąd i będę podawał się za Napoleona?

– Nie każdy wariat podaje się za Napoleona.

– W ogóle dlaczego miałoby mi odbić? W tym momencie sugeruje pan, że...

– Niczego nie sugeruję. Musi pan jednak zdać sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji własnych przeżyć.

– O czym pan mówi?

– Najczęściej jest to pogorszenie nastroju, a nierzadko nawet depresja. Policyjna robota i depresja to nie jest dobre połączenie.

Deryło głośno westchnął.

– Facet i kozetka to nie jest dobre połączenie.

– Czy to nie stereotyp?

– Pyta pan z ciekawości czy rozpoczyna terapię?

Psycholog uśmiechnął się. Deryło siedział po drugiej stronie biurka na wygodnym fotelu. W gabinecie nie było ani leżanki, ani obrazów z niezrozumiałymi podtekstami. Po bokach dwie szafy, biblioteczka i wieszak, a za psychologiem wielkie okno. Widok za nim można by różnie interpretować. Całą panoramę zasłaniała ściana sąsiedniego budynku pokryta kolorowym graffiti. Przedstawiało herb Motoru Lublin, więc komisarz miał uzasadnione wątpliwości co do jego diagnostycznego kontekstu. Pacjenci ze Świdnika pewnie dostawali tu spazmów.

– Płacą panu za milczenie? – rzucił po dobrej minucie ciszy. – Wypadałoby mi tylko powiedzieć, że zazdroszczę.

– Złości to pana?

– Jezus Maria.

– Dlaczego odczuwa pan złość, komisarzu?

Deryło odruchowo sięgnął po swoją szczęśliwą monetę. W szpitalu obawiał się, że ją zgubił, ale jak zwykle odnalazła się w którejś z kieszeni. Szczęście szczęśliwej monety.

Wyciągnął ją i obrócił między palcami. Przed godziną niemal siłą wpakował żonę i córkę do pociągu do Ełku, niewiele wcześniej dowiedział się, że chcą go przenieść na prowincję, a ten



mu mówił, że odczuwa złość. Do tego w ministerstwie wszczęto postępowanie w sprawie akcji z Wigilii. Kurwa mać.

- Nie jestem zły – mruknął. – Jestem, mówiąc kolokwialnie, wkurwiony.
- A jaka jest dla pana różnica? – grzecznie dopytał terapeuta. – Czy to nie synonimy?
- Powiedziałbym, że złym jest się na coś lub na kogoś.
- A wkurwionym?
- Wkurwiony jestem po prostu. Ot tak.
- Musi być pan cierpliwy.

Deryło schował monetę. Obawiał się, że zaciskając pięść, przełamie ją na dwie części.

- A to niby dlaczego?
- Bo zgodnie z rozporządzeniem musimy spotkać się co najmniej trzy razy.

O psia mać. Tego nie wiedział.

– Te szajbusy piszące rozporządzenia sami powinni pochodzić na terapię. Poza tym być może już jutro będzie pan musiał odwiedzać mnie w Opolu.

– Nie ma sytuacji bez wyjścia, panie komisarzu. Jeżeli będzie potrzeba, moja pomoc jest bezterminowa.

– Pieprzone trzy razy. – Deryło z irytacją pokręcił głową. – A jeżeli z góry powiem, że na pierwsze dziesięć pytań odpowiadam „tak”, a na kolejne dziesięć „nie”?

– To panu powiem, że pierwsze pytanie dotyczy skłonności homoseksualnych.

To mu się udało. Kiedy miał pogratulować ciętego języka, poczuł wibrację komórki. Przez chwilę się zawahał, wreszcie wyciągnął ją z kieszeni. Dzwonił Brzeski.

– Muszę odebrać – powiedział usprawiedliwiającym tonem i odwrócił się w stronę biblioteczki. Przyłożył telefon do ucha.

- Ostatnio przynoszę same gówniane wiadomości – usłyszał stłumiony głos aspiranta.
- Przyzwyczajam się. O co chodzi?
- Ta dziewczyna, którą udało nam się uratować...
- No?
- Odstawiliśmy ją na dworzec, prosto pod busa.
- Prawidłowo.
- Tylko że nigdy nie dotarła do domu.

– Jest pan na zwolnieniu, komisarzu – posterunkowa Nowak powiedziała to z wyraźną dezaprobatą.

– I co z tego?

– Powinien pan odpoczywać, regenerować się...

Starał się nie słuchać wywodów służbistki. Maszerowała przy nim jak kompania honorowa odprowadzająca trumnę. Prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, zebrane do tyłu blond włosy, brak makijażu i kwadratowa szczęka dopełniały rytmicznego kroku.

– A jak by miał pan po drodze stłuczkę?

– Przyjechałem taksówką.

– Potknął się pod wejściem do komendy i złamał nogę?

Jezus Maria. Zaraz wymieni mu wszelkie możliwe nieszczęścia, z tsunami i plagami egipskimi włącznie. A miał to głęboko w dupie. Nie obchodziło go, że jest na zwolnieniu. ZUS mógł zrobić kontrolę, minister go zwolnić, a Malczewski aresztować, ale nie zamierzał siedzieć bezczynnie. Pchnął drzwi do biura, w którym rezydował Brzeski. W środku kłębiło się sporo osób pochłoniętych dyskusją. Na jego widok zamilkli.

– Co ja, nosiciel eboli, że się tak rozchodzicie?

Szkapowaty, niezgrabny okularnik w stopniu sierżanta podsunął mu krzesło.

– Jest pan komisarz na zwolnieniu...

– A co to kogo obchodzi? Urwało mi nogi, że nie mogłem tu dojść?

– Ja tylko...

Sprawę uratował Brzeski, który uściśnął mu serdecznie rękę. Tylko że on również miał ponurą minę.

– Sprawę przekazano komisarzowi Lipskiemu.

To pachniało już odsunięciem od służby. Przenosiny do Opola miały być najwyraźniej formą dyscyplinarki.

– W takim razie gdzie jest Lipski?

– Niedawno wyszedł. Podpisał wszystkie papiery i pojechał na spotkanie z Malczewskim.

– Dobrze mieć krytą dupę.

– Nic dziwnego. Z ministerstwa pospieszają nas jak cholera.

– No to do roboty. – Deryło żwawo podszedł do sporego biurka. – Co mamy?

Przez chwilę nikt się nie odezwał, ale kiedy Brzeski podsunął komisarzowi plik kartek, pomieszczenie wypełnił szum rozmów. Jedynie posterunkowa Nowak z wyraźną dezaprobatą pokręciła głową. Deryło przełożył strony. Raport policjanta, który odwoził Magdalenę Szus, protokół jej zeznań, kilka zdjęć spalonego pojazdu.

– To bus, do którego wsiadła – wyjaśnił jeden z sierżantów.

– Ustaliliście, do kogo należał?

– Został skradziony spod szpitala na Jaczewskiego. Należał do firmy transportującej

pacjentów. Sprawca nie zastanawiał się nad ryzykiem, chociaż zmienił tablice rejestracyjne.

– Jakim cudem tam wsiadła? Przecież odwoził ją ktoś od nas?

Z głębi pomieszczenia wynurzył się zmieszany małolat. Na oko Deryło dał mu dwadzieścia lat, chociaż zapewne był nieco starszy. Na twarzy miał grymas Kłapouchego z bajki o Kubusiu Puchatku.

– To byłem ja... – jęknął jeszcze żałośniej, niż wyglądał. – Widziałem jak wsiada... Czekałem do momentu, aż bus odjedzie.

– A widziałeś kierowcę?

– Nie. Stałem od drugiej strony, ale z przodu pojazdu była tabliczka. Napisana flamastrem z nazwą miejscowości.

– Czyli nie odstawała od ogólnych standardów.

Żart okularnika nikogo nie rozbawił.

– Jutro mamy mieć raporty z logowań nadajników BTS – mruknął Brzeski. Kłapouchy z ulgą wycofał się do swojego kąta. – Sprawdzamy nagrania z monitoringu placu, ale to na nic. Jedyna kamera obejmująca to stanowisko nagrywa od strony wsiadających. Poza tym w szybie wszystko się odbija.

– Może wyszedł na papierosa albo coś.

Aspirant pokręcił głową.

– Pilnował się. Podjechał prawie pół godziny wcześniej, jakby wiedział, że zaraz odstawimy tę dziewczynę. Nie mam pojęcia, jakim cudem zdołał się o tym dowiedzieć. Zacząłem nawet podejrzewać podsłuch...

Deryło głośno sapnął, opierając się o blat biurka. Ból szwów na boku zaczął promieniować aż do pasa. Łokieć też musiał opuchnąć, bo nie mógł wyprostować ręki. Sięgnął do kieszeni, smagnął palcami srebrną monetę i wyjął ketonal.

– Coś nie tak, komisarzu?

– Aż zbyt wiele.

Łyknął tabletkę i się wyprostował.

– Załatwi ją – obwieścił ponuro. – Raz zdołaliśmy mu przeszkodzić. Ale teraz jest podwójnie wkurwiony.

Napracowali się solidnie, a zrobili niewiele. Brzeski z ulgą pozwolił Deryle skoordynować działania całego zespołu i lojalnie odsunął się na drugi plan. To mogło się udać do czasu, aż nie wypłynie wyżej. Ani Komenda Główna, ani ministerstwo, ani nawet prokuratura nie mogły się dowiedzieć, że znalazł się na komisariacie. A to było niewykonalne.

Kiedy Deryło uznał, że jest zbyt zmęczony, aby cokolwiek poradzić, minęła już dwudziesta pierwsza. Tabletki przeciwbólowa zaczęła działać i poczuł się dość dobrze, by pospacerować. Miał cholerną ochotę na bezmyślny spacer. Zaczepnął mroźnego powietrza, poprawił kołnierz płaszcza i sięgnął po telefon. Wybrał numer Ewy. Odebrała niemal od razu.

– Co u was słychać? – odezwał się, przechodząc na drugą stronę ulicy. – Nie macie jeszcze kolacji?

– Już jesteśmy po – odparła lodowatym tonem. – Byłyśmy głodne po podróży.

– Była chociaż znośna?

– Szwedzki stół, niezły wybór, nie można narzekać. Ale nie widziałam ani kawioru, ani krewetek.

Najważniejsze, że nie była już wściekła. Umówili się, że to wszystko potrwa najdłużej kilka dni. Tylko co zrobi, jeśli nie dorwie tego sukinsyna? Wolał podtrzymać neutralny temat rozmowy.

– Wielu gości?

– Sporo. Ośrodek szykuje się na sylwestra i przyjechało tu wiele par z całej Polski. Jest taki zwyczaj, że tę jedną noc w roku spędza się wspólnie.

– No tak...

Wigilia w robocie, Boże Narodzenie w szpitalu, a sylwester spędzony oddzielnie.

– Chciałbym, żebyśmy...

– Sam nam tu kazałeś jechać. – Ewa nie pozwoliła mu skończyć.

Zbaczali w niebezpieczne rejony.

– Kilka dni i wszystko się skończy. Przynajmniej nie mam spraczkę, że coś wam się stanie.

– Nie wspomniał, że ucisk żołądka też nieco zelżał. – Jak się czuje Wiki?

– Środki działają. Ma zmienny nastrój, ale jakoś sobie radzimy.

– Ucałuj ją.

– Jasne. Wiesz, czy sprawa ruszyła do przodu?

– Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że się cofamy. Byłem dzisiaj na komendzie i...

Chciał się wygadać, ale Ewa odsunęła telefon od ucha i zamieniła z kimś kilka słów.

– Muszę kończyć – odezwała się po chwili. – Wiki wykupiła stół bilardowy i chce zagrać.

– No to pozostaje mi życzyć miłej zabawy. Uważajcie na siebie...

Cmoknęła w słuchawkę i się rozłączyła. Dobrze im zrobią takie wakacje. Kilkudniowe oderwanie od lubelskiej codzienności, do tego w całkiem przyjemnym miejscu. Chwile spędzone z córką, po prawie półrocznym niewidzeniu. Szkoda, że bez niego.

Poszedł ulicą w dół, w stronę alei Solidarności. Szedł powoli, pochylony, osłaniając się od szczypiącego wiatru i zmarzniętych płatków śniegu. Ślizgał się na oblodzonym chodniku, co chwilę łapiąc równowagę. Kiedy dotarł na przystanek przy placu Litewskim, zerknął na tablicę odjazdów. Miał dwa wyjścia: czekać na autobus, który przyjedzie dopiero za dwadzieścia minut, albo wziąć taksówkę. Neon dostrzeżony kątem oka zdecydował, że wybrał trzecią możliwość. Ruszył w stronę baru.

30 GRUDNIA

Głuchy trzask łamanej kości doleciał z głębi mieszkania. Deryło, okryty sennym przytępieniem, pogładził poduszkę. Kuchnia? Raczej nie. Przedpokój? Pewnie mop do podłogi obsunął się po ścianie. Tak się zdarzało. Żadne moce nieczyste nie miały z tym nic wspólnego. Po prostu napięcia ścian budynku, elektrostatyka, ewentualnie siły tarcia i tyle. Czuł, że to jednak coś innego. Tak jak czasem się czuje, że lepiej schować stopę pod kołdrę, bo niezidentyfikowane zło może chwycić za kostkę.

Otworzył oczy i zamarł.

Serce przerzuciło tyle krwi, że w jego rytmie rezonowały też żebra.

Ktoś stał w progu sypialni. Kątem oka Deryło dostrzegł wyraźny zarys wysokiej, nieludzko wysokiej sylwetki. Była wyższa od drzwi i wchodząc do pomieszczenia, musiała się pochylić. Chciał się natychmiast zerwać z łóżka, ale jego ciało nie zareagowało. Czuł się, jakby grawitacja wbiła go w materac i okryła betonową kołdrą. Był sparaliżowany.

Ciężko dysząc, analizował sytuację. Co się, do cholery, dzieło z jego ciałem? Skoro nie mógł się poruszyć, musi udawać śpiącego. Wtedy zachowa jakąkolwiek przewagę. Dusząc się, uciszał oddech. Powoli, spokojnie, raz, dwa, trzy...

Dopiero wtedy dostrzegł, że za pierwszą postacią do sypialni wchodzi ktoś jeszcze. W mroku pomieszczenia z trudem rozróżniał ich kontury. Jeszcze raz spróbował się poruszyć, ale zdobył się jedynie na drgnięcie dłoni. Gdyby udało mu się wyprostować rękę... W szafce nocnej miał paralizator. W przeciwieństwie do bohaterów filmów broń służbową trzymał zazwyczaj na komendzie. Rzadko przynosił ją do domu, a wtedy korzystał z małej szafy pancерnej. Teraz tego żałował. Abstrahując od tego, że szafa była ukryta w drugim kącie sypialni i zanim by do niej dopadł, minęłaby cała wieczność.

Postacie intensywnie dyskutowały w progu pomieszczenia. Szeptały i wiły się, ale nie mógł dosłyszeć ani jednego słowa. Nagle jakby podjęły jednogłośnie decyzję i odwróciły się w jego stronę. W jakimś refleksie świetlnym zrozumiał, dlaczego pierwszy z włamywaczy jest tak wysoki. Miał założony duży, spiczasty kaptur. Taki sam, jakie przed wiekami nosili niektórzy bracia zakonni. Albo członkowie Ku Klux Klanu.

Postacie zbliżały się w stronę łóżka. Przemieszczały się niespiesznie, pewne, że śpi. Wysiłkiem całej woli udało mu się naprężyć mięśnie prawej ręki. Mógł nią poruszyć, ale miał wątpliwości, czy zdoła szybko sięgnąć do szafki. Dzielilo ich pięć, może sześć kroków.

Zobaczył, że sylwetka w kapturze ściska w dłoni zakrzywiony przedmiot. Przełknął ślinę. Wiedział, co to jest. W blasku nocy zalśnił pieprzony, gigantyczny sierp.

Cztery kroki.

Musiał zaryzykować. Napiał mięśnie i skoncentrował się na precyzji ruchu. Szuflada była tuż obok.

Trzy kroki.

Wysoka postać uniosła wysoko swoją broń. Zakrzywione ostrze zaraz miało runąć prosto

na niego.

Dwa kroki.

Wstrzymując oddech, chciał przekręcić się na bok, ale jego tułów ani drgnął. Jedyne prawa ręka oderwała się od łóżka i załapała za uchwyt szuflady. Zaskoczony napastnik znieruchomiał na ułamek sekundy, po czym zrobił ostatni krok.

Deryło podniósł pistolet i wycelował w chwili, kiedy sierp opadał ku jego piersi.

Wystrzelił.

Jednocześnie z hukiem strzału zrobiło się jasno. Obudził się, czerpiąc ustami powietrze. Musiało być już dość późno, bo do pomieszczenia wpadało światło słoneczne. Niedowierzając swoim zmysłom, tym razem zamrugał i uderzył się w policzek. Odczuwał ból, więc na pewno nie śnił. Do tego rana na brzuchu pulsowała, obmywając go z resztek snu. Wieczorny spacer najwyraźniej nie wyszedł mu na dobre. Odwrócił się na bok. W fotelu przy łóżku siedziała półnaga dziewczyna.

Magdalena Szus otworzyła oczy. Przez chwilę tępo patrzyła w ceglany mur, lustrując nierówne szpachle pokruszonego cementu. Wspomnienia ostatnich wydarzeń gwałtownie zalały jej umysł. To nie był tylko zły sen. Zakaszła i poczuła, jak jej przelyk oblepia odór zgnilizny i wilgoci. Odwróciła się.

Znajdowała się w dużym, niewykończonym pomieszczeniu. Z sufitu zwisała pojedyncza nieokryta żarówka. Rzuciła słabe światło na wielki, drewniany stół stojący pośrodku. Po drugiej stronie blatu rozścielone zostało poplamione prześcieradło. Zapewne okrywało krzesła, zabezpieczając je przed wilgocią i kurzem.

Kobieta zadrzała. Przejmujące zimno razem ze strachem rozlało się po jej kościach. Dopiero wtedy zauważyła, że na prawej nodze ma zaciśniętą stalową obręcz przytwierdzoną do długiego łańcucha. Jego ostatnie ogniwo oplatało sztabę umieszczoną w murze. Podczołgała się i chwyciła ją obiema dłońmi. Szarpnęła z całej siły, ale zaczep ani drgnął. Nawet o milimetr Obróciła się i go kopnęła. Efekt był taki sam jak przed chwilą. A może? Zdawało się jej, że odkruszył się kawałek cegły. Kopnęła jeszcze raz. Tym razem sztaba na pewno się poruszyła. Energicznie wymierzyła kolejne kopniaki.

Nagle zza trzasków dobiegł ją odgłos kroków.

Nim zdążyła się wyprostować, On był już w pomieszczeniu.

– To żelastwo jest przyłączone do metalowego zbrojenia w murze – powiedział spokojnie.

– Nawet jeżeli skujesz całą ścianę, nie uwolnisz się. Jesteś głodna?

Postawił na stole talerz z parującym kawałkiem mięsa.

– Łańcuch jest chyba za krótki. Nie dosięgniesz?

Kobieta cofnęła się pod samą ścianę.

– Czego ode mnie chcesz? Kim jesteś, do diabła?

Rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby czegoś szukał, ale nagle zrezygnował.

– Jeszcze nikim – wyszeptał. – Choć to się niedługo zmieni.

– Wypuść mnie. Proszę!

– Nie mogę.

– Boże, dlaczego to robisz?

– Jesteś mi bardzo potrzebna.

– Do czego? Nie mogę ci w niczym pomóc!

– Nie chcę twojej pomocy – odparł, patrząc jej prosto w oczy. – Razem sprofanujemy ten świat. Wywrócimy wszystko do góry nogami. Właśnie tak.

Gwałtownie pociągnął róg prześcieradła i rzucił je na podłogę. Płótno zafalowało, odsłaniając pozabawione skóry, okrutnie oszpecone zwłoki. Były przywiązane liną do krzesła. Głowa z kępkami włosów opadała na pierś, rzucając posępny cień na kawałki mięsa, ścięgien i tłuszczu.

Wokół rozniosła się jeszcze intensywniejsza woń zgnilizny.



– Zobacz, oto nasz pierwszy biesiadnik!

Kobieta wpadła w niepohamowaną panikę. Podkuliła nogi i szybko, niekontrolowanie kręciła głową. Jej dłonie zacisnęły się kurczowo, wbijając paznokcie w delikatną skórę.

– Wypuść mnie, proszę! – Wybuchła histerycznym płaczem. – Błagam cię, błagam! Dlaczego to robisz? O mój Boże!

Klnąc, podszedł do niej szybkim krokiem. Spokój w jednej chwili uleciał z jego oblicza. Kobieta zwinęła się, drżąc spazmatycznie. Była pewna, że chce ją uderzyć.

– Nadal nie wiesz, co tutaj robisz? – zapytał, charcząc. – Nie wiesz?

Złapał ją za ramiona i podniósł do klęczącej pozycji. Jego dłonie zacisnęły się na kruchej szyi kobiety.

– Bądź dumna – syknął. – Jak głosi Pismo, oto wybrałem cię na zwiastunkę radości.

Deryło zerwał się na równe nogi.

– Co, do jasnej cholery?

Nie pamiętał wczorajszego wieczoru, ale to była jakaś chora abstrakcja.

– Kim ty, do cholery, jesteś?

– Nie pamiętasz?

Był na ty z dwudziestokilkuletnią gówniarą. Zapowiadało się fatalnie. Starał się wydobyć jakieś przebłyski wspomnień, ale natychmiast powstrzymał go okropny ból głowy.

– Co my... Skąd się tu wzięłaś?

– Jeszcze kilka godzin temu byłeś znacznie miłszy. Jak wszyscy faceci.

Spojrzał na jej rude kręcone włosy, zielone oczy i długą szyję. Jędrne piersi zamiast pożądania wzbudziły w nim odrazę. Był zbyt pewny siebie. Zrobił w życiu wiele złych rzeczy, ale nigdy nie zdradził żony. Nigdy nawet nie dopuścił do tego, by cień podejrzeń mógł paść na jego psią wierność. Rodzina była świętością, której strzegł pilniej niż prawa. Nawet w okresie, kiedy pasmo sukcesów wbiło go w poczucie samozadowolenia, nigdy nie stracił zainteresowania bliskimi. To była kwestia zasad.

Przypomniał sobie Roberta Wolskiego i dziewczynę, która zwabiła go na spotkanie. Do tej pory nie rozumiał motywu. Szaleniec zapłacił panience, żeby publicznie przelizała się z mężem porwanej kobiety. Podłe bydło.

Wściekłość rozplynęła się po jego ciele.

Zerwał się z miejsca, momentalnie dopadł do dziewczyny i złapał ją za gardło. Zacisnął dłoń z całej siły, czując, jak jej tchawica się ugina.

– Znam to! – wykrzyczał jej prosto w twarz. – Kim jesteś, co? Kto cię tu przysłał, do kurwy nędzy?

Dziewczyna charczała, starając się go odepchnąć, ale nie miała dość siły. Jej twarz z każdą sekundą stawała się coraz bardziej czerwona. Powoli rozluźnił uścisk.

– Odpowiadaj, do cholery!

Zakaszłała, łapiąc z trudem powietrze.

– Odpowiadaj!

Głos uwiązał jej w gardle. Deryło puścił ją i wściekły uderzył dłonią o ścianę.

– Przepra... Przepraszam – wyjąkała. – Nie zrobiłam nic złe...

– Kim jesteś?

– Twój kolega... zapłacił mi.

– Za co?

– Miałam wejść i powiedzieć ci... jak się obudzisz, że... się przespaliśmy. Taki dowcip, tylko tyle.

– Kto to był?

– Nie wiem, przysięgam, że nie wiem! – Mówiła szybko, zasłaniając piersi rękoma. –

Zapłacił mi, dał mi pieniądze, kiedy wyszłam z klubu. Pracuję w klubie. To było dość pieniędzy, żeby się nie zastanawiała. Boże. Przywiózł mnie tutaj i zaprowadził do mieszkania...

Deryło ciężko dyszał. Nie miał powodu, aby nie wierzyć dziewczynie. Sięgnął po zawieszony na oparciu krzesła bluzeczkę i stanik. Rzucił je w jej stronę.

– Ubieraj się.

Odwróciła się z niezrozumiałą dla Deryły wstydlivością.

– Jak on wyglądał?

– Miał maskę karnawałową. Mówił, że to dlatego, żeby się nie wygadała, kto zrobił dowcip. Przysięgał, że nie będziesz nic dzisiaj pamiętać...

– Opisz go bardziej szczegółowo.

– Ale nie wiem jak!

– Określ go, do cholery. Postura, sposób chodzenia, głos...

Dziewczyna wyjęła włosy spod bluzki. Zamknęła oczy, chcąc wyostrzyć pamięć. Z jej oczu popłynęły łzy.

– Był średniego wzrostu, raczej szczupły. Mówił bardzo niskim głosem, jakby był zakatarzony... W ogóle używał niewiele słów. Jak wyciągnął forszę, nie musiał więcej tłumaczyć.

– W jakim był wieku?

– Nie wiem, naprawdę trudno mi powiedzieć. Może czterdzieści, może nie. Poruszał się dość powoli, ale to chyba dlatego, że przeszkadzała mu maska. Często poprawiał ją palcem i przesunął, jakby chciał nasunąć ją na oczy.

Deryło prężnym krokiem przeszedł do przedpokoju. Nie mógł już patrzeć na tę małą naiwną zdirę.

– Idź już – powiedział, otwierając drzwi. – Spieprzaj stąd, zanim stracę cierpliwość.

Powoli odzyskiwał trzeźwość myślenia. Nie było sensu ciągać młodej kurewki po przesłuchaniach. Z całą pewnością nie powiedziałaaby niczego więcej. Do tego on sam by się skompromitował. Po raz kolejny. Doskonale rozumiał, że sprawa wkroczyła na parszywie osobisty grunt pomiędzy nim i Cztery Iksem. Znaleźli się na jednym boisku, a on już nie miał przy sobie piłki. W sumie nie miał jej od samego początku.

Wtedy uświadomił sobie, że kobieta, która miała uwieść Wolskiego, po paru dniach była już trupem. Nie miał wątpliwości, że teraz dzieje się coś podobnego. Rzucił się do drzwi i wypadł na klatkę. Gdzieś niżej usłyszał kroki.

– Stój! Zaczekaj!

Przeskakując po kilka stopni, popędził na dół.

– Stój!

Kiedy zbiegł na kolejne piętro, sąsiadka z sekty moherowych beretów zmierzyła go zaskoczonym spojrzeniem. Nic dziwnego, był prawie nagi. Cicho zaklął, zdając sobie sprawę, że dziewczyna zdążyła już wyjść. Podeszedł do okna i się rozejrzał. Przed klatką schodową nie było nikogo. Na chodnikach obok też nie. Szlag!

Z głupawą miną przeszedł obok starowinki i wrócił do mieszkania. Ubrał się i wypił czarną, mocną kawę. Na śniadanie nie miał najmniejszej ochoty. Niewiele z tego rozumiał. Ten szalenciec miał bez wątpienia pokręcone podniety. W jego chorej głowie powstał obraz niemożliwy do odtworzenia przez zdrowego człowieka. Tak to sobie przynajmniej tłumaczył.

Może powinien o tym porozmawiać z własnym psychologiem? Wisielczy humor nie był w stanie go pozytywnie nastroić. Śmianie się z samego siebie nigdy mu nie wychodziło. Do tego ta dziewczyna. Po pierwsze był wściekły, że nie ostrzegł jej, nie rzucił chociażby słowa przestrogi. Po drugie był wściekły, że się nie opanował. Po raz pierwszy rzucił się na kobietę. Do tego niewiele brakowało, a na podduszeniu by się nie skończyło.

Łyknął ketonal i zszedł do samochodu. Gdyby wczoraj nie wziął taksówki, wróciłby pewnie prosto do domu. Zbieg okoliczności czy zмова? Miał wrażenie, że zaczyna mu odbijać. Fakty, na pozór kuriozalne, mogły mieć jakieś znaczenie. A może rzeczywiście tak było?

Mimo fatalnych warunków na drodze i bólu głowy złamał wszystkie zakazy. Do komendy dojechał w niecały kwadrans przy akompaniamencie RMF Classic i *Lotu Walkirii* Wagnera. Zupełnie jak kawaleria powietrzna w *Czasie Apokalipsy*. Wiedziony złym przecuciem, wziął broń służbową i kaburę. W depozycie nikt nie robił problemu, że tkwił na przymusowym zwolnieniu.

Starając się nie rzucać w oczy, przeszedł głównym korytarzem w stronę pokoi u podnóża schodów.

Zastanawiał się, czy Miłosz Tracz jest w biurze. Profiler większość czasu spędzał na uczelni i w bibliotekach, ale tym razem miał szczęście. Deryło wparował do jego klitki, właśnie kiedy ten zbierał się do wyjścia.

– Tylko mi nie mów, że jestem na zwolnieniu – uprzedził go. Chyba nie przeszli na ty, ale teraz miał to w głębokim poważaniu. – Zajmę ci chwilę.

– Jasne.

Krótką odpowiedź rudzielca wprawiła go w lepszy nastrój. Żadnego marudzenia, żadnego wykręcania się. Przyszedł do niego z konkretną sprawą.

– Byłeś w mieszkaniu tego księdza? – zapytał bez ogródek.

Tracz przygładził brodę i wskazał na fotel. Najwyraźniej spodziewał się dłuższej rozmowy.

– Nie byłem, ale obejrzałem wszystkie nagrania. Komisarz Lipski stwierdził, że nie będę już potrzebny.

– A jest jeszcze coś do dodania o sprawcy?

– O każdym człowieku można mówić bez końca.

– Chodzi mi o to, czy po tej chorej akcji masz nowe przemyślenia.

– Sprawdziła się większość naszych przypuszczeń – profiler powiedział z wyraźnym zadowoleniem. – Poza tym przekazałem raport aspirantowi Brzeskiemu. Jestem pewien, że...

– Tak, tak, mówił mi.

Deryło machnął ręką, jakby to było już nieważne. Przez chwilę milczał, zastanawiając się, czy nie popełnia błędu. Nawet jeżeli, to musiał zaryzykować.

– Czy mogę liczyć na dyskrecję?

Tracz przyjrzał mu się uważnie.

– Oczywiście – odpowiedział po chwili. – Oczywiście, komisarzu.

Nie wiedział dlaczego, ale zaufał mu. Być może podświadomie miał nadzieję, że opowieść o wydarzeniach z poranka pozwoli na stworzenie doskonalszego portretu psychologicznego. Co z tego, że nie wierzył w profilowanie? Tonący brzytwy się chwyta. Streścił swoją pobudkę i oczekiwał jakiegokolwiek reakcji. Nagany? Sarkazmu? Sam nie wiedział czego. Tymczasem Tracz w milczeniu wyciągnął z kieszeni marynarki notatnik. Przez chwilę wertował go, coś czytał, wreszcie znowu spojrzął na Deryłę.

– I nie obudziło pana, komisarzu, że ktoś włazi panu do łóżka? – spytał z niedowierzaniem.

No tak. Tego mu nie wyjaśnił.

– To długa historia, ale chyba wczoraj dorzucono mi coś do piwa. Niewiele pamiętam.

– Pił pan?

– Byłem w barze.

– Czyli pił pan.

– Nie tyle, żeby mieć dziurę w pamięci i popieprzone sny.

– Zwrócił pan uwagę na sny?

Nie było w tym nic dziwnego. Nigdy nie śnił tak intensywnie.

– Były wyjątkowo... powiedzmy: plastyczne.

– A wcześniej? Co pan robił przed pójściem do baru?

– Przyjechałem do komendy, chciałem pomóc Brzeskiemu. Ten sukinsyn musiał mnie śledzić, odkąd wyszedłem. Tylko skąd wiedział, że na zwolnieniu przyjadę do roboty? Skąd ten kutas wiedział, że mieszkam sam?

Tracz zerknął na jego rękę, poszukując wzrokiem obrączki.

– Moja żona wyjechała na urlop – wyjaśnił pospiesznie komisarz.

– Aha.

– Aha co?

– Coś mi w tym nie pasuje – mruknął profiler. – Sprawca, którego poszukujemy, już raz

zagrał w podobny sposób. Pamięta pan, że podesłał dziewczynę Wolskiemu. Do tej pory nie bardzo wiem dlaczego. Chociaż w mieszkaniu księdza znaleźliśmy bardzo interesujące zdjęcie.

– Jakie?

– Całującego się Wolskiego. Zrobione ewidentnie z ukrycia.

– No tak. – Deryło wzruszył ramionami. – Sam dostrzegłem podobieństwo. Inaczej cały rano bym się zastanawiał, czy nie uwiodła mnie jakaś barowa dupodajka.

– I to mi właśnie zupełnie nie pasuje. Cztery Iks był we wszystkim diabelnie nowatorski. Nawet jego morderstwa nie miały ze sobą wiele wspólnego. Ten chory umysł imaginował jeszcze bardziej pokręcony świat. Nie wyobrażam sobie, żeby było w nim miejsce na duplikaty.

– Do czego zmierzasz?

Tracz się zasępił.

– Wygląda to tak, jakbyśmy trafili na naśladowcę.

Jasne, że był człowiekiem małej wiary, ale na to nie starczało nawet rozumu. Nie skończyła się jedna sprawa, a zabójca miałby już swojego plagiatora? Bardziej prawdopodobne, że od początku działał wspólnie z większą liczbą osób, niż sądzili. Poza tymi dwoma główniarzami mógł być ktoś trzeci. Chociaż absolutnie nic na to nie wskazywało. To nie była jakaś pieprzona sekta, ale zagubieni, być może chorzy psychicznie nastolatki, zmanipulowani przez szaleńca. No dobra, przyznał z niechęcią, czyli jednak sekta.

Myśli wyżymały mu mózg jak mokrą szmatę. Ketonal działał, ale ciągle czuł się przytępiały i skołowany. Ani szybka jazda, ani głośna muzyka nie były w stanie go w pełni oprzytomnić. Zaparkował bezpośrednio przed główną bramą i wysiadł. Okryty śniegiem cmentarz nie sprawiał tak ponurego wrażenia jak zlany deszczem w trakcie świąt zaduszynek. Było w nim nawet coś bajkowego. Przede wszystkim brak dzikich hord tropiących w amoku kwater krewniaków.

Powoli przeszedł część wojskową i wyciągnął telefon. Czy na cmentarzach nie było zakazu korzystania z komórek? Nieważne. Przecież i tak wszyscy mieliby to w dupie. Długo się przed tym wzbraniał, ale nie mógł być tchórzem. Wybrał numer i skręcił w alejkę pomiędzy wysokimi świerkami. Płatki śniegu spadające z drzew przylepiały się do jego płaszcza.

– Słucham? – Sierżant Banach odebrał po kilku sygnałach.

– Mówi Deryło.

No tak, starczyło mu weny tylko na tyle. Od czego powinien zacząć? Od tego, jak cholernie mu przykro? Czy od zapytania, jak się żyje bez nogi? Mógł też wspomnieć, że Oscar Pistorius zdobył medale olimpijskie, biegając na parze kikutów. Potem dobrze by było dodać, że w takim razie Banach jest w dwa razy lepszej sytuacji. Cha, cha. Śmialiby się do rozpuku...

– Dobrze pana słyszeć, komisarzy! – Sierżant zaświergotał całkiem hardo jak na swój stan. – Jak się pan czuje?

– Nie ma co rozmawiać o mnie. Powinienem zapytać o to samo.

Banach westchnął.

– Ponoć wszystko jest na dobrej drodze. Powoli zaczynam się przyzwyczajać.

– Lekarze wspominają, kiedy opuścicie swoje szpitalne gniazdko?

– Prawdopodobnie po Nowym Roku. Można by szybciej, ale ordynator pojechał na narty, a reszta się boi. Mnie tam się specjalnie nie spieszy.

I co miał mu teraz powiedzieć? Nienawidził takich rozmów. Frazes przeplatał się z banałem.

– Ważne, że wszystko jest na dobrej drodze.

– Staram się tak myśleć. – Banach zawiesił głos. – Myśli pan, że znajdzie się dla mnie praca choćby w archiwum?

Takiego pytania się nie spodziewał. Przynajmniej odpowiedź przyszła mu łatwo.

– Jeżeli tylko będziecie chcieli, sierżancie, to jestem o tym przekonany.

– Pasowałoby mi to.

Deryło przeszedł pomiędzy oblodzonymi nagrobkami i przystanął. Musiał przytrzymać się granitowego krzyża, bo podłoże przypominało lodowisko. Zdążył akurat w samą porę.

– Muszę kończyć – powiedział, zniżając głos. – Proszę przyjąć ode mnie najlepsze życzenia zdrowia...

Chciał powiedzieć powrotu do zdrowia, ale to było niewykonalne. Człowiek nie pajak, stopa nie odrośnie.

– Jeszcze jedno, panie komisarzu.

– Tak?

– Niech pan wie, że to nie pańska wina. Dzisiaj wysłałem osobistą notatkę, w której przyznałem, że zlekceważyłem pańskie rozkazy.

Deryło mocniej ścisnął telefon.

– Przecież to nieprawda – wydusił, zaskoczony. – Dobrze wiemy, że...

– Panie komisarzu. – Banach przerwał mu chyba po raz pierwszy w życiu – Wiemy, że pan jest świetnym kryminalnym, a ja nie mam stopy. To jest jedyna prawda. Musi pan wrócić do sprawy i dorwać tego szaleńca.

Sierżant pożegnał się i zakończył połączenie. Deryło poczuł ucisk w klatce piersiowej. Zaczerpnął głęboko powietrza, starając się opanować. W tym momencie trumna z ciałem Marty Wolskiej została wyniesiona z kaplicy cmentarnej. Tuż obok, w asyście policji, włókł się Robert Wolski. Deryło ciężko westchnął. Na starość zaczynał się robić cholernie wrażliwy.



Komisarz Deryło zatrzymał się przed drzwiami obklejonymi policyjną taśmą. Komunikat *Zabezpieczono przez Komendę Wojewódzką Policji w Lublinie* nie robił na nim wrażenia. Rozerwał wstęgę i nacisnął klamkę. Pozbawiony mechanizmu zamek ustąpił bez problemu. Wszedł szybko na górę i zatrzymał się przed kolejnymi drzwiami. Tym razem miał znacznie mniej szczęścia. Te po naciśnięciu klamki nawet nie drgnęły. Deryło wyciągnął z kabury starego P-83 i obrócił go w dłoni. Wiele razy namawiano go do wymiany pistoletu na glocka albo walthera, ale przez lata służby przyzwyczał się właśnie do tego kształtu. Poza tym P-83 sprawiał wrażenie znacznie solidniejszego od młodszych konkurentów.

Zamachnął się i uderzył ręką w klamkę. Skrzywił się, kiedy metaliczne brzęknięcie ścisnęło mu mózg. Bez względu na tępy ból musiał działać dalej, musiał wejść do środka i... No dobra. Na tym koncepcja się kończyła. Plan został zarysowany bardzo ubogo. Jego jedynym pewnym elementem było to, że musi działać szybko. Po drugim uderzeniu klamka wygięła się, a po kilku kolejnych odpadła. Deryło wyszarpał jej obudowę i wsunął palec w mechanizm zamka. Kilkudziesięcioletni system zapadek łatwo się poddał i z kliknięciem rygła drzwi odskoczyły od framugi.

Bez zbędnych sentymentów wszedł do środka. W powietrzu czuć było kwaśny zapach spalenizny i wilgoci. Przeszedł korytarzem, minął ścianę, w której wybił kilka dni wcześniej otwór, i wmaszerował do salonu. Coś ciągnęło go właśnie do tego pomieszczenia, a nie na strych, który Cztery Iks zaaranżował na plac swoich psychopatycznych zabaw. Tam technicy na pewno zabezpieczyli każdy milimetr. Tymczasem salon zapewne interesował ich w znacznie mniejszym stopniu.

Podszedł do drewnianego krzesła, na którym siedział kilka dni wcześniej. Cięte kwiaty wciąż stały we flakonie. Zwiędnięte, pochyliły się, a część ich płatków rozsypała na blacie stolika. Deryło odkaszlnął. Smród spalenizny osadzał się na jego gardle i języku. Do tego czuł gorzki posmak sadzy w ustach.

Rozejrzał się po wnętrzu. Zabytkowy krzyż nad drzwiami wydawał się teraz ponurą drwiną z rzeczywistości. Komoda, na której stały telewizor i magnetowid, witryna z porcelaną i szkłem, wreszcie niewielka, narożna biblioteczka. Poza tym stolik, przy którym usiadł, trzy krzesła, dywan i żyrandol. Kilka obrazów na ścianach dopełniało całości.

Deryło był przekonany, że na górze technicy znaleźli dość śladów, żeby prokuratura miała podparcie dla wszystkich zarzutów. Starał się skupić myśli, kiedy poczuł kroplę spływającą mu po czole.

Po chwili drugą i trzecią.

Odruchowo otarł je i popatrzył w górę. Na suficie nad nim znajdował się wielki zaciek, a zawilgocony tynk schodził całymi płatami. Efekt akcji strażaków.

Wstał i podszedł do komody. Sześcienny, politurowany mebel stanowił najszlachetniejszy element wnętrza. Przez chusteczkę otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. Wypełniał go rząd

płyt z muzyką kościelną, fugami Bacha, kantatami Schütza, mszami de Machauta i Brahmsa. Banalna klasyka.

Na półce niżej piętrzyły się śpiewniki, psalterze i modlitewniki, od dziewiętnastowiecznych po współczesne. Deryło przejrzał kilka z nich, rozczarowany brakiem jakichkolwiek odręcznych notatek czy choćby zakładek. Miał irytujące wrażenie, że coś jest nie tak. Mimo nawracającego bólu głowy tysiące myśli przewaliło się przez jego umysł jak tratująca lawina. Nagle jeden ze zwałów śniegu musiał poruszyć właściwe neurony, bo mózg zaskoczył. W pomieszczeniu nie dostrzegł żadnego odtwarzacza płyt CD, poza tym ich wybór wydawał się wyjątkowo trywialny. Dosłownie jakby wyrwano je z gazetowej kolekcji muzyki sakralnej i ustawiono w rzędzie obok siebie.

Wciąż chroniąc dłoń chusteczką, wyciągnął kilka płyt. Za nimi, plecami do tylnej ścianki mebla, ustawiono plastikowe pudełka. Dopiero kiedy wyciągnął pierwsze z nich, zrozumiał, że to opakowania kaset VHS z lat dziewięćdziesiątych. Z rozczarowaniem zobaczył, że obok bluźnierczego *Ostatniego kuszenia Chrystusa* stoi kultowa *Misja* z Jeremym Ironsem.

Odruchowo otworzył pudełko. W środku rzeczywiście znajdowała się kasetka, ale zamiast nalepki dystrybutora naklejono plaster opatrunkowy. Deryło, nachylając się do światła, rozszyfrował błękitny, odręczny napis: *Gratuluję, panie komisarzu.*

Deryło pospiesznie wyciągnął kasetę. Najpierw trzymał ją przez rękaw płaszcza, lecz zaraz uznał te piruety za bezsensowne. Gruby materiał upośledzał ruchy. Szlag z odciskami, ważne, żeby niczego nie uszkodzić.

Przez chwilę szukał włącznika magnetowidu, wreszcie uruchomił go razem z telewizorem. Obawiał się, że w mieszkaniu nie będzie prądu, ale wszystko działało. Wepchnął kasetę do odtwarzacza i spojrzął na ekran. Nic. Niebieskie tło. Przypomniał sobie, że trzeba wybrać odpowiedni kanał. Nigdzie nie znalazł pilota, więc zaczął majstrować przyciskami telewizora. Nagle ekran zamrugał i wyświetliły się czarno-szare pasy. Kasetę ruszyła.

Deryło usiadł na skraju dywanu, skupiony jak hinduski fakir. Po kilku sekundach pasy zniknęły, a na ich miejscu wyświetlił się film. Czarno-biały materiał był słabej jakości i bez głosu. Przedstawiał rodzinę, która zebrała się w przestronnej, pałacowej lub bogato dworskiej komnacie. Delikatne zasłony falowały, trącane wiatrem, odsłaniając wysokie okna. Mężczyźni byli ubrani w eleganckie garnitury, większość nosiła bujne wąsy, a przy ich marynarkach lśniły dewizki zegarków kieszonkowych. Długie suknie kobiet ciągnęły się tuż nad marmurową posadzką. Kręcący zrobił krok do przodu i zgromadzeni rozstąpili się, ukazując masywne, bogato rzeźbione łoże. Na samym prześcieradle leżała kobieta w średnim wieku. Jej długie, ciemne włosy były rozrzucone w nieładzie niczym macki meduzy wyrzuconej na plażę.

Nastąpiło cięcie. Po chwili wyświetliła się ta sama scena, z tym że do łóżka podszedł gładko ogolony mężczyzna w sutannie. Przeżegnał się razem ze wszystkimi zgromadzonymi osobami i wymówił słowa modlitwy. Usta filmowanych poruszały się bezdźwięcznie, a wzrok ich wszystkich skierował się na leżącą kobietę. Ta jak dotąd nie poruszyła nawet powieką.

Deryło zbliżył się do telewizora, żeby przewinąć nagranie. Nie miał czasu na oglądanie kronik rodzinnych, jakkolwiek byłyby ponure. Nie odrywając wzroku od ekranu, wyszukał odpowiedni przycisk. Kiedy miał go dotknąć, z głośników telewizora ryknął przeraźliwy dźwięk.

Wrzask, krzyk, rozpaczliwe wycie dzikiego zwierzęcia...

Leżąca kobieta zerwała się z łoża. W ułamku sekundy dopadła do księdza i z brutalną siłą wykręciła mu głowę. Żaden z zebranych nie zdążył zareagować. Duchowny stał jeszcze przez chwilę z twarzą wykręconą niemalże za siebie. Szeroko otwarte oczy wyrażały bezbrzeżne zdziwienie, a z rozchylonych ust pociekła strużka krwi. Po sekundzie lub dwóch osunął się na kolana. W tym momencie film się urywał.

Nim Deryło zdążył się poruszyć, na ekranie wyświetliła się twarz zasłonięta białą, ceramiczną maską. Wszelkie rysy zostały starannie wygładzone, a w miejscu oczu umieszczono otwory zasłonięte taflami szkła. Lustra weneckiego. Przypominała nieco odlewy sylwetek ludzkich odnalezionych w ruinach Pompejów. Była tak samo martwa i jeszcze bardziej przerażająca.

Postać odsunęła się nieco, tak że kamera objęła kawałek szyi zasłoniętej wysoką koloratką.

*Pewnie jest pan szalenie ciekaw, co to za nagranie? – odezwał się szorstki, mechanicznie zniekształcony głos. – Przegrałem specjalnie dla pana, komisarzu, pierwszy filmowy zapis egzorcyzmów. Wstawka dźwiękowa jest mojego autorstwa, więc mam nadzieję, że się szczególnie spodobała. Już spieszę z historią. Opętanie dotknęło katolicką, niemiecką rodzinę von Firschów. Biedna, droga Gerda... Skręciła kark temu księżulkowi i skończyła zamknięta w domu dla pomyślników. Ciekawe jest to, że pięcioro z siedmiorga obecnych na nagraniu członków rodziny w przeciągu kilku miesięcy od egzorcyzmów zginęło. Trójka popełniła samobójstwo, stary Wilhelm von Firsch, protoplasta rodu, spadł z konia, a jego prawnuk zadusił się we śnie. O tak, na nagraniu było też maleńkie dziecko w kołysce. Pewnie nie zwrócił pan na nie nawet uwagi.*

Deryło skrzywił się. Nie zamierzał przewijać kasety. Było czy nie, nie sądził, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

*Zastanowił się pan, jakim cudem ta kasetka znalazła się w szafce? Podrzuciłem ją, kiedy służby z całego województwa przeszukały każdy centymetr mieszkania i poszły, pysznie ukontentowane rezultatami. Pomyślał pan, że na drzwiach zostały niezerwane, policyjne taśmy? Znam tę kamienicę na wylot, znam wiele jej sekretów, panie komisarzu. Niepotrzebne mi główne wejścia.*

Postać pochyliła się, niemalże stukając maską w obiektyw kamery. Deryło miał wrażenie, że czuje jej obecność tuż obok siebie. Gdyby tak było, bez chwili zastanowienia rozszarpałby tego skurwysyna. Dla dobra świata wbiłby ceramiczny odlew w kości jego czaszki.

*Ale do rzeczy. Wiedziałem, że pan przyjdzie do tego mieszkania. Pokusa musiała być nie do powstrzymania. Zupełnie jak worek słodczy podarowany dziecku na urodziny. Mieszkanie wyssało z pana energię tak samo jak z wielu innych osób. Nigdy pan nie zapomni tych ścian, luster i kwiatów ze stołu, prawda? To moje dzieło. To moja zasługa, że zostawił pan tutaj część swojej duszy. Kiedy mówię „ja”, myśli pan o księdzu, komisarzu. Ale czy to właściwa dedukcja? Widzi pan koloratkę, ma swoje poszlaki, ale to może jest tylko złudzenie? Każdy z nas żyje złudzeniami. Nie wierzy pan? Każdy z nas jest poniekąd złudzeniem. Proszę pomyśleć o swojej córce. Gdyby dokonać trepanacji jej czaszki i ponacinać właściwe fragmenty mózgu, stałaby się bardziej smutna lub bardziej wesoła, nie poznałaby pana bądź poznałaby, ale nie wiedziała, kim pan jest. Można wpłynąć na jej płaczliwość, odwagę, ambicję i pamięć. Wystarczyłoby zaledwie kilka nawierceń i kilka cięć, aby uczynić z niej kogoś całkiem obcego. Zewnętrzna powłoka pozostałaby ta sama, ale środek, tak zwana dusza, należałby już do nieznanego osoby. A co, jeżeli dusza jest jedynie wiązanką neuronów? Otacza ją ciało, które umrze i zgnije wraz z nimi? Wie pan, kto jest najbardziej egoistyczną i samolubną osobą? Człowiek w żalobie. Bo oto otoczył go proch i pył, panie komisarzu. Proch i pył. Ale wróćmy do pana. Popęłnił pan wiele błędów. Przez niektóre z nich pańska córka omal nie zginęła, przez inne pański podwładny został ciężko ranny. Nie czuje się pan winny? Deryło miał wrażenie, że przez ułamek sekundy na ekranie coś się wyświetliło. Jego wzrok nie zdążył przetrwać obrazu, ale na pewno widział odmienną zbitkę klatek. Wyszukał na telewizorze przycisk i przewinął taśmę. Puścił kilkanaście sekund wcześniej, uważnie obserwując obraz. Spróbował zatrzymać kasetę dokładnie w chwili mrugnięcia ekranu, ale mu się nie udało. Przewinął jeszcze raz, z takim samym skutkiem. Nieważne, może to było tylko złudzenie. Zniechęcony, nacisnął przycisk dalszego odtwarzania.*

Zamaskowana twarz zamigotała na ekranie.

*Nie czuje się pan winny? Nie czuje się pan winny? Myślał, że kasetka się zacięła, ale wszystko wyświetlało się w porządku. Materiał został celowo zapętłony. Kiedy chciał już wyłączyć magnetowid, postać odsunęła się od kamery, wymierzyła w nią palec i wyszeptowała:*

*Pańska córka była przerażona. Czy myśli pan, komisarzu, że jej dusza nadal należy do tej samej osoby?*

Deryło w drodze na komisariat zadzwonił do żony. Tym razem nie dał się zbyć. Pociągnął rozmowę, bo chciał usłyszeć też córkę. Nie wyczuł w jej głosie niczego niezwykłego. Nie była ani przesadnie wesoła, ani przesadnie smutna. Dawka leków na pewno skutecznie tłumiła emocje.

Na dowód tego, o czym mówiła zamaskowana postać.

A jeżeli dusza jest jedynie wiązanką neuronów? Niech go szlag! Przynajmniej była żywa i mógł z nią porozmawiać. Niech będzie jego egocentrycznym marzeniem to, że jego córka jest cała i ma się dobrze. Niech uczucie zostanie spłycone do zera, on jednak nie chciał już o tym myśleć. Żadnych myśli, żadnych skojarzeń...

Dobre sobie. Zamiast się uspokoić, rozważał wszelkie możliwe i niemożliwe scenariusze. Gdyby zostały w Lublinie, zwariowałby. Ale z drugiej strony na odległość nie mógł ich chronić. Rozmawiając przez telefon, nie wiedział, czy nie mówią z lufą przyłożoną do skroni. Czy dałby radę to wyczuć?

Włączył radio, starając się odgonić ponure myśli. Obok palących szwów na brzuchu, sztywniejących ramienia i łokcia, ćmiącej głowy ponownie dopadł go uciskający klatkę piersiową niepokój. Podgłośnił radio. Dźwięki *allegretto* z siódmej symfonii Beethovena zagłuszyły pulsujący ból.

Kilka minut później, wciąż nimi przesiąknięty, przeparadował głównym korytarzem komendy. Nie miał konkretnego planu. Właściwie nie miał żadnego planu. Chciał porozmawiać z Brzeskim, zorientować się w postępach w śledztwie, ale sam nie był w stanie myśleć. Martwił się o córkę, o żonę i jeszcze o cholerną dupodajkę, którą podrzucono mu rano.

Wchodząc na piętro, zobaczył, że przy pokoju przesłuchań zebrało się kilka osób. Stały w rzędzie, wzdłuż ściany, w którą wbudowano lustro weneckie. Nad nim zamontowano mikrofon przekazujący każdy dźwięk z pomieszczenia. Uświadomiwszy sobie, że zbieranina to przypadkowi, ciekawscy gówniarze, Deryło poszedł w ich stronę. Nie zauważył nikogo, kto mógłby donieść, że buszował po komisariacie. Zbyt wymoczkowate płotki, żeby orientować się w sytuacji.

Szybko zrozumiał zainteresowanie przesłuchaniem. W pokoju za ścianą siedział Wiktor Puszke z mecenasem Obarą. Naprzeciw nich brylował prokurator Malczewski, po którego bokach w charakterze niemych kukieł usadowili się Brzeski i Lipski. Prokurator najwyraźniej usiłował wywrzeć presję, wykorzystując przewagę liczebną. Pochylał się nad stołem i rażąco pobłażliwym uśmiechem, zniżał głos.

– Więc co robiłeś w tej kamienicy?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Przyszedłem do Daniela. Powiedział, że chce mi coś pokazać.

– Co?

– Nie wiem.

– Nie powiedział ci?

– Nie.

Adwokat Obara najwyraźniej nakazał klientowi udzielać lakonicznych odpowiedzi. Zadowolony, z założonymi rękami, nie odzywał się. Malczewski natomiast był coraz bardziej rozdrażniony.

– I nie zobaczyłeś tego, co chciał ci pokazać?

– Nie.

– Dlaczego?

– Kiedy pojawiłem się na klatce schodowej, zostałem aresztowany.

– Czyli nie mieszkaliście tam razem?

– Nie.

– A gdzie?

– Zamelinowaliśmy się wcześniej w jednej z altanek, w wąwozie na Czubach...

Deryło zacisnął usta. Gówniarz mówił z przekonaniem, jego wzrok nie uciekał w chmury, dłonie trzymał złożone na udach, słowem: nie dawał poznać, że kłamie. Zresztą czy miał powód, by teraz kłamać? Z drugiej strony siedział jak kołek, który wbito w krzesło i zablokowano. Za wcześniej, by wyniósł taką manierę z aresztu śledczego.

– ...ale Daniel zaczął świrować – dobiegło go po chwili. – Mieliliśmy prysnąć z domu na kilka dni, zupełnie dla zabawy. We dwóch. A on nagle zaczął znikać na wiele godzin, opowiadał te swoje popierdolone historie i w ogóle odjechało mu w czubie.

– Jakie historie? – Malczewski jak hiena rzucił się na zarzuconą padlinę.

Chłopak zerknął na adwokata, a ten skinął głową na znak, żeby odpowiedział.

– Mówił na zmianę o panowaniu nad ludzkimi umysłami albo o demonach opętujących niewinnych ludzi. Różne pierdoły, które z daleka trąciły gównem. Przepraszam za słowo, ale niewiele z tego czytałem. To znaczy... to chyba było bez sensu. Albo jakby ktoś mu naopowiadał farmazonów, a on je małpował. Wspominał na przykład o jakimś Billu czy Willu, w każdym razie chodziło o amerykańskiego klechę, no, jak oni ich tam nazywają...

– Pastora.

– Zgadza się. Pastora. I ten pastor miał przekabacić swoich wiernych i namówić ich do samobójstwa. Daniel opowiadał o nim jak o cholernym gwiazdorze.

Malczewski machnął ręką. Ten temat wyraźnie go nudził.

– Teraz mówisz, że to bzdury, ale coś mi nie pasuje. – Pochylił się jeszcze bardziej nad stołem i spojrzał prosto w oczy chłopaka. – Chcieliście przystąpić do lubelskiego stowarzyszenia satanistów. Dlaczego więc kłamiesz?

W tym momencie Obara głośno fuknął.

– Panie prokuratorze, po co te numery? – Pokręcił głową z irytacją. – Po co zaraz oskarżenia o kłamstwo? Ja nie widzę żadnej niespójności w tych słowach.

– A ja owszem.

– Więc może pozwólmy temu młodzieńcowi na sprostowanie?  
Malczewski zamilkł. Ironiczny uśmiech odsłonił jego śnieżnobiałe zęby.

– Byliśmy u LaVeya – przyznał Wiktor Puszke. – Daniel zaciągnął mnie tam parę tygodni temu. Chciał się zorientować, co to za ludzie, i mówił, że mogą się nam przydać.

– Mogą się wam przydać?

– Gdybyśmy mieli kłopoty czy coś. Twierdził, że to dobre znajomości z ustawionymi, znudzonymi życiem forsiarzami. A w związku z tym, że czekaliśmy na weryfikację, postanowił sam założyć taki klub. To strasznie gówniarsko brzmi, ale Daniel zawsze miał dziwne jazdy.

– I założyliście go?

– Tak.

– Ty i Daniel Kos.

– Tak. Chociaż dopóki nie postrzeliliście Webera, to on był szefem.

– Dopóki nie postrzeliliśmy kogo?

– Webera. Nie upilnowaliście go nawet w szpitalu.

– Chodzi o Pawła Rapackiego?

– To jego imię z chrztu, my nazywaliśmy go Weber.

Deryłowi coś nie pasowało. Dlaczego Daniel Kos był Danielem, a akurat ten drugi dostał jakąś ksywkę satanistyczną? Wiedział, kiedy podejrzani składali wyjaśnienia tak, jak im kazał adwokat. Było to widać po upartym wtrącaniu własnych fraz, zbyt długich pauzach, a przede wszystkim intonacji. Przeciętny człowiek, który ma odegrać pewną rolę, zmienia tembr głosu. Zastanawiając się nad słowami, nadaje swojej wypowiedzi sztuczność. Wiktor Puszke mówił w tej chwili tak, jakby recytował słabo wyuczony wiersz.

– W takim razie od początku – zaczął Malczewski. – Co was łączyło z Pawłem Rapackim, czyli... Weberem?

Wiktor Puszke wyprostował dłoń i spojrzał na paznokcie.

– Daniel wyszukał go przez internet. Mówił, że to człowiek, który ma ciekawe doświadczenia.

– Co o nim wiedział?

– Mówił coś o satanistycznej sekcje.

W tym momencie Obara wymownie spojrzał na swojego klienta. Chłopak natychmiast zamilkł i odwrócił się w stronę drzwi.

– Na tym dzisiaj musimy skończyć. – Adwokat podniósł teczkę z aktami.

– Pan Puszke odmawia dalszych wyjaśnień.

– Nie może być!

Malczewski usiłował przedłużyć przesłuchanie, ale nie mógł nic poradzić. Nieważne, jak się pieklił i jakimi groźbami rzucał. Wszystko zostało z góry zaplanowane.

Obserwujący scenę zza lustra weneckiego zaczęli się rozchodzić. Deryło z zadowoleniem dostrzegł, że aspirant Brzeski wstał i pierwszy skierował się do drzwi. Malczewski został z tyłu, żywiołowo rozmawiając z Lipskim. Tyle dobrze. Musiał zniknąć, nim wyjdą z pokoju przesłuchań. Mijając się, wymienili z Brzeskim porozumiewawcze spojrzenia.

– Ten gówniarz łże praktycznie we wszystkim – mruknął aspirant. – Ale jest niewinny.

Wiktor Byrcz usiadł na wysłużonym skórzanym fotelu. Sprężyny ugięły się z żalonym jęknięciem. Mężczyzna położył na wytartym podłokietniku pilot telewizyjny i przełączył na Jedynekę. Do *Wiadomości* zostało jeszcze kilka minut, więc wyciągnął nogi i wyłożył je na drewniany stół. Po całym dniu spędzonym na szorowaniu klatek schodowych prawie siedemdziesięcioletnie ciało dawało mu solidnie popalić. Czuł każdą kość, każdy mięsień i każde ścięgno. Kręgosłup pulsował tęnym bólem, a stawy chrobotwały. Nawet ponoć nieunerwione płuca piekły od wdychania detergentów. Z żalną emeryturą musiał jednak dorobić. Renta jego żony, mimo zapewnień rządu, była jeszcze bardziej plugawa. Nie starczyłaby nawet na komplet lekarstw, których nikt nie zamierzał dotować. Muszą przeżyć jeszcze siedem lat, żeby załapać się na siedemdziesiąt pięć plus. Do tego czasu lista niezbędnych medykamentów zapewne dwukrotnie się wydłuży. A państwo jeszcze pewnie zbankrutuje. Raz a porządnie.

Hanna Byrcz pchnęła drzwi salonu i przeszła obok męża. Otworzyła drzwi meblościanki z epoki towarzysza Gierka, wyciągnęła kryształową karafkę i postawiła ją na stole. Piękna, sztandarowa zastawa Sowietów.

– Zrobiłam kompot – powiedziała, idąc do kuchni.

Po chwili wróciła z garnkiem i przelała jego zawartość do naczynia. Wiktor Byrcz nawet na nią nie spojrział. Po raz pierwszy od kilku dni zdążył na *Wiadomości*. Słyszał, co prawda, informacje w radiu, ale sporą przyjemnością był wieczorny relaks w fotelu z pilotem w ręku. Praca sprzątacza nie byłaby tak fatalna, gdyby mógł robić w nocy. I tak miał problemy ze spaniem. Zamiast godzin popołudniowych – godziny poranne albo wczesnoporanne. Ale co on miał do gadania. Nikt nie chciał, żeby mu się tłuczono po nocach pod drzwiami.

– Masz!

Żona podała mu szklankę z ciemnobrazowym płynem. Aromat wędzonych śliwek i jabłek przyjemnie polectała podniebienie. Wiktor Byrcz bez słowa połknął kilka podanych przez żonę tabletek i popił je kompotem. Akurat w chwili, kiedy wziął solidny łyk, zaczęły się *Wiadomości*.

Tak jak w radiu, również w telewizji głównym tematem była melodramatycznie nazwana „sprawa Cztery Iksa”. Dziennikarze nigdy się nie zmieniają. Pamiętał, jak wiele lat temu media przedstawiały Marchwickiego albo Trynkiewicza. Wampir, Bestia, Rzeźnik... Tyle że w socjalistycznej Polsce miało nie być dewiantów. W Trzeciej RP, z zakusami na Czwartą RP, dewiantów było tak wielu, że stawali się nudni. Ale że ksiądz? Pewnie zrobili z niego kozła



ofiarnego, a sprawca jak zwykle pozostanie na wolności.

Na ekranie wyświetlono ostatnie znane zdjęcie duchownego.

Wiktor Byrcz trzęsącymi się dłońmi sięgnął po okulary założone za kieszeń. Nasunął je na nos i wytężył wzrok. Marszcząc czoło, cmoknął z niedowierzaniem.

– Widziałem go dzisiaj – odezwał się po raz pierwszy od długiego czasu.

Miłosz Tracz leżał na podłodze. Zwinął dywan i położył się na dębowych panelach. Zamknął oczy, poddając się szturmującym mózg pytaniom. Co mógł teraz robić Cztery Iks? Jaki był jego plan działania? Czy w ogóle można było wniknąć w ten podziurawiony jak ser szwajcarski umysł? Portret psychologiczny sprowadzał się do obrazu lustra rozbitego na setki kawałków, które chce się posklejać. Niby wszystko do siebie pasowało, ale...

No właśnie.

Kiedy zdawało mu się, że już coś rozumie, zawsze pojawiała się dodatkowe ale. Ostra rysa na powstającym obrazie, która go przekreślała. Musiał tworzyć całość zupełnie od początku. Niemożliwe było zbudowanie kompletnego charakteru osobowości na rozchwianych fundamentach.

Naukowo temat seryjnych morderców i motywu religijnego był poruszany wielokrotnie. Jednym z najlepszych przykładów był bez wątpienia Richard Ramirez, który w pakiecie do morderstwa dorzucał gwałt. Dokonywał go czasem na żywej, a czasem na martwej ofierze. Nieważny był również jej wiek. Takie same instynkty wzbudzały w nim zarówno osiemdziesięcio-, jak i dwudziestolatki. Kilka kobiet zasztyletował, kilku obciął głowy, jedną z nich potraktował łyżką do opon. Zdarzało mu się wydlubywać oczy i wyciągać wnętrzności. *Sataniści muszą mieć więcej wiary niż chrześcijanie, ponieważ Chrystusa widziano i odczuwano. Lucyfer nigdy nie miał potrzeby bycia widzianym, ale można go wyczuć w duszy każdego* – mówił na swoim procesie. Czy nie było to zaprzeczeniem obrazu kreowanego przez Cztery Iksa? U Ramireza stwierdzono psychopatię, ale nie był chory umysłowo. Działał w pełni świadomie i z wyrachowaniem. Jego filozofia życia, wyzwolonego i pozbawionego hamulców, inspirowała mnóstwo ludzi. Zdobył sobie dziesiątki hybristofilicznych zwolenniczek, które marzyły o odwiedzeniu go w więzieniu. Może to była jedna z metod zjednania rządu dusz? Znacznie wierniejszych niż te, które z Bogiem łączyły jedynie chrzest, komunია i ewentualnie bierzmowanie. Człowiekowi można odebrać życie, zdrowie i pieniądze, ale jaką władzę ma ten, który odbiera im wieczność?

Miłosz Tracz otworzył oczy.

Cały pokój oblepiony był fotografiami zwłok, wyciętych organów, krwi i zbliżeń ran. Komisarz Lipski pozwolił mu skopiować całą dokumentację odnalezioną na poddaszu kamienicy, w tym kolekcję zdjęć Cztery Iksa. Profiler patrzył na każde z nich, wyobrażając sobie, że widzi je oczami księdza. Że patrzy dokładnie na to samo. Że patrzy dokładnie tak samo. Początkowe obrzydzenie już dawno minęło. Teraz liczyło się tylko zrozumienie umysłu mordercy.

Zatrzymał wzrok na fotografii Magdaleny Szus. Cztery Iks uchwycił moment, kiedy leżała nieprzytomna. Całkowicie naga, została ułożona na betonowej podłodze. Zupełnie jak nafaszerowana prochami narkomanka, która odpląnęła po dawce zaserwowanej w pokruszoną żyłę. Popatrzył na jej małe piersi, wystające żebra i lekko owłosione łono. Czy miało powieć bękartą? Instynkt podpowiadał mu, że będzie chciał zatrzymać tę kobietę przy sobie.

Na zawsze.  
A jego zawsze miało być wiecznością.

– Powinnam je dalej z tobą rozwieszać.  
 – Rozwieszałaś te kartki przez cały dzień. Przemarzałaś na kość. Mnie zostało kilka ostatnich i wracam. Cholera, staram się być dobrej myśli.  
 – Mogliśmy wydrukować ich więcej.  
 – Już cały Lublin wie, że twój ojciec zaginął. Jest informacja na Facebooku, w „Kurierze”, ma być w *Panoramie*...

– Dwie doby i ciągle nic!  
 – Słyszałaś, że to standard. Brak wieści nie jest wcale złą wieścią.  
 – Starasz się mnie pocieszyć? Dobrze wiesz, że to bzdura.  
 Kobieta, bezmyślnie wpatrując się w sufit, leżała w wannie. Nie odczuwała żadnej przyjemności, ale w łazience, najmniejszym pomieszczeniu domu, czuła się mniej zdenerwowana. Tylko w wannie była w stanie spędzić więcej niż kilka sekund. Nie mogła usiedzieć w salonie ani w sypialni. Kłębiące się myśli nakazywały jej bez przerwy coś zrobić. Jednak po całym dniu rozwieszania plakatów ze zdjęciem ojca całkiem opadła z sił.

– Proszę cię, myśl pozytywnie.  
 – Nie mam żadnej podstawy, żeby myśleć pozytywnie.  
 – Dawniej mówiłaś, że zdarzało mu się wypić i wyjść z domu...  
 – Kiedy to było!  
 – Ale...  
 Nagle zabrzączał dzwonek do drzwi. Kobieta natychmiast zerwała się z wanny i zarzuciła na mokre ciało szlafrok. Ślizgając się, przebiegła po terakocie.

– Ja otworzę!  
 Jej dziewięcioletni syn bawił się w przedpokoju. Kiedy wyjrzał na zewnątrz, nie było już nikogo. Na wycieraczkę w świąteczne wzorki leżało jedynie płaskie, tekturowe pudło. Przypominało te, w jakich rozwozi się pizzę, ale było dwukrotnie większe. Chłopiec podniósł je i pchnął za sobą drzwi. Z trudem uchylił wieko, zainteresowany zawartością. W tym momencie dopadła do niego matka.

– Śmierdzi! Co to jest, mamusiu?  
 Kobieta wzięła opakowanie i je otworzyła. Dopiero po chwili zrozumiała, co znajduje się w środku. Do kartonu upchnięto płat gnijącej ludzkiej skóry, z rzadkimi, kręconymi włosami, wyciętymi sutkami i krągłością pępka.

Dochodziła północ, a komisarz Deryło bez powodzenia włóczył się po centrum Lublina. Od ponad dwóch godzin krążył od lokalu do lokalu, mając nadzieję odnaleźć dziewczynę, która rano nawiedziła jego dom. Pamiętał, że wspomniała o pracy w klubie. Patrząc po usposobieniu, nie spodziewał się, że była menedżerem. Didżejem ani barmanką też raczej nie. Nie mierzył też w grzeczne imprezy podobne do tych organizowanych w Victorii albo lokalach typowo studenckich. Zresztą większość z nich, ze względu na czas w roku, była teraz zamknięta. Ich podwoje miały się szeroko otworzyć, obwieszczając zabawę sylwestrową.

Musiał chwilę odpocząć. Ból rany w boku znowu się nasilił. Miał wrażenie, że czuje wokół niej wilgoć krwi, ale warstwa ubrań skutecznie zniechęcała przed sprawdzeniem. Zresztą co za różnica? Z czasem zblizniają się nawet najgorsze rany.

Minął kościół Karmelitów, przystanął i oparł się o parkomat. Świętoduska pięła się w górę, co oznaczało dalszy marsz po wyslizganym śniegu. Mógł zacząć wędrówkę od drugiej strony. Powiódł wzrokiem po oświetlonej sygnaturce ratusza, po przysadzistej sylwetce Bramy Krakowskiej, aż wreszcie wzdłuż kościelnego muru ku gmachowi okulistyki. Siermiężna, peerelowska wyrwa w urokliwej strukturze miasta. Socjalistyczna rana w tkance zabytkowych kamienic i podwórzy. Koszmarek szpecący panoramę bardziej niż nowoczesne oczojebne centrum onkologii – jego fluorescencyjne ściany przynajmniej nie przylegały do siedemnastowiecznych murów. Plugawe dziedzictwo plugawych czasów.

Ten psychol miał rację w jednym.

Otoczenie nasycy każdego z nas i kształtuje według swojej miary. Pęd i harmider na ulicach Warszawy nie pozwala się zatrzymać najbardziej leniwym. Wypycha ich i ewentualnie wtrąca do dzielnic biedy lub określa buntownikami czy hipsterami. Mieszkańcy Gdańska częściej chodzą zadumani, nie są tak zabiegani jak warszawiacy. Bliskość morza pozwala snuć plany i wcale ich nie realizować. A Lublin? Co takiego ma w sobie Lublin? Mentalność „bramy wschodu”? Spuściznę nieistniejącej już mieszanki kultur?

Deryło wzdygnął się z zimna. Poranne otumanienie musiało pobudzać melancholijne wywody. Jednak pewna myśl zakołatała mu w głowie. Wyjął z kieszeni telefon i zmarzniętymi palcami wybrał numer. Patolog Gawiński odebrał niemalże od razu.

– Mój drogi, komisarzu! – Jak na tę porę przejawiał nadmierny entuzjazm. Był po szklaneczce? A może po całej butelce? – Słyszałem, że zwiewałeś ze szpitala, aż się kurzyło.

– Uciekłem spod skalpela. – Wyświechtany frazes. – Przepraszam za porę.

– Wiesz, że nie musisz. Dopiero piję poranną kawę.  
No tak, rytm dobowy patologa stanowił nierozwiązaną zagadkę.

– Chodzi mi o Daniela Kosa – mruknął komisarz. – Kojarzysz?

– No.

– Już ci go zabrali?

– Nie. Matka czeka z pogrzebem na przyjazd męża z Niemiec. Tak że poleżakuje u mnie jeszcze co najmniej dwa dni.

Tyle szczęścia. Jeśliby policja zażyczyła sobie ekshumacji, prasa zmieszałaby ją z błotem. Deryło przełożył telefon do drugiej dłoni.

– Robiliście badania na obecność substancji psychotropowych?

– Nie.

– Po prostu nie?

Gawiński zbył sarkazm komisarza westchnieniem.

– Autopsji dokonuję w konkretnym celu – powiedział tonem, jakby tłumaczył dziecku. – Tym razem miałem stwierdzić wyłącznie przyczynę zgonu. Właściwie nie trzeba było nad tym za długo myśleć. Chłopak dostał trzy kule w klatkę piersiową, z czego dwie w serce. Zaliczone obie komory. Szast-prast i następny proszę.

– Żebyś się nie przepracował.

– Ostatnio nie oszczędziliście mi roboty. Do tego przez te temperatury ludzie zamarzają jak mrożonki. A domyślasz się, że z tym też jest zawracanie dupy.

– Szast-prast i bryła lodu – Deryło naśladował jego ton. – Przyczyna zgonu: zamrożenie.

Następny proszę.

– To nie takie łatwe. Ale o co chodzi z tymi substancjami psychotropowymi?

– Moja ciekawość.

– Nie polecenie służbowe?

– Nie wiem, czy nie jestem zawieszony.

– Słyszałem jedynie, że jesteś na zwolnieniu. I plotki o przenosinach do Opola.

No tak, nie ma co się dziwić. Po odliczeniu przyjezdnych studentów Lublin miał nieco ponad trzysta tysięcy mieszkańców. Odejmując dementów, moherowe berety, emigrację na zmywak i dzieci, zostawała ledwie garstka. Prawie wszyscy mogli znać prawie wszystkich.

– Halo? – Gawiński wyrwał go z zamyślenia. – Chyba się nie obraziłeś?

– Mam nadzieję, że to tylko plotki.

– Chcesz się spotkać? Wypić lampkę wina i pochlipać nad swoim losem?

– Nie. Sprawdź mi tylko te prochy, a będę prze-kurwa-szczęśliwy.

Rozłączył się i zobaczył, że podczas rozmowy dostał esemesa. Nacisnął symbol odczytywania.

Nadawca: Brzeski (komórkowy).

Znaleziono skórę z ludzkiego tułowia. Prawdopodobnie zagin. mężczyzna (!) Lipski szaleje.

Wiadomość wysłana esemesem sugerowała, żeby nie dzwonił ani nie dociekał. Przynajmniej na razie. Kim był ów „zagin. mężczyzna”? W sprawie Cztery Iksa skupili się przede wszystkim na kobietach. Jedynie ubocznie badany był wątek Daniela Kosa i Wiktora Puszkęgo. Na policyjnych listach praktycznie bez przerwy figurowało w Lublinie kilkadziesiąt osób, które zapadły się pod ziemię (choć było to wyjątkowo nietrafne porównanie). Czasem nawet kilkaset. Z tego mniej niż dziesięć procent w kategorii pierwszej, przeznaczonej dla tych, którym mogło grozić niebezpieczeństwo. Zazwyczaj znajdowało się na nich dwukrotnie więcej mężczyzn niż kobiet. Procent nieletnich zmieniał się w zależności od pory roku. W okresie świątecznym ogólna liczba zaginięć wzrastała, więc pewnie nie zwrócili szczególnej uwagi na jakiegoś „mężczyznę”. Skąd się tak szybko dowiedzieli, że znaleziona skóra należała właśnie do niego?

Deryło schował dłonie do kieszeni i starał się poruszać palcami. Tuląc się z zimna, skręcił w Karmelićką. Zostało mu już tylko kilka lokali, które wytypował przed wyjściem. Jeden z nich znajdował się w piwnicy pobliskiej kamienicy. Trzypiętrowa rudera, z pustostanami na górze i podłym klubem na dole. Melina, do której policja docierała zbyt rzadko. Nie było z tym jednak problemu. Odwiedzający załatwiali swoje problemy osobiście, w ciemnym zaułku lub w bramie. Nikt nie miał pretensji, że mundurowi przyjechali za późno albo interweniowali nie dość stanowczo. Nikt ich tu nie chciał.

Obszedł hałdy zgarniętego przez pługi śniegu i przeszedł wzdłuż starego muru. Z daleka dobiegł go odgłos dudniącej muzyki. Psychodeliczny jazgot wybijał się ponad pijackie śmiechy i krzyki. Klub był otwarty.

Obtupując buty, skręcił w podwórze. Od razu zobaczył kilkanaście osób palących przed wejściem papierosy i skręty. Z daleka czuł ich psioszczynowy aromat.

Większość imprezowiczów była wystarczająco wstawiona, żeby nie przejmować się mrozem i zapomnieć o kurtkach czy płaszczach. Starając się nie rzucać w oczy, zwolnił kroku i dodał mu lekkodusznej bujności. Gdyby wparował tu trzeźwy jak świnia, zaraz narobiłby sobie kłopotów. Na szczęście wiek nie grał roli. Wśród bawiących się był pokoleniowy przekrój dzielnicy. Siedemdziesięciolatekowie stali z kuflami piwa obok swoich dwudziestoletnich wnucząt. Patologia trwała z patologią. Okoliczne podwórza zostawiały piętno na swoich mieszkańcach.

Kiedy pchnął drzwi, ogłuszył go jazgot. Przez chwilę stał zamroczony, czując gwoździe wbijane w umysł przez diabelskie tony. Jezu! Czy trafił na wieczorek przygłuchych, z których ktoś robił sobie jaja? Nie widział innej możliwości.

– Nie stać, kurwa, w przejściu.

Trącono go w ramię. Nie odwracając się, poszedł długim korytarzem ku źródłom szatańskiej muzyki. Lokal nie był rozległy, ale w środku kłębiło się mnóstwo ludzi. Ich przyćpane lub pijane twarze migwały w pulsującym wirze kolorowych świateł. Otumanione pary sięgały sobie językami do czeluści gardeł, a podchmieleni amanci zagadywali kuso ubrane kelnerki.

Mimo że było mu duszno, nie zdjął płaszcza. Przez cały czas miał przy sobie kaburę z pistoletem. Gdyby przypadkowo odkryto, że jest policjantem, groziłby mu niechybny lincz i skończyłby jako trup upchnięty w okolicznej piwnicy. Całe szczęście nikt nie biegł za nim z numerkiem i nie truł, żeby zapłacił za szatnię. Zresztą w ogóle nie widział przy wejściu żadnej szatni.

Tłum gęstniał, więc instynktownie chroniąc zaszytą ranę, przepychał się ku końcowi korytarza. Ochlapany piwem i owiany dymem marihuany, wepchnął się na główną salę. Była wielkości niezbyt dużego mieszkania, ale wypełniało ją co najmniej sto osób. Na podwyższeniu w głębi uwijał się błaznowaty didżej, a tuż przy nim tańczyły dwie małolaty. Aż dziw, że za wstęp nie trzeba było dać symbolicznej złotówki, chociaż pokaz miał niewiele wspólnego ze striptizem czy chociażby pole dance'em. Naprute nastolatki owijały się wokół rur, zmysłowo wyginając ciała. Ich ruchy wręcz przeczyły rytmowi muzyki. Nie zdziwiłby się, gdyby robiły to wręcz celowo.

Przepchnął się bliżej sceny. Mrużąc oczy, starał się przyjrzeć twarzom dziewczyn, ale te znajdowały się w półmroku. Jedynie w rozbłyskach światła stroboskopów mógł dokładniej zobaczyć rysy. Kiedy był już dość blisko, poczuł rozczarowanie. Obie dziewczyny miały czarne włosy.

Znowu skucha. Największy z lokali, które mu przyszły do głowy, przyniósł też największą frustrację. Zniechęcenie i zmęczenie rozlały się po skostniałym ciele. Może jego plan był zbyt optymistyczny? Może składała zbyt wiele elementów, licząc na łut szczęścia, który jak zwykle nie przychodził.

Odwrócił się od dziewczyn i rozejrzał po sali. Oba wyjścia były tak samo daleko i dzielił je od niego wibrujący tłum. Perspektywa przeciskania się przyprawiała go o dreszcze. Każde trącenie rany było jak strzał z pejcza. Na własne życzenie władował się w sam środek gówna.

Nagle coś przykuło jego uwagę.

Tuż pod podwyższeniem, na którym szalał didżej, stał mężczyzna. Wysoki, z zarzuconym na głowę grubym kapturem i szalikiem. Jako jedyny nie poruszał się w rytm muzyki, nie rozglądał ani nie wychylał kolejnych łyków piwa. Deryło powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem. Bez wątpienia utkwione było w tańczących dziewczynach. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jedna z nich ma znajome rysy. Długa szyja, krótki nosek i duże oczy. Do tego nawet stanik nie mógł uwypuklić niewielkich piersi. Gdyby nie włosy...

Ona nosiła perukę! Rude kręcone włosy okryły te naturalne, niemalże czarne. Nie miał co do tego żadnych wątpiwości.

Czując przypływ adrenaliny, zwrócił się w stronę nieruchomej postaci i automatycznie ruszył w jej stronę. Odepchnął całującą się parę i nie zwracając uwagi na bluzgi, przepychał się dalej. Nie czuł pulsowania rany. Szedł niczym zaprogramowany.

Mężczyzna w kapturze nagle odwrócił się w stronę Deryły. W półmroku komisarz nie dostrzegł ani jego oczu, ani najdrobniejszego rysu twarzy. W tej chwili miał gdzieś nastawienie zgromadzonych do organów ścigania. Wyciągnął z kieszeni portfel i machnął nim jak legitymacją służbową. Wytrącając komuś szklankę piwa, rzucił się w stronę mężczyzny.

– Stać, policja!



Jego krzyk utonął w huku muzyki. Podwinięty płaszcz i odsłonięta kabura przykuły jednak uwagę najbliższej zgromadzonych. Tłum zakłębził się, wcale nie ułatwiając mu przejścia. Mężczyzna w kapturze w pierwszym odruchu chciał wskoczyć na podwyższenie z tancerkami, ale szybko zrezygnował. Zdał sobie sprawę, że straciłby kilka sekund przewagi. Wywracając głóśnik, rzucił się w stronę wyjścia. Oczywiście nikt nie zamierzał go zatrzymać.

Deryło, nie zważając na napinające się szwy, pędził za nim, o ile można było tak nazwać przepychanie się wśród ludzkiego kłębowiska. Brakowało mu powietrza. Nieomal upadł, gdy potknął się o czyjeś nogi, ale tłum był tak gęsty, że oparł się o kogoś innego. W zamieszaniu spodziewał się ciosu z każdej strony. Byle łysol odepchnięty łokciem mógł chcieć się zrewanżować. Tym bardziej że niewiele osób zdawało sobie sprawę z tego, co się dzieje. Awantury musiały być tu na porządku dziennym. A raczej nocnym.

Nie było sensu krzyczeć. Muzyka i tak zagłuszała jakiegokolwiek słowa. Portfel wrzucił do kieszeni, mając nadzieję, że nie sięgną po niego czyjeś lepkie rączki. Od uciekającego dzieliło go kilkanaście metrów. Nagle mężczyzna zahaczył o kabel nagłóśnienia i runął na parkiet. Deryło był tuż za nim. Kiedy zbliżył się niemalże na krok, zobaczył broń. Zakapturzona postać mierzyła do niego z czarnoprochowego rewolweru. Deryło doskonale wiedział, co potrafi to żelastwo. Mimo że legalnie dostępne, mogło zabić tak samo jak współczesne pistolety. Replika czegoś, co podczas wojny secesyjnej dziesiątkowało konfederatów, skutecznie go wyhamowała. Stanął jak wryty, nie mając miejsca, żeby odskoczyć.

Miał zaciśnięte gardło. Jedyłą myślą było, czy rewolwer wystrzeli. Wpatrywał się w złowieszczy wylot lufy, oczekując na błysk prochu. Nie zwrócił nawet uwagi na ludzi wokół. Na widok broni bohaterscy kibole, przepychając się, pognali do wyjścia. W jednej chwili wokół utworzyła się pusta, złowieszcza luka. Zaniepokojony didżej wyłączył muzykę i zapalił górne oświetenie. Wrzask uciekających ludzi przerywał brzęk tłukących się szklanek i kieliszków. Nawet teraz twarz leżącego pozostała niemalże niewidoczna.

Mijały sekundy, ale rewolwer nie wystrzelił. Mężczyzna powoli odsunął się i podniósł

kilka kroków od komisarza. Rozejrzał się, nie spuszczać go z muszki. Był całkowicie opanowany. Tak jakby właśnie realizował zapisany wcześniej scenariusz. Niespiesznie skierował broń w stronę reflektorów i kilka razy pociągnął za spust. Nim Deryło wypuścił powietrze, wokół spadł deszcz szkła, a światło w całym pomieszczeniu zgasło. Nim zdążył go zaczerpnąć, zobaczył zarys postaci biegnącej w stronę stłoczonego na korytarzu tłumu. Sięgnął do kabury, ale nie wyciągnął broni. Użycie jej wśród rozbiegających się ludzi byłoby skrajną głupotą.

Dalsze przepychanie się stanowiło zbyt wielkie ryzyko. Skoro ten świr ma rewolwer, to on nie może go prowokować. Raz nie wystrzelił, ale przy drugiej okazji...

Starął się uspokoić. Zgarbił się i oparł ręce na kolanach.

Kątem oka zobaczył, że didżej i tańczące przed chwilą dziewczyny schronili się za pulpitem muzycznym. Oświetlał ich blask pracujących na bateriach laptopów. Deryło, pewny, że zamaskowany mężczyzna wmieszał się w tłum, ruszył w ich stronę. Któraś z dziewczyn krzyknęła. Nie zwracając uwagi na protesty, chwycił pod ramię tę z krótszymi włosami i pociągnął ją w stronę wyjścia. Nie opierała się, cicho łkając.

– Nie bój się.

Wiedział, że równie dobrze mógł jej powiedzieć, żeby się w nim zakochała.

Pociągnął dziewczynę w stronę korytarza i podążyli razem ze stłoczonymi ludźmi. Bez problemu mieszała się z tłumem. Po kilku minutach znaleźli się wreszcie na zewnątrz. W lodowatym, zimowym powietrzu niektórzy odpalali papierosy, inni pospiesznie się rozchodzili. Ktoś wzywał karetkę do poobijanej kobiety. Wszystkie rozmowy prowadzone były szeptem, wypity alkohol nagle wyparował.

Od strony ulicy dobiegło wycie syren. Po chwili migające światło stroboskopów odbiło się na ścianie sąsiedniej kamienicy. Deryło przyciągnął do siebie dziewczynę i chwycił ją delikatnie za podbródek.

– Wtop się w tłum. Nie chcę, żebyś miała problemy.

Chciała się odezwać, ale położył jej palec na ustach. Gdyby teraz prysnął, z całą pewnością skończyłby ze służbą. Jakies kamery musiały go nagrać, a poza tym kilka osób na pewno widziało jego twarz. Domyślał się, że nie byłyby chętne do rozmów z policją, ale wołał nie zdawać się na ich widzimisię. Poza tym nie musiał mówić prawdy.

– Teraz porozmawiam z psami – szepnął pojednawczo. – Nie wspomnę o tobie, ale obiecaj mi jedno. – Z przerażonego spojrzenia wyczytał, że dziewczyna tak zrobi. – Nie opuszczaj tłumu gapiów. Wśród ludzi będziesz bezpieczna. A kiedy policja ze mną skończy, znajdź mnie. Inaczej możesz być pewna, że nikt nie uratuje twojego krągłego tyłka.

Dwaj gówniarze, którzy sporządzali notatkę z jego relacji, byli spanikowani. Doskonale wiedział, co czują. Wykonywali czynności na osobie, która mogła bez problemu doprowadzić do ich zwolnienia. Ogólne pytania, przesadna grzeczność, niewnikanie w szczegóły. Umyślnie podkreślał doświadczenie i stopień, aby nabrali dodatkowego dystansu. Do tego nawet nie wspominał, że miał przy sobie broń służbową. Oni natomiast nie zapytali. Kurtuazyjna rozmowa potoczyła się dokładnie tak, jak tego chciał. W razie jakichkolwiek problemów będzie mógł się nią zasłonić. Co było w papierach, pozostawało tam na wieki. Przynajmniej taka była reguła.

Kiedy skończyli, minęła północ. Tłum przed lokalem nieco się przerzedził, ale wciąż niemo przypatrywał wydarzeniom. Miał niezłą pożywkę dla pijackich wywodów. Właściciel lokalu kłął na policjantów, aby wpuścili ludzi do środka, a ci uparcie mu odmawiali.

– Czynności techniczne potrważą co najmniej do rana – tłumaczył jeden z funkcjonariuszy. – Poza tym to nie moja decyzja.

– Rozumie pan, jaka to strata? – Niewiele brakowało, by z ust właściciela potoczyła się piana. – Właśnie tracę pieprzone tysiące złotych. Jutro mam zaplanowaną imprezę sylwestrową. Zainwestowałem w nią kurewską forszę.

– Nic nie mogę poradzić...

– To, kurwa, dajcie mi przełożonego!

Deryło przeszedł obok mężczyzn i skierował się w stronę nasłuchującego skupiska ludzi. Nigdzie nie widział dziewczyny. Nie było jej ani przy wejściu do lokalu, ani na środku podwórza. Przypatrywał się kolejnym twarzom, ale wszystkie były mu całkowicie obce. Musiała się wystraszyć i uciec. Albo ten świr jakimś cudem ją dopadł. Powinien pieprzyć rozmowę z policjantami i się nią zająć. Kiedy cudownym fartem ją odnalazł, zaraz znowu szlag wszystko trafił.

Nagle poczuł muśnięcie dłoni. Dziewczyna jakby wyrosła spod ziemi. Bez słowa szła tuż obok niego.

– Nieźle się ukryłaś – powiedział, nie zatrzymując się.

– Mam w tym trochę doświadczenia.

– Nie wątpię.

– Takie teksty niech pan sobie daruje. Zrobiłam to, o co pan prosił.

– Zrobiłaś to, bo masz trochę rozsądku.

Kiedy wyszli z podwórza, złapał ją pod rękę i poprowadził szybkim krokiem. Dziewczyna uchwyciła się go, starając się nie upaść na lodzie. Szpilki, o dziwo, nie działały jak górskie raki.

– Wyjaśni mi pan, co się dzieje? W co się znowu wpieprzyłam?

– Widzę, że znowu jesteśmy na pan.

– Czekam na odpowiedź. Albo wracam do domu.

Zdecydowanym ruchem przyciągnął ją do siebie.

– Jeżeli chcesz spieprzyć sobie życie, zrób to. Nie będę miał przynajmniej wyrzutów sumienia.

– Wyrzutów sumienia? Rano nie miał ich pan ani trochę.

– Zostałaś w to wrobiona tak samo jak ja.

– W co? W co, do cholery, zostałam wrobiona?!

Szarpnęła się i usłyszał, że łka. Nie mogli się teraz zatrzymać. Czujnie rozglądał się wokół i prowadził ją do samochodu. Miał wrażenie, że zza każdego zaułka mierzy w nich rewolwer. Jeszcze kilkaset metrów i będzie mógł odsapnąć. Ale jeszcze nie teraz.

– Musimy iść. Zaufaj mi.

– Dzisiaj rano prawie mnie pan udusił.

– To rozumiesz, jak wielką różnicę robi „prawie”.

– Nie zrobiłam nic złego!

Ostatnią prostą, popychani lodowatym wiatrem, przeszli w milczeniu. Deryło dopadł do samochodu, otworzył drzwi i niemalże wepchnął dziewczynę do środka. Przebiegł na drugą stronę. Odpalił auto i gwałtownie ruszył. Wreszcie poczuł się bezpieczniej. Adrenalina razem z ulgą spłynęła mu wzdłuż kręgosłupa. Ciężar ogromnego napięcia uwolnił klatkę piersiową, pozwalając zaczerpnąć głęboko tchu. Wyjechał z parkingu na Podzamczu i skręcił w główną aleję. Wypuścił powietrze i zabębnił palcami o kierownicę. Co teraz? Uświadomił sobie, że nie ma planu, co robić dalej. Chciał odnaleźć dziewczynę, ostrzec ją przed niebezpieczeństwem i tyle. Zagłuszyłyby wyrzuty sumienia, a ją zostawił na pastwę losu. W końcu i tak prawdopodobnie uratował jej właśnie życie. Natychmiast odsunął tę myśl. Doskonale wiedział, że tego nie robi.

– Dowiem się wreszcie, co się dzieje?

Pytanie zadane przez dziewczynę wyrwało go z zamyślenia.

– Mieszkasz z kimś czy sama?

Poczuł jej zaskoczone spojrzenie. Spojrzenie wielkich jak spodki, spanikowanych oczu.

– Sama – odparła po chwili. – Wynajmuję kawalerkę.

– Masz tu jakąś rodzinę albo znajomych?

– Mam kilka koleżanek. Będą się o mnie martwić i pytać, jeżeli o to chodzi. Bo... bo już nie wiem...

Była przerażona i drżał jej głos.

– Przenocują cię?

Zdumiona, nie odpowiedziała.

– Masz kogoś, kto cię przenocuje? – powtórzył pytanie Deryło.

– Myślę, że... chyba... Dlaczego pan pyta?

Skręcił na światłach w prawo i przyspieszył. Powziął decyzję za nią.

– Chrzanić to. Przenocujesz u mnie.

31 GRUDNIA, SYLWESTER

Filip Brodzki skończył zmianę punktualnie o północy. Dzień przed sylwestrem szef kategorycznie nakazał zamknięcie kuchni o tej porze. Codzienna zasada *last man standing* miała zostać złamana i koniec. Najwidoczniej spodziewał się wyjątkowych obrotów w ostatnią noc roku, więc wszyscy musieli działać pełną parą. Miłe i to.

– Zamkniesz? – zapytał przebierając się przy barze kelnerkę.

Zdjęła właśnie kitel z logo marki i wyciągała z torby koszulę. Filip popatrzył na jej piersi okryte czarnym koronkowym stanikiem.

– Ej! – Rzuciła w niego gąbką. – Gdzie się gapisz?

Odwróciła się w stronę umywalki i zapięła guziki.

– Moglibyśmy kiedyś wyskoczyć na kawę.

– Już to przerabialiśmy.

– Może wtedy było za wcześnie?

– Wylądowaliśmy w łóżku i skończyliśmy z przyjaźnią.

– Może właśnie dlatego warto spróbować?

Odwróciła się w jego stronę i poprawiła kołnierzyk. Miała upięte w kucyk brązowe włosy i niebieskie oczy. Po dwunastu godzinach spędzonych w barze wyglądała na starszą niż zwykle. Mimo tego była naprawdę seksowna.

– Nie wchodzę dwa razy do tej samej rzeki.

– To hasło szowinistów!

– W takim razie jestem szowinistą.

– Zlituj się więc nad biednym feministą.

Uśmiechnęła się do niego. Szczerze, ale też z wyższością.

– Feministka prędzej by usiadła na osikowym kołku, niż powiedziała, że jest biedna.

– One siadają na osikowych kołkach z miłości.

Tym razem się roześmiała. Wciąż chichocząc, odstawiła szklanki, poprawiła butelki z sokiem i szturchnęła go w bok.

– Chodź. Zamkniemy razem.

Założyli kurtki i wyszli na zewnątrz. Pub Inferno znajdował się na parterze spółdzielczego biurowca wzniesionego niemal pół wieku temu. Niezłe miejsce na skraju spokojnego osiedla i miasteczka akademickiego. Studenci na gastrofазie walili tu drzwiami i oknami.

– Odprowadzę cię – zaproponował Filip.

Z niecierpliwością czekał, aż zamknie drzwi. Miał nadzieję, że się zgodzi.

– Wracam taksówką. Już zamówiłam.

I po nadziei. Chociaż powinien spróbować.

– Może odwołasz? – Podszedł do niej, kiedy się odwróciła. – Przejdziemy się, zaoszczędzisz dwie dychy w miłym towarzystwie.

– Śniegu, wichru i lodu? Podziękuję. Po ostatnim takim spacerze skończyłam z czterdziestostopniową gorączką.

– O, właśnie... To już prawie rok.

Przypomniał sobie wiosenną przechadzkę po roztopach. Byli wtedy jeszcze szczęśliwi, ale pierwsze symptomy kryzysu zbliżały się nieuchronnie. Łatwo było je zobaczyć z perspektywy czasu. Trudno zapamiętać.

– O, jest!

Taksówka zatrzymała się na środku ulicy. I tak nie było ruchu.

– Do jutra. Pa, namolny wariacie!

Uśmiechnęła się i zbliżyła policzek do jego twarzy, zupełnie jakby chciała dać mu całusa, ale w ostatniej chwili się odsunęła. Śmiejąc się, wsiadła do taksówki. Filip pomachał jej i zaczął czekać, aż samochód odjedzie, a kogut korporacji zniknie za zasłoną śniegu.

Obtupał buty i skierował się w stronę przystanku. Za niecałe dwadzieścia minut miał nocny autobus.

Czuł, że może im się udać. Czas zabił rany i pozwala zapomnieć o krzywdach. Czas czyni ludzi dojrzałszymi. Wyciągnął telefon, żeby do niej napisać. Zastanawiał się nad treścią esemesa. Kilka słów o tym, jak tęskni. Albo co naprawdę myśli i czuje. Nie, nie, to byłoby drętwe. Wolał być zabawnym kumplem i powiedzieć jej, że ma naprawdę fajne cycki. Gówno. Debilny pomysł. Może powinien po prostu zadzwonić? Zaprosić ją na wspólnego sylwestra. Na pewno miała mnóstwo propozycji, ale przecież kiedy spróbować, jak nie razem z Nowym Rokiem.

Wokół nie było nikogo. W taką pogodę najlepiej siedzieć przy oświetlonej choince i wyglądać za okno. Do tego włączyć bożonarodzeniowe filmy i zająć się resztkami z Wigilii. Prawdziwa magia świąt. Pierwszą oznaką, że nie został jedynym człowiekiem w postapokaliptycznym świecie, był nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. Reflektory z trudem przedzierały się przez gęsty śnieg. Filip Brodzki zszedł na bok, aby nie ochlapała go rozjeżdżona plucha. W tym samym momencie kierowca wykonał gwałtowny skręt i przyspieszył. Filip nie miał żadnych szans. Rozpędzony pick-up trącił go bokiem zderzaka, gruchocząc lewe kolano. Bezładne ciało zostało odrzucone na bok i opadło z płaskiem w śnieg.

Samochód zatrzymał się kilkanaście metrów dalej. Kierowca pospiesznie wyskoczył i natychmiast podbiegł do leżącego. Nachylił się nad nim, ale nie sprawdził pulsu ani nie wyciągnął telefonu, żeby wezwać karetkę. Uśmiechnął się szeroko.

– Przynajmniej ty mi nie uciekniesz – wyszeptał.

Deryło ściągnął marynarkę, odpiął kaburę i ciężko usiadł w fotelu. Na boku koszula była lepka od krwi. Szew musiał się rozejść.

– Rozgość się.

Wskazał dziewczynie kanapę. Przez pół godziny brnięcia autem po zawianych ulicach tłumaczył jej, że jest w niebezpieczeństwie. To akurat przyjęła spokojnie. Nerwowa zrobiła się natomiast, kiedy wspomniał, że jest policjantem. Starał się mówić możliwie oględnie, nie wchodząc w żadne szczegóły, ale dziewczyna była bystra. Od pytania do pytania, i nim się zorientował, skojarzyła, że chodzi o sprawę Cztery Iksa. Nie mógł zaprzeczyć. Poza tym sam się domyślił, że w mieście nie ma ona zbyt wielu znajomych. Gwiazdeczka wyrwana z firmamentu podlubelskich dziur, w których diabeł mówi dobranoc.

Teraz obserwował, jak z zakłopotaniem siada w rogu kanapy.

– Chcesz coś zjeść? Ja jestem cholernie głodny.

Pokręciła głową. Położyła dłonie na kolanach i wyprostowała się jak angielska guwernantka.

– Dlaczego pan to robi? – zapytała.

Deryło wolał uniknąć tej rozmowy.

– Robię co?

– Nocuje mnie pan u siebie, wcześniej odnajduje w tej melinie i w ogóle chce zbawić świat. To... – zawiesiła na chwilę głos, szukając zapewne synonimu młodzieżowego slangu – dziwne.

– Nigdy nie chciałem zbawiać świata.

– Wie pan, że to przenośnia. Czy jak to tam nazywają.

– Może jestem dobrym człowiekiem.

– Może?

– To takie trudne do zrozumienia?

– Nie ma policyjnych procedur, żeby mnie chronić? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – W ogóle co to za gówno!

Gwałtownie zmieniła ton. Niemalże wrzasnęła. Deryło z wyrazem zakłopotania na twarzy zatrzymał się w progu.

– Przypuszczam, że nie chciałaś mieć nic wspólnego z policją. Poza tym formalnie nie uzasadnilibyśmy żadnego zagrożenia. Wszystko oparte było tylko na moich przypuszczeniach. Co do pytania o gówno, to już odpowiedziałem. Miałaś pieprzonego pecha i przyjmij to do wiadomości.

– I będzie mnie pan tu trzymał, aż go złapiecie?

No tak, żonę odesłał w bezpieczne miejsce, a sprowadził do siebie tę siksę. Tylko że nikt się jej tutaj nie spodziewał. Ale jak długo mógłby ją chować? Dzień? Dwa? A jeżeli ten psychol włamie się do mieszkania?

Nie odpowiadając na żadne z tych pytań, poszedł do kuchni. Zmienił gazik i bandaż, starając się nie patrzeć na ranę. Nawet nie bolało. Wyjął słoik sałatki jarzynowej, ćwikłę i talerz wędlin. Wziął sztućce i niczym kelner przemaszerał do salonu. Dziewczyna siedziała w tej samej pozycji co wcześniej. Postawił wszystko na stole i zachęcił ją, żeby podeszła.

– Nie wiem jak ty, ale ja muszę się napić.

Dziewczyna się nie odezwała, zapatrzona w postawione na komodzie zdjęcie. Przedstawiało jego rodzinę na wakacjach, nad Bałtykiem. Domyśliła się tego, widząc, że tylko pojedyncze osoby raczą się kąpielą w słoneczny dzień.

– Pańska żona nie będzie szczęśliwa – powiedziała po chwili.

– Moja żona doskonale zrozumie. W ogóle byliśmy na ty i lepiej wróćmy do tej formy. Najpierw mnie rozdrażniła, ale teraz...

– Przepraszam za to poranne rozdrażnienie...

– Nie mówmy o tym.

– Znowu dałam się w coś wrobić. Mam w życiu pieprzonego pecha. Po prostu pierdolony ciąg nieszczęść od urodzenia.

Skrzywiła się, zmieszana szastanymi przekleństwami. Deryło pomyślał, że pomimo przykrywki wulgarności jest wyjątkowo delikatna.

– Jedz.

Podał jej sztućce i talerz. Sięgnął do barku. Wiedział, że kieliszek whisky dobrze mu zrobi.

– Patrycja – powiedziała dziewczyna, siadając do stołu.

– Hmm?

– Nazywam się Patrycja Krzyska.

Nie wyciągnęła dłoni, więc jedynie się uśmiechnął.

– Jedz.

– Tylko że chciałabym być w porządku.

– To znaczy?

– Rano nie powiedziałam panu... ci wszystkiego.

Te słowa go nie ucieszyły. Podał jej szklanekę z whisky. Bez lodu.

– Śmiało. Jestem gotowy na wszystko.

– Zapewne nie pamiętasz...

– Nie zaczyna się to najlepiej.

Wypiła wszystko jednym haustem.

– Wczorajszej nocy rozmawiałeś z tym człowiekiem w masce.



Obdarte ze skóry zwłoki cuchnęły coraz intensywniej. Mdły odór wypełniał pomieszczenie i z każdym oddechem szczelniej oklejał gardło kobiety. Martwe ciało pochyliło się ku stołowi. Uwolnione soki gnilne wsiąkały w sznury i skapywały na blat. Bezgłośnie, ale przerażająco rytmicznie.

Magdalena Szus drgnęła, słysząc odgłos szybkich kroków. Od wielu godzin wpatrywała się bezmyślnie w zapaloną żarówkę. Patrzenie na światło sprawiało jej przyjemność. Bała się, że któregoś razu po prostu przyjdzie i je zgasi, pozostawiając ją w mroku z gnijącym trupem. Światło było ich dodatkowym towarzyszem.

Wszedł do pomieszczenia i stanął przy drewnianym stole. Był najwyraźniej zmęczony. Ciężko sapał, starając się uspokoić po wysiłku. Nie wiedziała, co zrobił. Nie chciała wiedzieć.

– Jak się masz? – odezwał się po chwili. – Jesteś głodna? Chce ci się pić?

Ciężko stąpając, podszedł do niej i wziął wypełniony moczem nocnik. Całą zawartość wylał gdzieś za załomem gołego muru. Odstawił naczynie i nachylił się nad dziewczyną.

– Chciałem, żebyś miała koleżankę, ale plany się zmieniły. Przepraszam. Nic na to nie powiesz?

Skuliła się, jakby spodziewała się ciosu. Oplotła rękoma kolana i pochyliła głowę.

– Tyle razy mogłem cię zabić, ale nie zrobiłem tego. Prawda?

– Tak, wiem... Mogłeś zrobić, co chciałeś!

Ze łzami w oczach zaczęła drzeć na całym ciele. Mężczyzna w masce odszedł od niej i usiadł przy stole. Przez chwilę spoglądał na zwłoki, wreszcie odwrócił się w jej stronę.

– Myślisz, że możemy być w życiu szczęśliwi? – zapytał podenerwowanym tonem. – Pozwól, że powiem ci, co ja myślę. Oczywiście, że możemy. Wystarczy, że będziemy robić dokładnie to, co chcemy. Nie będziemy się słuchać nakazów religii, narzuconego nam sumienia czy prawa. Prawdziwie szczęśliwe są dzikie zwierzęta, które robią to, co podpowiada im instynkt. Nie kalkulują, czy ich działania są dobre, czy złe. Czy zostaną zbawione, czy potępione. Człowiek został stworzony na obraz całkowicie inny, niż wymalował go świat współczesny. To takie samo podobieństwo do Boga, jak i Szatana. Żaden z nich może nie istnieć, ale to Bóg odebrał człowiekowi szczęście w zamian za nadzieję.

Wstał z krzesła i obszedł stół. Zatrzymał się za oskórowanymi zwłokami i głośno wciągnął powietrze.

– Powiedz mi, czy często chodzisz do kościoła?

Magdalena Szus oparła się plecami o mur. Musiała dać mu odpowiedź, jakiej pewnie oczekiwał. Tylko czego ten świr mógł oczekiwać?

– Teraz nie – mówiła powoli, zastanawiając się nad słowami. – W dzieciństwie chodziłam, ale od wielu lat nie.

– Zwątpiłaś?

– Chyba nigdy tak naprawdę nie wierzyłam.

– Otóż to, nasza polska tradycja. Religia przekazywana w spuściźnie z pokolenia na pokolenie.

– Zupełnie jak alkoholizm.

Chciała być miła albo chociaż go rozbawić, ale wzbudziła tylko czujne spojrzenie. Od razu wiedział. Wiedział, że chce podjąć z nim grę ofiary podlizującej się oprawcy. Chce zrobić wszystko, aby tylko przeżyć.

– Nie bój się – powiedział oschle. – Nie musisz się bać.

– To wypuść mnie.

Wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

– Wtedy musiałbym cię zabić.

– Dlaczego? Dlaczego mi to robisz?

– Bo chciałyś uciec. Ciągle tego chcesz.

– Nie wiesz tego, nie wiesz! Kim w ogóle jesteś?

Smutno potrząsnął głową.

– Nadal nic nie rozumiesz. Nadal nie rozumiesz tego, co widzisz.

– W takim razie wytłumacz mi!

Dziewczyna, powstrzymując paniczny strach, obserwowała mężczyznę. Starła się wyczytać w gestach i słowach jego historię. Ułamek wiedzy o tym psycholu mógłby pomóc jej przeżyć. Może wystarczyło wspomnieć o jego matce, a rozplakałby się i ją wypuścił? Może wystarczyło krzyknąć albo nazwać go syneczkiem? Nie mogła przecież zrobić tego bez żadnych wskazówek. Nie mogła zaryzykować. Jeden nieopatrzny krok mógł skończyć się tragicznie.

– Już czas – wysyczał. – Uchylę ci kolejnego rąbka tajemnicy.

Szybkim krokiem wyszedł z pomieszczenia. Po chwili z korytarza dobiegło szuranie, które zamieniło się w miarowy stukot. Wrócił, nim domyśliła się, co go wywołuje. Pchał przed sobą szpitalny wózek. Był do niego przywiązany zakneblowany mężczyzna.

– Oto nasz nowy biesiadnik – oznajmił wesoło. – Podoba ci się?

Deryło zerwał się z miejsca i podszedł do dziewczyny.

– Jak to rozmawiałem?

– Miałeś otwarte drzwi. Kiedy weszliśmy, ten mężczyzna poprowadził mnie prosto do twojej sypialni. Nie przejmował się tym, że pana... to znaczy ciebie... obudzi. Wstałeś z łóżka i myślałam, że już wszystko pozamiatane.

– W jakim sensie?

– Że nie dostanę kasy, skoro nie da się ciebie nabrać.

– Nic z tego nie pamiętam.

– Mówił, że nie będziesz niczego pamiętać. To było około czwartej, może piątej nad ranem.

– O czym mówiliśmy?

– Nie wiem. – Dziewczyna smutno wzruszyła ramionami. – Poprosił, żebym zaczekała na korytarzu, a sam przymknął drzwi. Był w środku kilka minut.

– I nic nie usłyszałaś?

– Tylko ostatnie słowa. Jak już wychodził, a ty leżałaś przy zgaszonym świetle. – Dziewczyna zakryła twarz dłońmi i bezsilnie pokręciła głową. – Boże. Przecież to było chore od samego początku.

– Co to były za słowa?

Pociągnęła nosem i spojrzała na niego.

– Powiedział coś o filmie wideo. Że ma go specjalnie dla ciebie czy że nagrał go specjalnie dla ciebie.

– I tyle?

– Przysięgam, że tyle sama pamiętam.

Deryło czuł buzowanie krwi w żyłach, kręciło mu się w głowie.

– Sukinsyn!

Zamaskowana postać wskazała na przywiązanego do wózka mężczyznę. Puciołowaty trzydziestolatek został zakneblowany, a pasy uniemożliwiały mu jakiegokolwiek ruchu. Lewa nogawka jego spodni była rozdarta i oblepiona krwią.

– Miałem problemy logistyczne. Powinniśmy utopić go w morzu, ale poradzimy sobie inaczej. Pomożesz mi? Zaczekaj chwilę.

Po raz kolejny mężczyzna poszedł do drugiego pomieszczenia. Po chwili rozległo się tam metaliczne brzęczenie. Magdalena Szus starała się wsłuchiwać we wszelkie odgłosy. Mogły dać jej wskazówkę, gdzie jest, i pomóc w ucieczce. Nim zdołała rozpoznać źródło dźwięku, wrócił, wlokąc za sobą wielką metalową balię. Przeszedł koło niej i ustawił ją tuż obok skrępowanego mężczyzny. Z satysfakcją patrzył na jego rozpaczliwe próby poruszenia się. Wierzgał jak ryba wrzucona do pustego wiadra. Knebel włożony w usta skutecznie hamował dźwięki, tak że przez szmatę płynęło jedynie stłumione rżenie.

– Chciałem zrobić to dopiero jutro, ale poczułem, że muszę działać – zamaskowany mówił tłumaczącym tonem. – Dziś, teraz, nagle! Jechałem samochodem i coś się we mnie odezwało. Niektórzy nazywają to chyba głosem, ale to wcale nie tak. To... – sapnął, ruszając wózek z miejsca – to zupełnie jak błysk światła. Nie przemawia, ale rozszerza źrenice.

Spojrzał na Magdalенę Szus i zachichotał.

– Wiesz co? To chyba Opatrzność. Najwyraźniej mieliśmy dziś zabić właśnie jego.

Pogwizdując, zatrzymał wózek z mężczyzną i znowu zniknął z oczu kobiety.

– Już wcześniej mogłem pomyśleć o szlauchu – usłyszała jego słowa zniekształcone przez echo. – Nawet nie wiesz, ile się nadzwigałem wody przy tym pierwszym. Tylko że wtedy musiałem ją podgrzewać. Skóra polana wrzątkiem schodzi zdecydowanie łatwiej.

Po chwili wrócił, rozwijając długi wąż. Wsadził jego końcówkę do balii i przekręcając blokadę, puścił wodę. Strumień z szumem napał na blaszaną ścianę. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Magdalенę Szus.

– Dałem ci łaskę życia, żebyś mi pomagała – szepnął. – Będiesz radosnym przeciwieństwem tej apoteozy śmierci. A kiedyś pierwsza obwieścisz Dobrą Nowinę.

Zwróciła uwagę na używane przez niego wyrazy. Apoteoza. Nie każdy wysławiał się w taki sposób. Tylko ta wiedza nie mogła jej w niczym pomóc. Mimo przerażenia musiała grać na zwłokę. Póki trzymała się resztek świadomości.

– Nic z tego nie rozumiem. Jaką Dobrą Nowinę?

– Za dużo pytasz.

– Proszę...

Postać w masce zirytowanym gestem przecięła powietrze. Szlauch wpadł do balii i zanurzył się w wodzie, wypluwając kolejne litry.

– Patrz, jak łatwo życie ulatuje z człowieka.

Zamaskowany obrócił wózek w stronę prawie pełnej balii. Drapieżnym ruchem dopadł

głowy skrępowanego, wygiął ją i zanurzył w wodzie. Głośno sapiąc, dociskał kark walczącego o oddech mężczyzny.

Magdalena zerwała się w jego stronę na tyle, na ile pozwoliły jej więzy.

– Nie! – krzyknęła przeraźliwie. – Nie musisz go zabijać! Proszę, nie rób tego!

Nawet na nią nie spojrział. Z całej siły dociskał głowę wijącej się ofiary. Mimo pasów mężczyzna drżał i szarpał wózkami. Jego stopy spazmatycznie uderzały o metalową podpórkę. W pewnej chwili udało mu się zaczerpnąć powietrza, ale zamaskowany uderzył go łokciem w kark. Obciążył go ciężarem niemalże całego ciała. Charcząc i plując, wpychał głowę pod taflę przelewającej się z baliu wody. Nagle jego ofiara znieruchomiła. Zupełnie jak zabawka pozbawiona baterii.

Magdalena Szus nie mogła powstrzymać płaczu. Histerycznego, niekontrolowanego płaczu. Kątem oka zobaczyła, że zamaskowany mężczyzna nieopatrznie stanął na szlauchu. Instykt przetrwania natychmiast podsunął obrazy działania. Gdyby umiejętnie szarpnęła węzeł, być może by upadł. Wtedy mogłaby spróbować roztrzaskać mu głowę obluźowaną cegłówką. Dlaczego nie przygotowała jej wcześniej? Wystarczyły dwa, trzy błyskawiczne ruchy. Ukradkiem spojrzała w stronę ściany i natychmiast przeszył ją jego uważny wzrok.

– Nie myśl o tym – powiedział, jakby czytał jej w myślach. – Jeżeli będziesz niegrzeczna, będę zmuszony znaleźć kogoś na twoje miejsce.

Rozluźnił uchwyt i puścił bezwładne zwłoki. Głowa z chlupnięciem opadła do tyłu. Dziewczyna odwróciła wzrok od upiornej twarzy. Sinej, opuchniętej i wykręconej grymasem. Knebel wystawał z obrzmiałych ust. Gałki oczne nabiegły krwią i obróciły się, rzucając ostatnie spojrzenie gdzieś pod rozchylone powieki.

Zamaskowana postać zeszała ze szlauchu i zrobiła krok naprzód. Radośnie zatarła dłonie.

– Będzie wspaniale wyglądał obok Świętego Bartłomieja, prawda?

Deryło nie mógł spać, a kiedy już zasnął, dręczyły go koszmary. Obudził się zlany potem. Było jeszcze ciemno, ale nie zapalając światła, poszedł do kuchni. Elektroniczny zegar wskazywał szóstą pięćdziesiąt. Postawił kawiarkę na płycie i podciągnął roletę. Dopiero wtedy zobaczył kartkę przypiętą do drzwi lodówki. Zerwał ją i włączył oświetlenie okapu.

Znalazłam kogoś, kto mnie przenocuje. Tak będzie najlepiej. Dziękuję za wszystko!

Komisarz szybko przeszedł do pokoju gościnnego, ale ten był pusty. Jedyne ślad po dziewczynie stanowiło pospiesznie zaścielone łóżko. Bezsilnie uderzył dłonią w ścianę. Nie chciał się przyznać, że to być może było najlepsze zakończenie. Problem rozwiązał się sam. W jego mieszkaniu nie była bezpieczna.

Do cna zirytowało go jednak to, że znowu coś wydarzyło się wbrew niemu. Poszło nie tak, jak sam zaplanował. Tylko że przecież nie miał żadnego planu. Działał jak ślepiec, któremu kazano grać w ping-ponga.

Powinien się uspokoić. Jeszcze chwila takiego permanentnego wkurwienia i zmęczone serce samo powie mu *adiós*.

Włączył telewizor i wybrał poranne wiadomości. Sprawa Cztery Iksa po raz pierwszy nie była w czołówce. Tak będzie, dopóki media nie dowiedzą się o kawałku ludzkiej skóry. Zastanowił się, czy laboratorium już coś znalazło. Jakikolwiek trop, który pozwoliłby na konkretne wnioski. Szczerze w to wątpił.

Nalał pełną filiżankę kawy i wrócił do salonu. Całkowita cisza nie była możliwa. Właśnie emitowano najnowsze oświadczenie rzecznik lubelskiej Prokuratury Okręgowej. Kilka okrągłych zdań przykrywających marazm sytuacji. Jedyną nowością był europejski nakaz aresztowania wydany za księdzem. Rzucali do walki wszystkie siły, angażując w poszukiwania służby międzynarodowe. Nie sądził, żeby to było potrzebne. Chyba że pojawiły się podejrzenia o możliwość opuszczenia Polski przez Cztery Iksa. Mało prawdopodobne. Czy nie brali pod uwagę tego, że to on wczoraj mógł być w nocnym lokalu? Siatka powiązań pomiędzy nim a niedoszłymi satanistami wydawała się krucha. Zmanipulowane osoby z wąskiego kręgu. Tylko że zawsze mógł być ktoś jeszcze. Naśladowca? Nie chciał wierzyć, żeby pojawił się tak szybko i działał tak bezwzględnie. Z drugiej strony (choć ciężko było to przyznać), jak dotąd Tracz miał wiele racji w swoich domysłach.

Dopił kawę i wybrał numer córki.

– Coś się stało? Obudziłeś nas.

No tak, dopiero minęła siódma.

– Przepraszam, chciałem zapytać, co u was?

– W porządku.

– W porządku i tyle?

Przez chwilę się nie odzywała.

– Nie mogę spać, cały czas myślę o tej pieprzonej norze, a ty pytasz co u mnie! –

wykrzyczała tak głośno, że musiał przyciszyć telefon. – Nie jest w porządku. Nic, kurwa, nie jest w porządku!

– Wiki, proszę cię, uspokój się...

Nigdy nie słyszał jej tak zdenerwowanej. Nigdy w jego obecności tak nie przeklęła. Po raz kolejny przytłoczyło go poczucie winy za to, co się z nią stało.

– Nie uspokoję się. Nie chcę z tobą o tym nawet rozmawiać.

– Co w ciebie wstąpiło?

– Pierdolone nieszczęście, że mam ojca policjanta, który nie może dorwać pokręconego psychopaty. To we mnie wstąpiło i...

Usłyszał niewyraźne dźwięki, a po nich głos swojej żony.

– Nie wiem, co się dzieje. – Była tak samo zmartwiona, jak zmęczona. – Psycholog mówił, że to wszystko może dotrzeć do niej dopiero po kilku dniach...

– Patrzyłaś, czy bierze leki?

– Tak. Nie martw się tym, poradzimy sobie. W ośrodku też jest terapeuta.

– Może powinienem być teraz przy was.

– Może...

Sugestia była jednoznaczna. Tylko że wtedy nie potrafiłby zachować spokoju. Próbując działać, tłumził wszystkie swoje emocje i nie myślał, jak bardzo zawalił.

– Wiesz, jak bardzo staram się, żeby...

– Nie musisz mi tego tłumaczyć – przerwała mu. – Ale dopóki jesteś na zwolnieniu, masz związane ręce.

– Tylko formalnie.

– Co by się nie działo, za kilka dni musimy wrócić. Nie możemy przez to wszystko zrezygnować z normalnego życia.

– Kilka dni.

– Przez ten czas poradzimy sobie.

– Wiem. Dziękuję. I proszę, ucałuj ode mnie Wiki.

– Zaczęła z tym humorem już wczoraj wieczorem. Poszliśmy grać w bilard, wszystko było tak dobrze, a potem... Nieważne. Dojdzie do siebie. Wszyscy dojdziemy.

– Jestem tego pewny.

– Zaraz pójdziemy na śniadanie, a potem pospacerujemy. W nocy napadało chyba mnóstwo śniegu, a tu...

Ktoś dzwonił. Odsunął telefon od ucha i zerknął na wyświetlacz. Brzeski. Nie był świadomy, że jego instynkt właśnie dokonał wyboru.

Szybko pożegnał się i przełączył rozmowę. Funkcja, której nauczył się całkiem niedawno. Spodziewał się niezwykłych wiadomości i był w formie. Aspirant wypowiedział jedno zdanie.

Wystarczyło, by wyrwać go z melancholijnego odrętwienia.

Oczy Tracza były czerwone jak ślepia królika. Otarł je wierzchem dłoni i wsunął do ust papierosa. Delikatnie przygryzł filtr. Przez chwilę czubkiem języka trącał dziurkę, która miała go uratować od raka, wreszcie wyduł wargi i odpalił.

Od czwartej nad ranem zapisał kilkanaście stron kratkowanego zeszytu. Kilkaset zdań uwag, komentarzy i spostrzeżeń. Wynotował istotne fragmenty z książek, które piętrzyły się na biurku i poniewierały po podłodze. Od godziny wypełniał test MPMII, mający na celu zdiagnozowanie osobowości sprawcy. W jego zastępstwie.

Było to klasyczne wykorzystanie metod douglasowskiej szkoły profilowania. Jej twórca, nieodżałowany profesor John Malcolm Douglas, opracował pięć wytycznych, którymi powinno się kierować przy tworzeniu portretów psychologicznych sprawców. Na pierwszym miejscu była autodiagnoza. Auto – biorąc pod uwagę, że na miejscu zerowym, absolutnie priorytetowym, umieszczono nakaz nieustannego postrzegania siebie jako badanego obiektu. Działo to jak profilerska metoda Stanisławskiego.

Co kilkanaście minut musiał wychodzić ze swojej roli. Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne prowadziło badania nad wpływem naśladownictwa innej osobowości na psychikę badacza. Wciąż nie wyciągnięto jednoznacznych wniosków, ale z całą pewnością nie pozostawało to obojętne. Tracz doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Dlatego papieros stanowił przyjemny powrót do własnego „ja”. Przez chwilę spoglądał na wszystko z boku. Perspektywa trzeciej osoby również miała swoje zalety. Na przykład ze zdziwieniem dostrzegł, że w rubryce „nawracające retrospekcje z dzieciństwa” zakreślił wielki iks. Dwa pola niżej, przy pytaniu o „traumatyczne doświadczenia”, zanotował tylko dwa wyrazy: „mój sekret”. Większość badanych miała sekrety, ale sam fakt ich posiadania woleli oni zachować dla siebie. Zmyślali, wykręcali się, ale nie przyznawali do tajemnic. W tym przypadku autodiagnoza wykazała szczerą intencję – rys charakteru niepasujący do seryjnego zabójcy.

Tracz strzepnął popiół. Zastanowił się, ile ma czasu. Wydział kryminalny nie będzie w nieskończoność finansować tych badań. Prawda była bolesna. Skoro sprawca został zidentyfikowany, odpadała najważniejsza część jego pracy. Wielu mogłoby powiedzieć, że stał się już niepotrzebny. Ale w tym wypadku na pokładzie ważna była każda para rąk. Poza tym wciąż nieznaną pozostawały motywacja zabójcy i schemat jego działania. Profesor Douglas powtarzał, że praca profilera kończy się dopiero wtedy, gdy sprawca zostanie ujęty. Lub – wszak profesor Douglas pochodził z Teksasu – zastrzelony.

Rys psychologiczny zabójcy był jak okruchy chleba, po których można go tropić. Idealnie wykonany, pozwalał w pewnym momencie pojawić się nawet przed nim i zastawić sidła. Ideały oczywiście nie istniały, ale warto do nich dążyć. Książkowo metody brzmiały bardzo ciekawie. W praktyce wypadały jeszcze lepiej, zachęcając do nieustannej pracy.



Tracz otarł papierosa o brzeg popielniczki i go zgasił. Przez chwilę przytrzymał peta, dusząc pozostały żar. Wreszcie odgiął się na fotelu i oblizał usta. Uśmiechnął się delikatnie, odsłaniając zęby. Znow był zabójcą.

Człowiek, który rzekomo widział Cztery Iksa, miał być przesłuchany lada moment. Deryło doskonale wiedział, że cynk od Brzeskiego stanowił zachętę do przyjazdu. Co prawda, nie spodziewał się nikogo wiarygodnego. Raczej kolejnego konfabulanta, który wymyślił historię, byle zaistnieć. Tacy byli najgorsi. Znacznie gorsi od przytępiałych starszków utrzymujących, że widzieli poszukiwanego, a na pytanie gdzie, odpowiadających, że w czterdziestym piątym w zrujnowanej Warszawie. Ci byli po prostu smutni. Mimo wszystko szansa, że uda się pchnąć śledztwo do przodu, rozpałała iskrę nadziei. Chciał dorwać sukinsyna i wrócić do normalnego życia. Choćby miał na dobre wylecieć ze służby.

Kwadrans po telefonie Brzeskiego wślizgnął się do budynku komendy. Chyłkiem przemknął w stronę pokoju przesłuchań. Mimo wczesnej pory czynności musiały już zostać podjęte. W środku byli Lipski i Brzeski. Prokurator Malczewski zapewne machnął ręką na to przesłuchanie. Jeżeli wyciągną rozsądne informacje, poinformują go, jeżeli nie, przynajmniej się wyśpi. Deryło aż za dobrze znał jego podejście. Poza tym przed wejściem nie spotkał tłumu dziennikarzy, a bez mediów Malczewski tracił zapal.

– Kiedy go pan widział? – zapytał Lipski.

Mężczyzna siedzący naprzeciw policjantów wyglądał jak wrak człowieka. Zmarszczony bardziej od shar peia, trzymał głowę pomiędzy szerokimi ramionami. Jego sylwetka nosiła ślady atletycznej, dawno zapomnianej siły.

– Wczoraj.

– I dopiero teraz przychodzi pan na policję?

– Widziałem wieczorem w *Wiadomościach* materiał i fotografię. Uznałem, że już za późno i że jeden dzień, a właściwie parę godzin, niczego nie zmieni. I tak pewnie sobie poszedł. Poza tym dopiero dzisiaj usłyszałem o nagrodzie. Podali to w radio, jak wstałem...

– No dobrze. – Lipski wyciągnął kilka fotografii i podał je Byrczowi. – Czy to jego pan widział?

Mężczyzna poprawił okulary i mrużąc oczy, przyjrzał się zdjęciom. Uważnie obracał je w powyginanych przez artretyzm palcach. Po chwili odłożył je na stół i się wyprostował. Na tyle, na ile pozwalał mu jego kręgosłup.

– Jestem pewny, że to on.

Lipski założył ręce na piersi i wymienił spojrzenie z Brzeskim.

– Proszę jeszcze raz powiedzieć gdzie – odezwał się aspirant.

– Na klatce schodowej punktowca przy Kraśnickiej.

– Mówi pan o wieżowcu?

– Tak.

– Dokładnie o którym?

Byrcz podał adres.

– Proszę mówić szerzej. Przyszedł pan z konkretnymi informacjami, ale za

przeproszeniem, każde słowo musimy wyduszać.

– Co takiego mówić? – Mężczyzna obruszył się. – Panowie pytacie, ja odpowiadam. Powiedziałem, że go widziałem i gdzie.

– Co pan tam robił, skąd szedł rozpoznany przez pana podejrzany, może widział pan, gdzie wchodził, cokolwiek?

– Dorabiam jako sprzątac. W tym punktowcu jakoś po siedemnastej może bliżej osiemnastej minął mnie. Szedł klatką schodową, byłem akurat między drugim a trzecim piętrem.

– Starzec się zamyślił. – Albo między trzecim a czwartym... Nie przechodzi tamtędy wielu ludzi. Wszyscy przecież korzystają z windy. Dlatego zaskoczyło mnie, że ktoś w moim wieku chodzi po schodach. Chociaż to podobno dobre na kamienie w pęcherzu.

Byrcz uśmiechnął się, ale policjanci nie podzielili jego poczucia humoru. Lipski zapisał coś w notatniku.

– Szedł na górę?

– Tak. Nie słyszałem, żeby skręcił w któryś z korytarzy, ale pewnie nie zwróciłbym na to uwagi.

– Zapamiętał pan jego ubranie?

– Chyba ciemny płaszcz. Albo długa ciemna kurtka.

– Szalik, rękawiczki, buty?

– Nie pamiętam.

Lipski znowu coś zanotował.

– Czy sprzątał pan sam?

– Tak. Pracujemy po dwie osoby, ale w punktowcach każdy zajmuje się oddzielną klatką.

W taflি weneckiego lustra Deryło zobaczył, że ktoś do niego podchodzi. Odwrócił się.

– Jeżeli słuchy mnie nie mylą, komisarz Deryło we własnej osobie?

Wysoki, smukły sześćdziesięciolatek stanął tuż przy nim. Miał poźółkłą, zmarszczoną skórę i głębokie bruzdy pod oczami. Wyglądały tak, jakby przez całe życie wyrzeźbiły je grube binokle. Granatowy garnitur, śnieżnobiała koszula i czerwony krawat dopełniały obrazu stetryczalego sztywniaka. Deryło go nie znał.

– Zgadza się. – Skinął głową. – A kto pyta?

– Inspektor Romuald Bicki, Warszawa.

Mężczyzna nie podał mu dłoni. Z cynicznym uśmiechem popatrzył na pokój przesłuchań.

– Ponoć ten ramol widział Cztery Iksa?

– Zgadza się – powtórzył Deryło.

– Niby gdzie?

– Na klatce schodowej jednego z wieżowców. Jest sprzątacem.

– Wygląda na takiego, co sprząta wodę z kieliszków.

Mało wyrafinowana uwaga. Do tego rzucona z pogardliwą wyższością. Deryło domyślał się powodów przyjazdu inspektora, ale wolał się upewnić.

– Warszawa tutaj? Tak rano? – zaczął umyślnie nieskładnie. – Sprawy służbowe?

Bicki odwrócił się w jego stronę. Obrzucił go ironicznym spojrzeniem zażółconych oczu.

– Rozwiązałem sprawę Wampira z Bemowa i doprowadziłem do skazania pięciu najważniejszych kilerów grupy mokotowskiej – wycodził bez ukrywania dumy. – Praktycznie sam. Teraz sprowadzono mnie tutaj, bo narobił pan syfu. Wszędzie jest totalny burdel, a ministerstwo najwidoczniej ufa, że to posprzątam.

Nieelegancka wycieczka personalna. Deryło zbył ją milczeniem. Uśmiechnął się, słysząc, jak Byrcz targuje się o ewentualną nagrodę.

– Do śmiechu panu, komisarzu?

- Bynajmniej nie z powodu pańskich słów, inspektorze. Mam podzielną uwagę.
- Nie powinno tu pana być.
- Jeszcze nie jest pan moim przełożonym.

Bicki momentalnie zakipiał. Zaczerwienił się i zmarszczył czoło, pogłębiając zmarszczki do głębokości bruzd orných. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do jakiegokolwiek sprzeciwu. Po chwili wziął głęboki oddech i opanował się, zagryzając zęby.

– Jeśli jeszcze raz pana zobaczę na komisariacie, nie będzie tak miło. Zrobię wszystko, żeby pańska sprawa zakończyła się dyscyplinarnie. I to nie na upomnieniu. A niech mi pan wierzy, komisarzu, moje ręce sięgają daleko poza Warszawę.

Deryło uważnie popatrzył na inspektora. Nie rozumiał, dlaczego ten był na niego tak cięty. Klasyczny warszawski ściskodup.

Poprawił płaszcz i niespiesznym kokiem skierował się w stronę wyjścia.

- Miło było pana poznać – rzucił przez ramię.

Rozdrażniony, wrócił do auta. Nie uruchamiając silnika, włączył radio. Otworzył boczny schowek i przeczucił dziesiątki płyt w poszukiwaniu pendrive'a z utworami Mozarta. Mimo pokaźnej pojemności zmieściła się na nim jedynie część z blisko siedmiuset dzieł Austriaka. Ktoś ponoć obliczył, że samo ich odręczne przepisanie zajęłoby kilkadziesiąt lat.

Deryło gniewnie zatrzaskał klapkę. Nigdzie nie mógł znaleźć dysku. Cały ranek składał się z pasma problemów, zwieńczonych taką bzdurą. Jego myśli na zmianę przeskakiwały z troski o prawie nieznaną dziewczynę, przez rozmowę z córką, na cholernego buca z Warszawy. W chwili gdy sprawa mogła się rozkręcić, tracił z nią jakikolwiek kontakt. Może powinien pojechać do Elku i po prostu odpocząć. Złapanie sprawy stało się dla niego zbyt osobiste.

Z zamyślenia wyrwał go komunikat radiowy. Redaktor z niezdrowym podnieceniem dzielił się informacją o odnalezionym fragmencie skóry. Deryło rozparł się w fotelu. Pewnie pismaki wiedziały teraz więcej od niego. Z zaciekawieniem posłuchał o okolicznościach zdarzenia przedstawionych przez anonimowe źródło. Nienawidził tych gnid, które zdradzają tajemnice śledztwa. Nawet kontrolowane przecieki zmieniali zaraz w prawdziwe wodospady informacji. Całość podkrecona dziennikarskimi domysłami rodziła psychozę społeczną. Nic dziwnego, że ktoś właśnie zapowiadał zorganizowanie patroli obywatelskich. Jakby te mogły się do czegoś przydać.

W ciągu nadzwyczajnych newsów kolejnym miało być oświadczenie mecenasa Obar. Deryło podgłośnił.

*Mój klient został skierowany na czterotygodniową obserwację psychiatryczną. Wniosek w tej sprawie złożyła prokuratura na podstawie wstępnych badań lekarzy psychiatrów. Proszę państwa, należy uszanować taką decyzję sądu, chociaż udział Wiktora P. w zbrodniach tak zwanego Cztery Iksa budzi liczne uzasadnione wątpliwości. Mimo tego dla prawidłowego przeprowadzenia postępowania niezbędne jest określenie, czy był on poczytalny w momencie ewentualnego utrzymywania jakichkolwiek relacji ze sprawcą morderstw i czy jest poczytalny w chwili obecnej. Oczywiście przekłada się to na zdolność występowania w procesie i poniesienia ewentualnej odpowiedzialności karnej...* Adwokat mówił dalej, ale Deryło wyłączył radio. Nie zdziwiłoby go, gdyby Puszke rzeczywiście był niewinny. Z zabójstwami łączyło go jednak tak wiele dowodów poszlakowych, że sąd musiał przyklepać tymczasowe aresztowanie. Obserwacja psychiatryczna była dodatkowym rozgrzeszeniem.

Na siedzeniu obok zawibrował telefon. Od rana nie włączył jeszcze dzwonka.

Nieznany numer. Zazwyczaj miał je w dupie, spodziewając się tych gnid, telemarketerów, ale tym razem przeciągnął ikonę zielonej słuchawki.

– Komisarz Deryło? Mówi inspektor Knap.

Fatalnie. Teraz mógł spodziewać się wszystkiego, co najgorsze. Skoro naczelnik pofatygował się i zdobył jego prywatny numer, pewnie chodziło o coś grubego. Najprawdopodobniej grubą aferą z jego udziałem.

- Wiem, że niedawno był pan na komendzie. – Nim Deryło zdążył się odezwać, dorzucił:
- Jeśli zdrowie panu pozwala, zapraszam natychmiast do siebie.

Kiedy maszerował głównym korytarzem, do głowy przychodziły mu dziesiątki możliwych scenariuszy. Inspektor Bicki mógł już podjąć interwencję, co wydawało się najbardziej prawdopodobne. Możliwe też było ostateczne zatwierdzenie jego przenosin do Opola Lubelskiego. Degradacja? Dyscyplinarka? Wigilijna akcja na pewno nie była bezbłędna. Z drugiej strony tylko dzięki niemu ewakuowano na czas katedrę i odkryto salę tortur w pobliskiej kamienicy. Bilans plusów i minusów się równoważył. Największe wyrzuty sumienia miał w związku z Banachem.

– Pan komisarz znowu tutaj?

Prawie zderzył się z biegnącą posterunkową Nowak. Kobieta z gracją niemieckiej ofensywy pod Stalingradem zatrzymała się tuż przed nim.

– Posterunkowa także? – odparł, siląc się na uśmiech. – Co to za pośpiech?

– Naczelnik chce ode mnie osobisty raport z przebiegu sprawy. Na piśmie.

– Sprawy?

– Naszej sprawy.

Powiedziała to z naciskiem, jakby podlegała mu tylko w jednym śledztwie.

– Na kiedy ten raport?

– Najlepiej na już. Muszę to wszystko opracować, uporządkować, przecież ja brałam udział tylko w małym wycinku działań...

Zachowywała się, jakby miała w pojedynkę odgruzować Berlin. Jej blade policzki poczerwieniały, a mięśnie kwadratowej szczęki się napięły. Była podekscytowana. Deryło skinał jej, aby szła dalej.

– Nie zatrzymuję.

– Ja również, panie komisarzu. Pozwolę sobie zapytać tylko o zdrowie...

– Nie narzekam. Czołem!

Machnął dłonią ponad brwią i ruszył w głąb korytarza. To nie mógł być zbieg okoliczności, że posterunkowa miała napisać raport właśnie teraz. Zastanawiał się, w jakim świetle go przedstawi. Mimo że traktował ją z pobłażaniem, zawsze była lojalna. *Meine Ehre heißt Treue*, moim honorem jest wierność, tak to leciało? Wjechał windą na trzecie piętro i zatrzymał się przed drzwiami naczelnika. Wziął głęboki oddech. Zapukał, dopiero gdy usłyszał kroki na korytarzu. Nie zamierzał wyjść przed nikim na durnia stojącego jak słup soli przed gabinetem szefa.

– Komisarz Deryło!

Naczelnik Knap spojrzał na niego sponad sterty papierów. Wskazał na fotel po drugiej stronie biurka.

– Proszę siadać.

Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Usta skryte pod szczeciniastym, siwym wąsem poruszały się jak u pacyнки. Deryło, nie zdejmując płaszcza, usiadł naprzeciwko przełożonego.

Spodziewał się najgorszego.

– Chciał mnie pan widzieć, naczelniku.

– A i owszem. – Inspektor sięgnął po elektronicznego papierosa. – Nie będzie panu przeszkadzało?

– Absolutnie.

– Są ponoć bardziej szkodliwe od normalnych. Ale przynajmniej ubrania nie śmierdzą.

– Zdaje się, że nawet pachną.

Knap wypuścił kłęb dymu o zapachu owoców cytrusowych. Pomarańcza. A może mandarynka?

– Przysłuchiwał się pan rozmowie z człowiekiem, który rzekomo widział naszego podejrzanego.

Zdanie zostało wypowiedziane tonem stwierdzenia, nie pytania.

– Nasi ludzie już pojechali na miejsce – ciągnął inspektor. – Będą rozpytywać, wypytywać, może ktoś jeszcze go widział. A może po prostu to ktoś podobny. Śmiem wątpić w takie przypadki.

– Może to nie przypadek.

– Co ma pan na myśli?

– Nie zdziwiłbym się, gdyby on umyślnie się komuś pokazał.

– W jakim celu?

– Nie wiem. Zmylenia tropów? Skierowania podejrzeń z dala od siebie?

Knap zaciągnął się tak mocno, że ledowa grzałka przeszła z pomarańczowego koloru w czerwony. Wypuścił dym w stronę okna.

– A jeżeli on był tylko niedołącznym narzędziem? Nie pomyślał pan, że Wiktor Puszke mógł mówić prawdę?

Deryło przygryzł wargi. Skąd naczelnik wiedział o tym, że był obecny również przy tym przesłuchaniu? Nieważne. Skoro mieli grać w otwarte karty, nie zamierzał oszukiwać.

– Nie sądzę. Z informacji, które zdobyliśmy o Danielu Kosie, nie powstał obraz osoby zbyt inteligentnej.

– Ale opętanej.

– Szalonej.

– O, właśnie. To mogło wystarczyć.

Do czego zmierzała ta wymiana zdań? Deryło rozpiął płaszcz i poprawił się w fotelu. Nagłe pytanie Knapa przywróciło rozmowę na spodziewane tory.

– W ogóle jak się pan czuje, komisarzu?

Wzruszył ramionami, nie zamierzając wdawać się w dyskusję. Przyszła mu do głowy jedna odpowiedź.

– Gotowy do pracy.

– Tak jak wczoraj wieczorem? Dostałem rano notatkę spod tego burdelu.

– Chodzą za mną nieszczęścia.

– Mam wrażenie, że to pan za nimi chodzi, komisarzu.

– Chyba nie wypada mi zaprzeczać.

Knap odłożył papierosa i spojrzał Deryle w oczy.

– Czy to był on? – zapytał, zniżając głos.

Komisarz nie spuścił wzroku.

– Nie wiem. Sam się nad tym zastanawiam.

– Przypuszczam, że nie wie pan też, skąd mógł się tam wziąć?

– Zbieg okoliczności.



– Zbieg okoliczności?

Nie mógł wspomnieć o dziewczynie. W tym wypadku na szczerłość było już za późno. Gra w otwarte karty wymagała pełnej talii.

– Po prostu miałem takie przeczucie.

Naczelnik sięgnął po elektronicznego papierosa, ale tym razem się nie zaciągnął. Potarł ustnikiem o wąsy, po czym go odłożył.

– Nie wiem, jak pan tam dotarł, i w tym momencie nie obchodzi mnie to. Mam jednak wrażenie, że jest pan bliżej tego zwyrodnialca niż my. I to mimo informacji od tego Byrcza czy jak mu tam. A wie pan, że my i pan to powinna być ta sama osoba.

– Zdaję sobie sprawę.

– A z tego, że Warszawa zastanawiała się nad dyscyplinarką?

– Doszły mnie takie słuchy. Dziwi mnie tylko czas przeszły, którego pan użył.

– Pewne sprawy już się wyjaśniły.

– Umieram z ciekawości.

– Najpierw czymś pana zaskoczę. – Knap wydał usta. – Technicy znaleźli w kamienicy list adresowany właśnie do pana.

Ewa Deryło nie mogła nadążyć za córką. Dwudziestolatka pędziła drewnianą promenadą na terenie policyjnego ośrodka, nie zważając na skrzący się w słońcu lód. Zupełnie nieoczekiwanie wybuchła równie ponurym nastrojem jak rano. Rozpłakała się i pomaszerowała przed siebie.

– Wiktoria!

Dziewczyna nawet się nie odwróciła.

– Wiktoria!

Ewa przyspieszyła kroku. Była całkowicie zdezorientowana. Nie wiedziała, jak się zachować. Z jednej strony była wściekła, z drugiej co chwilę dziękowała Bogu, że ich córka jest żywa. Chciała ją zrozumieć. Po tym, co przeszła, można było spodziewać się wszystkiego. Nawet tego, że całkowicie ześwirowała. Za tę ostatnią myśl Ewa Deryło się zgaśniła. Podbiegła kilka kroków i dogoniła córkę.

– Dlaczego się tak zachowujesz? Co w ciebie wstąpiło?

Wiktoria zatrzymała się w miejscu i odwróciła. Nerwowym ruchem odgarnęła kręcone brązowe włosy i otarła łzy.

– Coś sobie przypomniałam. I, do diabła, nie pytaj mnie tylko, co takiego.

– Chcę Ci pomóc, ale niczego nie rozumiem!

– Wszyscy od dawna zgrywamy słodkich idiotów, a tak naprawdę ta rodzina jest gównem warta. Popatrz, co się teraz dzieje.

– O co ci chodzi?

– O ojca!

– To znaczy?

– Zostawił nas, rozumiesz? – Dziewczyna nie panowała nad głosem. – Zostawił!

Starsze małżeństwo przeszło obok, spoglądając na nie z zaciekawieniem. Mężczyzna poprawił kołnierz płaszcza i szalik, jakby chciał ukryć własną wścibskość. Kiedy się oddalili, Ewa pogładziła córkę po policzku.

– Jak możesz tak mówić? – odezwała się troskliwie. – Tata robi wszystko, żebyśmy byli bezpieczni. Nie zostawił nas i nigdy nie zostawi.

– To czemu go z nami nie ma? – Wiktoria z odrazą odtrąciła jej rękę.

– Wiesz, że pracuje.

– Tak samo jak zawsze!

– Wiki, błagam cię, skup się i bądź silna. Musisz być silna.

– Tak jak tata?

– Chodź, zadzwońmy do niego. Powinnaś chyba z nim zamienić kilka słów. Sama posłuchaj, jak się stęsknił...

Ewa wyciągnęła telefon i wybrała numer męża. Przestępując z nogi na nogę, odczekała kilka sygnałów, aż włączyła się poczta głosowa.

– Pewnie nie może odebrać.

Wiktoria roześmiała się sarkastycznie.

– Co za bydlę, no nie?

– Jak śmiesz!

– Co jak śmiem? Może nie wolno mi się tak wyrażać? Znam lepsze określenia!

Ewa złapała córkę za rękę. Przyciągnęła ją do siebie.

– Uważaj na słowa. – Wściekła, pogroziła jej palcem jak kilkuletniemu dziecku. – To twój ojciec.

– Mój ojciec? Mówisz o tym człowieku, który bez mrugnięcia zabił niewinną osobę?

– Jaki list?

Komisarz Deryło był całkowicie zaskoczony. Mimowolnie sięgnął do kieszeni i obrócił między palcami srebrną monetę.

– Dopiero wczoraj skończyła się weryfikacja dokumentów i zdjęć znalezionych na poddaszu tej kamienicy – wyjaśnił Knap. – A przede wszystkim pozostałego materiału dowodowego...

– Domyślam się, że było tego od ciula.

– Prawie tysiąc obiektów.

– Ale co z tym listem?

Naczelnik z perwersyjną przyjemnością delektował się napięciem Deryły. Cmoknął elektronicznego papierosa i powoli wypuścił kłęb dymu. Tym razem miał wyraźnie cynamonowy aromat. Wersja świąteczna.

– Niech pan najpierw zgadnie, gdzie go znaleźliśmy.

– Na poddaszu tej kamienicy.

– Ale dokładniej. – Nadal się droczył. – Precyzyjniej, komisarzu.

– Nie wiem.

– Proszę zgadywać.

– Cholera, niech będzie, że jako zakładka Biblii.

Knap spojrzął na Deryłę z ukosa. Trafił? Przez chwilę inspektor nie odzywał się, szykując frontalne zaskoczenie.

– W słoiku z wyciętym fragmentem jelita – wystrzelił po kilku sekundach. – A mówiąc dokładniej: w samym jelicie.

Piękne miejsce na liściki miłosne. Deryło puścił monetę i przeciągnął dłońmi po twarzy.

– Ludzkim? – dopytał, spodziewając się odpowiedzi.

– Tego jeszcze nie sprawdziliśmy.

Inspektor odwrócił w jego stronę ekran komputera. Przewiął kilka dokumentów, wreszcie znalazł właściwy i wyświetlił zdjęcie. Przedstawiało fragment poplamionej kartki.

– Proszę przeczytać.

Deryło przysunął się bliżej biurka. Litery były nieco rozmazane, ale czytelne.

Myśli pan, że wszystko odgadł, komisarzu? To uczucie nazywa się pychą. Gdyby był pan osobą próżną, obawiałbym się o wszystko. Ale na szczęście tak nie jest. Jeżeli czyta pan te słowa, to znaczy, że udało mi się sprowadzić pana we właściwe miejsce. Skoro tak, doprawdy cenię wolę walki i zwycięstwa. Nie potrzeba nam biurokratycznych zombie niezdolnych do zaangażowania nie samego ciała, ale i ducha. Zastanawia mnie tylko, czy uda się panu wyzwolić córkę? Pewnie już wszystko wiadomo. A może wcale nie? Obym się nie mylił, pisząc – do zobaczenia, panie komisarzu. X XXX

Deryło jeszcze raz przeczytał ostatnich kilka zdań. Nie wiedział, czy dobrze rozumie ich sens. Pewna myśl pałętała mu się w głowie, ale miał wątpliwości.

– Co pan na to, komisarzu?

– Pieprzony bełkot. Powinien to zobaczyć Tracz, może coś by z tego wyciągnął.

W rzeczywistości próżność kojarzyła mu się w tym kontekście tylko z wypróżnianiem.

– Już wyciągnęliśmy z tego wystarczająco dużo. – Knap odwrócił z powrotem ekran. –

I to z korzyścią dla pana.

– O jakiej korzyści pan mówi, naczelniku?

– On chce, żeby brał pan udział w tej sprawie. Damy mu to. Będzie pan doskonałą przynętą.

\*

Deryło przyjął tę informację ze spokojem, a nawet zadowoleniem. Czyli obyło się bez dyscyplinarki. Zaskakujące, że zawdzięczał to seryjnemu mordercy. Ironia losu. Chociaż patrząc na wszystko z drugiej strony, nie powinien być taki szczęśliwy. Mimo wszystko z sytuacji należało wytrząsnąć tyle plusów, ile było tylko możliwe.

– Czyli żadnego Opolo Lubelskiego? – dopytał. – Żadnej zsyłki ani dyscyplinarki?

Knap spojrzał na niego z drwiną.

– Na razie nie. Nie musi pan szukać kawalerki.

– I zawdzięczam to tylko tym bazgrołom?

– Wdzięczności nigdy za wiele. Powinien pan podziękować również inspektorowi Bickiemu. Zdążyliście się już chyba zakumplować?

Deryło się zdziwił.

– Wstawił się za mną?

– Wręcz przeciwnie, chciał pana wypieprzyć. A ja nie lubię, jak ktoś mi się tu rządzi.

No tak. Naiwność. Poczul wibrację telefonu. Ukradkiem wysunął go i zerknął na ekran. Ewa. Obiecał sobie, że oddzwoni, jak tylko wyjdzie z gabinetu.

– Wiem, że Lipski nie daje rady... – dobiegły go kolejne słowa naczelnika. – Jeszcze dzisiaj odsunę go od tego śledztwa. On już tylko marzy o emeryturze.

Ja też – pomyślał. – Tylko co z tego. Lepiej nie po finiszu na prowincji.

Nie zdradzając tych myśli, uśmiechnął się.

– Będzie pan dalej służył w Lublinie. Ale dochodzenie nie jest i nie będzie pańskie, komisarzu. Podlega pan osobiście inspektorowi Bickiemu.

– Trudno.

– Tylko tak pan to skomentuje?

– Trudno, trudno.

Knap popatrzył na niego z dezaprobatą.

– Może pan odejść. To wszystko, co chciałem powiedzieć.

– Dziękuję.

– Swoją drogą... Ma pan jakieś bieżące uwagi co do śledztwa?

Deryło podniósł się i położył dłoń na oparciu fotela. Rana znowu zapiekła, jakby przyłożono do niej rozżarzone węgle.

– Domyślam się, dlaczego ten człowiek spotkał Cztery Iksa właśnie na klatce schodowej

wieżowca.

Naczelnik spojrzał na niego uważnie.

– Proszę mówić.

– Obstawiam, że jedynie w windzie są kamery.

Kaseta powinna zostać tajemnicą. Z tym postanowieniem Deryło opuścił budynek komendy. *Coming out* jego relacji z księdzem mógł przynieść jedynie problemy. Wystarczyło, że sprawca kierował do niego rzewne epistoły.

Ale potrzebował specjalisty.

Musiał załatwić to w zaufanym, prywatnym gronie, a do głowy przychodziła mu tylko jedna osoba. Gadżet. Przyjaciel z podstawówki, którego imię dziesiątki lat temu uleciało z pamięci, zastąpione przez przezwisko. Ewentualnie Pan Gadżet. Z upływem czasu Inspektor Gadżet.

Pucołowaty pięćdziesięciolatek prowadził sklep z nowym i używanym sprzętem elektronicznym. Małą klitkę wypełniały najrozmaitsze zabytki techniki. Oldskulowe, szafkowe komputery, czarno-białe telewizory, dyktafony i walkmany pięły się od podłogi po sam sufit. Wyciągnięcie choćby kabelka, choćby kartki z instrukcji obsługi groziło zburzeniem misternej konstrukcji.

Komisarz wszedł do środka, akurat kiedy właściciel na siłę domykał drzwiczki biurka. Wysypywały się z niego płyty CD i dyskietki. Chiński dzwoneczek zaanonsował gościa.

– Spodziewałem się bardziej elektronicznych dźwięków. – Deryło wskazał na mosiężne urządzenie. – Przynajmniej nie ma się jak zepsuć.

– Kogo ja widzę!

Gadżet radośnie rozłożył ręce. Z nadzwyczajną gracją, wciągając brzuch, przelawirował pomiędzy rzędami nowych monitorów. Były cienkie jak karta kredytowa. W przeciwieństwie do niego.

Mężczyźni serdecznie się przywitani, pokleпали po krągłych ramionach i zastygli w bezruchu jak dwójka kochanków, których dopadło nagłe zakłopotanie. Przez ostatnie lata pesel zrobił swoje. Spoglądając na siebie, dopadła ich ta sama wątpliwość – czy zestarzeni się równie mocno? Czy czas każdemu z nich dokopał z taką samą siłą?

Deryło wskazał na stertę archaicznych telefonów komórkowych.

– Ktoś to kupuje? – spytał, rozrywając magię ciszy. – Serio?

– Nawet nie wiesz, jakie artefakty można wyłowić. Piętnastoletnie nokie, które chodzą po kółko i lepiej, kolekcjonerskie płyty gramofonowe, prawdziwe święte Graale elektroniki...

– Masz takie?

Gadżet roześmiał się rubasznie. Koszula opinająca jego brzuch poruszyła się w rytmie oddechu.

– Co miałem, sprzedałem – zarymował. – Niestety nadal muszę tu siedzieć i ciuć grosz do grosza. Chyba że masz dla mnie jakieś wspaniałe zlecenie, które pozwoli mi wyjechać do Silicon Valley...

Komisarz podał mu kasetę. Właściciel sklepu zerknął na opakowanie.

– Dobry film. Jeremy Irons dał czadu.

– Kasetę w środku nie jest z tym filmem.  
– A z czym?  
– Sam zobaczysz. – Deryło zniżył głos, chociaż w sklepie nie było żadnych klientów. –  
Nie muszę chyba mówić o...  
– Wiem, wiem. Tajemnica. Nie obrażaj mnie.  
– Masz do tego narzędzia?  
– Już dawno chciałem się pozbyć sprzętu do VHS-ów. To nie są święte Graale... Nie  
zrobiłem tego jedynie z sentymentu.  
Komisarz przyjrzał się omotanej kablami konsoli Pegasus. Przypomniało mu się, jak grał  
z córką w tanki i Mario, waląc jego głową o zawieszony w powietrzu grzyby. Stare, dobre czasy.  
– Sam z sentymentu trzymam gdzieś dyskietki – westchnął. – Tylko że za cholerę nigdzie  
ich już nie odtworzę.  
– Z chęcią sprzedam ci zewnętrzną stację.  
– Nawet nie wiem, co to jest.  
– Nie tylko ty zostałeś z sentymentami i dyskietkami. Ludzie kupują specjalne stacje,  
żeby odczytać dokumenty sprzed dwudziestu lat. To jak wehikuł czasu.  
– Nie potrzebuję. Może kiedyś.  
Gadżet wyciągnął kasetę z opakowania i obrócił ją w dłoniach.  
– Co się stało? – zapytał. – Przegrać na DVD? Podrasować nagranie?  
Deryło pokręcił głową.  
– Mam wrażenie, jakby tam było coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.  
Widziałem dziwne mignięcia, mrugnięcia, jakby...  
– *Hidden tapes?*  
– Może i *hidden tapes*. – Niecierpliwie machnął ręką. – Nie wiem, nie znam się na tym.  
Dlatego przyszedłem do ciebie.  
Właściciel sklepu przyjrzał się kasecie z jeszcze większym zainteresowaniem.  
– Zobaczę, co się da zrobić – zapewnił gorliwie. – Wpadnij za dwie, trzy godziny.



Posterunkowi Wiertel i Lubecka spotkali się na korytarzu. Każde z nich odwiedziło już kilkadziesiąt mieszkań i przepytało jeszcze więcej osób. Pokazywali fotografię księdza, dociekając, czy ktoś go widział. Ktoś poza Wiktorem Byrczem. Efekty były, eufemistycznie mówiąc, mizerne. Owszem, twarz zabójcy rozpoznała większość lokatorów wieżowca. Co więcej, gorąco zapewniali, że widzieli go na własne oczy. Oczywiście w telewizji.

Żart mógł być dobry, gdyby nie ewoluował w różne formy w niemal każdym mieszkaniu. Znudzeni i zniechęceni posterunkowi pomachali do siebie z przeciwnych krańców korytarza.

– Masz coś? – Lubecka przeszła obok przeszkłonych szybów wind. – Cokolwiek?

– Kompletne zero. Lipa.

– To tak jak u mnie.

– Może reszcie poszło lepiej.

– Nie sądzę. Jedyne szansa, że dał się złapać na monitoringu.

– Kamera jest tylko w jednej kabinie. A on chyba nie jest idiotą.

Posterunkowa oparła się o grzejnik. Jego żeberka były pokryte warstwą kurzu.

– W końcu musi popełnić jakiś błąd – mruknął Wiertel. – W Wigilię wywinął się tylko cudem.

– Może taki był jego plan?

– Hę?

– Żeby mówić, że zrobił coś cudem. Jak jakiś szalony mistyk czy ktoś.

Wiertel wołał się nad tym nie zastanawiać. Był maleńkim trybikiem w maszynie i nie powinien komplikować jej pracy. Robić swoje było jego dewizą tak silną jak *viribus unitis* Habsburgów. Chociaż o tym nie miał pojęcia.

– Wchodzimy razem? – skinął na drzwi z przyklejonym numerem.

– Czemu nie?

Lubecka nacisnęła dzwonek. Po kilku sekundach w progu stanęła monstrualnie gruba kobieta. Miała zmierzwioną trwałą i namalowane tuszem brwi. Jej fartuch był pokryty plamami.

Posterunkowi wygłosili regulaminowe formułki, a Wiertel wyciągnął zdjęcie.

– Czy widziała pani tego mężczyznę? – zapytał tonem znudzonego życiem formalisty.

Kobieta poprawiła okulary. Przez chwilę zerknęła to na fotografię, to na policjantów.

– Teraz, kiedy państwo przyszlście, tak sobie myślę, że może...

Wiertel wciąż trzymał wyciągniętą dłoń. Kolejny bezsensowny bełkot, którego musieli wysłuchiwać.

– Czy to ten z telewizji?

– Poszukiwany w związku z zabójstwami.

– Ten, co ta nagroda jest?

– Tak, wyznaczono nagrodę dla osoby, która wskaże przydatne informacje.

– Aha.

– Ale widziała go pani?

– Mogłam go widzieć.

Policjanci wymienili ukradkiem spojrzenia.

– Gdzie? – zapytał Wiertel.

– Na parkingu.

– Mogła go pani widzieć czy widziała go pani?

– Wydaje mi się, że to był on. Niósł jakiś duży pakunek.

– Na parkingu? Co to był za pakunek?

Kobieta oddała fotografię i utkwiała spojrzenie w posterunkowym.

– A jeżeli to on, to należy mi się nagroda? Czy to by była przydatna informacja?

Wiertel szturchnął ukradkiem partnerkę.

– Nie do nas należy decyzja. Wszystkie okoliczności podlegają zbadaniu i zweryfikowaniu.

– Ale gdyby?

– Jeżeli sądzi pani, że widziała tego mężczyznę, chcielibyśmy oficjalnie przesłuchać panią na komisariacie.

Kobieta mlasnęła. Nagle straciła zainteresowanie rozmową.

– Te wasze nagrody to bujda na resorach.

– Więc widziała go pani czy nie?

– Może to był on, a może nie on. Sama już nie wiem.

– I na pewno nie ma pani nic do dodania?

– Nic.

– W takim razie dziękujemy. – Wiertel zszedł z wycieraczki. – Gdyby pani sobie coś przypomniała...

– Tak, wiem, zgłoszę się do was.

Nim zdążyli się pożegnać, kobieta zamknęła drzwi. Lubecka głośno wypuściła powietrze.

– Pomysł z nagrodą był wybitnie dumny.

– Wszyscy się ślinią na pięćdziesiąt kawałków.

– Licząc, że zgarną je za byle plotkę?

Wiertel wzruszył ramionami. Skierował się w stronę bocznego korytarza.

– Zawsze warto próbować. No nie?

Deryło musiał to odbębnić. Nieważne, jak bardzo by był zajęty, takie były przepisy. Dwie wizyty u psychologa przed Nowym Rokiem. Jedna w pierwszym tygodniu po. Skoro miał wrócić do sprawy, wolał nie narobić sobie kolejnych problemów przez takie bzdury. Pójść, posiedzieć, wyjść. Plan minimum, którego wykonanie zapewne będzie go kosztowało sporo nerwów. A chodziło przecież o ich zaoszczędzenie. Terapia była mu potrzebna jak babranie się w elektronice samochodu, w którym stłuczono jedynie reflektor.

Starał się dostrzec plusy. Psycholog policyjny różnił się od innych tym, że nie ciągnęły się do niego kolejki. Państwowa посадка, która wymagała większego wysiłku jedynie w wyjątkowych przypadkach. Nawet po takiej akcji jak wigilijna jego grafik nie pękał w szwach. Gdyby nie wizyty ściśle wymuszone przepisami, być może przemknąłby nawet bez pacjenta. Tydzień po tygodniu. Biorąc pieniądze za dawanie komfortu z faktu samej swojej obecności.

„Proszę przyjść jutro albo pojutrze”. Dokładnie tak powiedział. Żadnych dat ani wizyt zapisanych w kalendarzu. Mimo tego, kiedy Deryło zjawił się w jego gabinecie, wydawał się zaskoczony. Odłożył na biurko gazetę i z założonymi rękami popatrzył na komisarza. Nie zareagował nawet na przywitanie.

– Znowu zamienił się pan w słup soli?

Na te słowa uśmiechnął się i wykonał nieokreślony gest w kierunku fotela. Pewnie to też była jakaś psychologiczna sztuczka.

– Przyszedł pan.

– Chyba taka była umowa – westchnął Deryło. – I przepisy...

– Nie wygląda pan na takiego, który się zbytnio nimi przejmuje.

– Ktoś, kto ma być przeniesiony do Opola Lubelskiego, nie boi się niczego.

Deryło starał się zachować pozory luzactwa. Brakowało mu jeszcze posądzenia o depresję.

– Czyli coś się zmieniło? – dopytał okularnik.

– Najprawdopodobniej tak.

– I czego teraz się pan najbardziej obawia?

Jezus Maria. Siłąc się na cierpliwość, popatrzył na mural z herbem Motoru Lublin. Martwił się o żonę i córkę, klnąc w myślach, że do nich nie zadzwonił. Martwił się też o dziewczynę, której zapewne szukał psychopatyczny świr. To drugie było o tyle nieracjonalne, że obrócił sprawę służbową w sprawę prywatną. Gdyby dorwał ją Cztery Iks, wymierzyłyby mu tym cios o wiele silniejszy niż psychiczne doświadczenie strzelaniny. Obawiał się sam siebie, że będzie zbyt słaby, aby dorwać go na czas.

Właśnie przeprowadził doskonałą autoanalizę.

– Nic mi nie przychodzi na myśl – odparł po chwili. – Nie mam lęków i nie moczę się w nocy.

Psycholog z dezaprobatą pokręcił głową. Sięgnął po odłożoną przed chwilą gazetę

i zastukał palcem w okładkę.

– Czytałem właśnie o pewnym eksperymencie – odezwał się tonem przemądrzałego dupka wygłaszającego *ex cathedra* przemowę do nierozumnych bydła. – Grupą badawczą było kilkanaście osób dotkniętych różnymi formami paraliżu. Przez kilka miesięcy psychologowie z nimi pracowali, nakłaniając do wyobrażania sobie, że ćwiczą. Stosowano przy tym rozmaite techniki wizualizacji, rzutowania i tak dalej, i tak dalej... I wie pan co?

– Okazało się, że wszyscy tylko udawali, że ćwiczą?

Psycholog powstrzymał uśmiech.

– Okazało się, że ich mózgi wysyłały odpowiednie bodźce do mięśni. Mięśnie, mimo że były niewładne, doznawały mikroskurczów. Pozwoliło to zapobiec zanikom ich masy, a nawet u niektórych badanych pojawiły się symboliczne przyrosty.

– I do czego pan zmierza?

– A jak pan myśli?

Deryło nerwowo mlasnął. Poprawił się na fotelu, nachylając w stronę psychologa.

– Czy pan nadal tego nie rozumie? Tego, że te spotkania nie mają sensu i ułatwiłobyśmy wszystko, po prostu podpisując listę obecności? Jak cholerne dzieci w szkole, które tylko zawracają głowę nauczycielce. Lepiej wpisać im obecność i pozwolić iść na wagary. Niech palą trawkę, grają na komputerach, cokolwiek. Byle nie rozwalą całego dnia.

– A jeżeli coś im się stanie? Nie martwiłby się pan?

– I znowu pytania, pytania, pytania... Nie martwiłbym się. Nie zbawię całego świata.

– Może właśnie dlatego doznał pan rozczarowania. A wystarczyłoby chcieć zbawić jedynie jego część.

– Nie. – Deryło założył dłonie za głowę. – Człowiek nie jest władny zbawić choćby owada. Może starać się go uratować albo zapobiec nieszczęściu, ale nigdy go nie zbawi. Nie można być w jednym procencie Chrystusem.

– Ale można chcieć nim być.

– Czy nawiązujemy teraz do tego świra? Zrobił to pan umyślnie?

– Absolutnie. Sam pan nawiązał.

Komisarz nabrał głęboko powietrza. Opadł na oparcie fotela i wymienił spojrzenie z psychologiem.

– Zrobił to pan celowo – mruknął. – A ja dałem się podejść jak dziecko.

– Kiedy rozmawiam z pacjentami, nie mogę myśleć o żadnych podtekstach. Wtedy sugerowałbym im odpowiedzi, a te mają pochodzić tylko od nich.

– Kultura powstrzymuje mnie przed powiedzeniem, co powinien pan sobie zrobić z tymi mądrościami.

Psycholog założył okulary na czoło i wskazał w stronę Deryły.

– Dlaczego pan to robi?

– Robię co?

– Obraca pan między palcami tę monetę.

Komisarz nie był nawet świadom tego odruchu. Wrzucił monetę do kieszeni i splótł dłonie.

– Może kiedyś panu powiem. A może pan sam kiedyś to ze mnie wyciągnie.

Był zirytowany. I dręczył go podświadomy lęk.

Aspirant Brzeski i posterunkowa Nowak weszli do niewielkiej sali. Na trzech z czterech łózek leżeli pacjenci. Mimo uchylonego okna w środku panował mdły zaduch. Woń potu mieszała się z zapachem środków czyszczących i jedzenia. Zapewne niedawno podawano obiad.

Sierżant Banach leżał na plecach. Kiedy tylko ich dostrzegł, podniósł dłoń. Zupełnie jakby się meldował na szkolnym apelu. Miał zmęczoną, szarą twarz i zapadnięte oczy.

– To od wszystkich z wydziału. – Nowak zamachała bukietem kwiatów. – Tęsknimy za tobą.

– Nie przesadzajcie.

– Dostaniesz medal – dorzucił Brzeski, klepiąc leżącego po ramieniu. – Jak się czujesz?

– Tak samo do dupy. Chociaż przeciwbólowe działają całkiem dobrze.

Posterunkowa rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby zostawić kwiaty. Wreszcie położyła je na szafce pomiędzy przyborami toaletowymi.

– Potrzebujesz czegoś?

Banach przygładził włosy, chwilę się zastanawiając.

– W sumie to tak.

– Czego? Mów tylko...

– Przydałaby mi się jedna ładna stopa.

Mężczyźni uśmiechnęli się nerwowo, a posterunkowa utkwiała w leżącym poważne spojrzenie.

– Był u ciebie psycholog? – zapytała bez ogródek.

Banach ruchem węża podciągnął się do pozycji półleżącej.

– Był, ale nie myślcie, że to jakaś depresja. Naprawdę staram się z tego śmiać, skoro nic już nie zmienię. Wymyśliłem nawet dowcip.

– Opowiadaj – zachęciła Nowak.

– Wiecie, czego na pewno nie czuł ten pedofil, kapitan Huck, uganiając się za Piotrusiem Panem?

Brzeski i Nowak popatrzyli po sobie zdziwieni. Następnie przenieśli wzrok na sierżanta, domagając się odpowiedzi.

– Na pewno nie czuł nogi.

Banach wymówił to ze stoickim spokojem. Po chwili jednak wygiął usta w sztucznym uśmiechu.

– Powinniście się śmiać! – Walnął dłonią o materac. Przez chwilę milczał, wreszcie widząc na twarzach gości skonsternowanie, odwrócił się do okna. – Tylko was tym zadrażam, przepraszam. Dziś mam jakiś cholerny dołek...

Brzeski zdecydowanie zaprzeczył. Posterunkowa także wykonała kilka gestów wyrażających absolutną dezaprobatę.

– Nie przejmuj się. To znaczy...

– Wiem, co miałaś na myśli. – Banach ściszył głos. – Jak sprawa?

– Ciągle nic. Mamy chyba kolejną ofiarę. Tym razem mężczyznę.

– Widziałem w telewizji. W jakimś durnym reportażu dziennikarze zastanawiali się, czy to możliwe, że ta skóra nie była związana z Cztery Iksem.

– Tracz też to sugerował. – Brzeski westchnął. – Lublin polskim centrum zbrodni.

Mężczyzna na sąsiednim łóżku poruszył się nieznacznie. Głośno zacharczał i splunął do plastikowego kubka. Złapał spojrzenie posterunkowej.

– Przepraszam, czy mogłaby pani podać mi kaczkę?

Nowak, wyprostowana jak struna, podeszła do chorego. Sięgnęła po włożone pod łóżko naczynie i podała mu je.

– Trzeba odstawiać w to samo miejsce. Jak jest porządek, to jest wygodniej.

Brzeski i Banach wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Gestapowskie mądrości posterunkowej wzbudzały ich niegasnącą radość.

– Państwo są z policji? – Mężczyzna bez skrupowania włożył kaczkę pod koc.

Nowak przytaknęła.

– Weźcie się, gnoje, do roboty i złapcie tego skurwysyna, a nie pocieszajcie się cholernymi kwiatkami.

Kiedy Deryło wrócił do elektronicznej nory, między stertami sprzętów kręciło się kilka osób. Gadżet nie zwracał na nie żadnej uwagi. Siedział przy komputerze, całkowicie pochłonięty swoją robotą. Na widok komisarza bez słowa skinął w stronę ekranu.

– Miałeś rację.

– Z czym?

– Z tym *hidden tape*. Rzeczywiście jest na tej kasecie.

– Masz to? Czy co się z tym robi...

– Przede wszystkim przegrałem ci to na płytę DVD. Będziesz mógł wygodnie odtworzyć.

– Wątpię, żebym miał na to ochotę.

– Spójrz. – Gadżet kliknął i cierpliwie czekał, aż z ekranu zniknie pulsująca klepsydra. – Te nagrania zostały specjalnie skompresowane. Tak jakby powycinano z nich co którąś klatkę. Dlatego nie są płynne, tylko szarpią.

– To dlaczego miałem wrażenie, że jest ich więcej, a nie mniej?

– Bo w pustych miejscach wstawiono dodatkowe klatki. Zazwyczaj pięć na sekwencję dwudziestu pięciu. To minimum do wychwycenia przez ludzkie oko.

Deryło przyglądał się wykresowi uruchomionemu na ekranie. Czerwone i zielone linie splatały się w różnych miejscach, nakładając na wykres współrzędnych.

– Nic mi to nie mówi.

– To obraz klatek na sekundę z zaznaczonymi modyfikacjami. W miejscu przecięć linii zostały dokonane zmiany, wtedy pojawiały się te krótkie segmenty, które dostrzegłeś.

– Ale nie mogłem na nie przewinąć nagrania.

– Na zwykłym sprzęcie to graniczyłoby z cudem. Szansa jedna na milion.

– Ale tobie się udało?

Gadżet z dumą zastukał paznokciem w ekran komputera.

– Tak. Wyodrębniłem je wszystkie i odpowiednio złożyłem. Znajdowały się w brejkach od kilku-do kilkunastosekundowych. Łącznie dwadzieścia pięć po pięć frame'ów, czyli około pięciu sekund wyświetlania. Szarpany obraz wynika z ich złożenia w jedną, nieprzerywaną całość. Nie mają idealnego *flow*...

– Coś jak gify? – Córka kiedyś wytłumaczyła Deryle, co to za ustrojstwo. Warto popisywać się wiedzą.

– Można tak powiedzieć.

Pokrzepił się, że cokolwiek zrozumiał z deliberacji elektronika.

– I co jest na tym nagraniu?

– Sam nie wiem. Pojedyncze klatki oglądałem w przypadkowej kolejności, a z uruchomieniem całości zczekałem na ciebie.

– W takim razie nie ma na co czekać.

Gadżet mruknięciem dał do zrozumienia, że też tak uważa. Przełączył między okienkami

aplikacji i wyświetlił program odtwarzania.

– No to czas na seans... – Odsunął się od biurka. – Szkoda, że nie przyniosłeś popcornu.

Deryło już go nie słuchał. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w monitor. W prawym dolnym rogu wyświetliła się data nagrania. Dwudziesty czwarty grudnia, ósma sześć rano. Na ekranie pojawił się obraz przedstawiający małe pomieszczenie. Na jego środku, na posadce siedziała kobieta. Nie była skrupowana, ale zastygła w bezruchu. Obraz przeskoczył, zbliżając się do jej twarzy.

Deryło poczuł, że uginają się pod nim nogi, a serce podchodzi do gardła.



Robert Wolski klęknął. Posadzka toalety była zimna i twarda. Nie rozrzucono na niej, co prawda, ziaren grochu, ale wystarczyło, by po chwili odezwał się ból stawów. Czekał na ostateczny przydział celi. Miał kilka minut dla siebie. Nim warujący przed drzwiami strażnik zacznie się niepokoić, zdoła je spędzić tak, jak chciał od dawna.

Zacisnął pięści i wyprostował kręgosłup. Przypominał wasala oddającego hołd seniorowi. Tylko że jego panem lennym był przytwierdzony do ściany porcelanowy sedes.

Miejsce nie miało ponoć znaczenia.

Spuścił głowę i zamknął oczy.

– Panie, odpuść mi moje grzechy. Boże drogi, jeżeli istniejesz, wybac mi, wybac mi, wybacz... Nie jestem złym człowiekiem. Popełniłem te same błędy, które popełniłby każdy grzeszny człowiek. Wodzenie na pokuszenie. Chyba tak to się określa? Dałem się wodzić, dałem się, u licha, nawet uwieść, ale powiedz, daj mi znak, że zabiłem właściwego człowieka. Chcę wiedzieć, że nie skazałeś mnie już na wieczne potępienie!

Ostatnie zdanie Robert Wolski bezgłośnie wyszeptał. Jego spierzchnięte usta przemówiły do muszli klozetowej.

– Nie miałem ani wątpliwości, ani wyrzutów sumienia. Byłem pewny, tak bardzo pewny...

*I rzekł mu król: Uczyniże jako mówił, a zabij go i pogrzeb, a odejmiesz krew niewinną, którą wylał Joab, ode mnie i od domu ojca mego.*

To też pamiętał. Urywki utrwalonych w odmętach świadomości fragmentów Pisma wynurzały się jak glony po sztormie. Nie pamiętał ich kontekstu, lecz ogarnął go spokój. Skoro w takim momencie doznał natchnienia, nie mógł zostać potępiony. Piękna, ale pokrzepiająca nadinterpretacja.

Jeśli Boga nie ma, przecież nie będzie miał sobie za złe tej chwili słabości. Zamordował człowieka, którego podejrzewała policja. Odjął jednego robaka z padołu tego nic niewartego świata. Jeżeli to on pozbawił życia jego żonę, zrobił słusznie. Jeżeli nie, w trybie natychmiastowym przeniósł do niebiańskich krain radości niewinną duszyczkę. To jak porządna przysługa.

Tak przynajmniej brzmiała rozsądna kalkulacja.

Drewniane drzwi załomotały. Były tylko przymknięte i języczek zamka mlasnął o wycięcie w futrynie.

– Koniec przyjemności. – Strażnik zastukał ponownie. – Wylaż!

Wolski otworzył oczy. Powoli podniósł się z klęczek i spuścił wodę.

*Wszystko celowo uczynił Pan,*

*także grzesznika na dzień nieszczęścia.*

Wspomnienie tych wersów co rusz napełniało go wątpliwościami. Może wcale nie pochodziły z Biblii? A może to wszystko było gówno warte?

W zasadzie miał czyste sumienie. Mógł umrzeć.

– To moja córka!

Gadżet zatrzymał film. Zminimalizował program i odwrócił się do Deryły. Przyłożył palec do tłustego podbródka.

– Czyli to o twojej rodzinie plotkowali dziennikarze! – wykrzyknął, skupiając spojrzenia nielicznych klientów. – Policja wszystko dementowała...

– Dla dobra śledztwa. A on nagrał to na kilka godzin przed naszą akcją. Sukinsyn!

Deryło ciężko dyszał. Nachylił się nad przyjacielem, sięgnął po myszkę i przewinął nagranie. Wpatrywał się w ekran komputera, chcąc wychwycić najdrobniejszy szczegół. Każde mrugnięcie mogło mieć znaczenie. Każdy gest i ruch kamery.

– Ale jest już bezpieczna?

Nie odpowiedział od razu. Na pytanie Gadżeta nie było prostej odpowiedzi. Nie wiedział, czy jego córka jest bezpieczna i czy kiedykolwiek będzie. Raz zerwana przesłona azylu mogła nie dać się już nigdy nasunąć. Myślał pięknymi pojęciami.

– Tak – odparł po chwili. – Mam nadzieję, że tak...

– Przykro mi.

– Że jest już bezpieczna?

– Że tak się stało.

Ludzie byli skłonni do przesadnej uprzejmości. Mogli być dobrymi znajomymi, ale dlaczego zaraz miało być komuś przykro. Kurtuazyjne gładzenie, które nie jest niczym więcej niż pustostłowiem. Do tego należało się trzymać konwenansów.

– Dziękuję.

– Całe szczęście już po wszystkim.

W ten sposób można by rozmawiać do nocy. *Ach, dziękuję za to, że o mnie pomyślałeś.* – *Nie, nie, to przyjacielski obowiązek.* – *Ależ skąd, to zbyt wiele.* – *Jesteś tylko przesadnie skromny.*

– Tego bym nie powiedział. – Wskazał na monitor. – Dasz radę to przybliżyć?

Gadżet wykonał kilka operacji. Po chwili na ekranie wyświetlił się powiększony obraz.

– Nie uratuję ostrości. Mógłbym nad tym posiedzieć, ale nie gwarantuję efektu.

– To chyba nie będzie konieczne.

– Coś tu widzisz?

– To może być strzykawka, ale równie dobrze długopis.

Obaj wpatrywali się w monitor. Jakość nagrania była niewiele lepsza od przedwojennych kronik filmowych.

– Albo kawał sznurka...

– Kawałek sznurka nie byłby tak prosty. To jakiś sztywny przedmiot. Tylko jakie mógłby mieć znaczenie?

– A popatrz na to. – Gadżet zastukał palcem w inny fragment ekranu. – To też jakiś symbol?

– To otwarte kajdanki. Wyglądają jak dwie trójki.  
– Albo małe sierpy.  
– Jestem pewny, że to tylko kajdanki – powiedział z naciskiem Deryło.  
– W sumie... – Właściciel sklepu znowu się do niego odwrócił. Przez chwilę nerwowo miętosił wargę. – Powinienem być zadzwonić. Skoro się tylko domyśliłem, że chodzi o ciebie, mogłem zadzwonić. Sam wiesz, jak wyglądają nasze relacje, ale w końcu...  
– Daj spokój – przerwał mu Deryło. – To by niczego nie zmieniło.  
– Chodzi o to, że każdy żyje własnym życiem. Nikt nie chce się wpieprzać drugiemu...  
– Nie usprawiedliwiał się, bo nie musiał.  
– Ale po czasie człowiek zdaje sobie sprawę, że zrobił głupio. Mogłem zrobić więcej, bez względu na to, czy widzieliśmy się ostatnio tydzień, czy dwa lata temu. W końcu jesteśmy kumplami.  
– I dlatego tu jestem.  
Gadżet odsapnął, jakby tymi słowami zdjęto mu ciężar z serca.  
– Może mógłbym ci w czymś pomóc?  
– Właśnie to robisz. A ja i tak zawracam ci głowę.  
– Wiesz, że dla mnie to czysty *fun*.  
Deryło odszedł na kilka kroków i spojrzał na ekran. Potrzebował perspektywy. Wszystkie wydarzenia przenikały się i kotłowały w jego głowie. Rozmawiał mechanicznie, przeniesiony do zupełnie innego świata.  
– Puść ten film od początku.  
Gadżet kliknął i nagranie ruszyło. Komisarz przyglądał mu się z założonymi rękami. Gdyby podłużny, walcowaty przedmiot był długopisem, a w jego tle leżałaby kartka papieru... Tak, to byłoby doskonałe nawiązanie. Wtedy wszystkie elementy przeplatałyby się, zlewając w sadystycznie zaplanowaną całość. Jednak jego mózg mógł interpretować piksele na swój równie pokręcony sposób.  
Przypomniał sobie fragment listu Cztery Iksa. *Zastanawia mnie tylko, czy uda się panu wyzwolić córkę? Pewnie już wszystko wiadomo. A może wcale nie?*  
– Boże...  
W ułamku sekundy dotarło do niego, co się stało.

Henryk Szus ścisnął dłoń żony. Siedzieli przy prostokątnym stole fornirowanym brzoszową czeczotą. Na jego środku stały trójramienny świecznik i porcelanowa miseczka wypełniona zapachową wodą, obok której rozłożono talię kart tarota.

– Państwa córka żyje.

Siwy jak gołąb mężczyzna energicznie pokiwał głową. Miał przymknięte oczy i lekko rozchylone usta. Przez chwilę głośno oddychał. Jego powieki drżały, a skrzydełka nosa rozchylały się, chłonąc powietrze.

– Jest ciemno – dodał szeptem. – Być może śpi, być może wokół jest gęsty las, ale nie jest daleko. Czuję, że jest na tyle blisko, że... Coś mi umyka. Nie mogę wyraźnie tego zinterpretować.

Beata Szus wbiła łokcie w blat stołu. Strąciła dłoń męża i splotła palce, nieomal wyłamując je ze stawów. Usilnie wpatrywała się w mężczyznę naprzeciw.

– Dzieli nas kilkanaście, co najwyżej kilkadziesiąt kilometrów. Otacza ją cisza, choć w środku kipi od emocji.

Siwowłosy odgiął do tyłu głowę i przytknął do nosa bluzę, którą przywiozła ze sobą matka zaginionej. Takie były jego wytyczne. Musiał dostać rzecz mającą związek z osobą projektowaną. W ten sposób wyrażał się w rozmowie telefonicznej. Osoba projektowana, sesja projekcyjna, sam był oczywiście projektorem, a klitka na trzecim piętrze biurowca – salą projekcyjną. Opłata za projekcję wynosiła „co łaska, choć jest przyjęte trzysta złociszy”. Oczywiście do uregulowania z góry. Od jej wysokości mogła zależeć motywacja projekcyjna, więc nie należało oszczędzać.

Henryk Szus dostrzegł na twarzy mężczyzny lubieżne zadowolenie. Zaciągał się aromatem bluzy, jakby za chwilę miał szczytować. Oddychał coraz szybciej i głębiej.

Zerwał się od stołu, wyszarpnął ubranie córki i skinął do żony.

– Wychodzimy – zdecydował, odsuwając jej krzesło. – Nie wytrzymam już tego bełkotu.

Siwowłosy gwałtownie otworzył oczy i poderwał się na równe nogi.

– To niebezpieczne przerywać sesję! – zaoponował. – To...

– Dość tego.

Szus chwycił żonę pod ramię i niemal zawlókł ją do wyjścia. Kobieta nie protestowała. Projektor również nie protestował, wszak zapłacono mu z góry. Odprowadził ich do przedpokoju, po czym pospiesznie zamknął drzwi. Na tandetny, ale elektroniczny zamek.

– Lepiej ci?! – Henryk wściekle fuknął, kiedy znaleźli się przed budynkiem. – Lepiej ci, do cholery?

– Nie wiem – Beata odparła pustym głosem.

– Zgodziłem się tu przyjść, żebyś poczuła się lepiej.

– Wiem. I dziękuję.

– Więc, do cholery, czuj się lepiej! Rozumiesz? No, uśmiechnij się szeroko!

Złapał ją za ręce i szarpnął jak kukłę. Byli małżeństwem od dwudziestu trzech lat, ale nigdy nie wpadł w podobną furję. Teraz cały aż trząsał się z nerwów. Obtupał obklejone śniegiem buty i zacisnął usta. Mięśnie jego szerokich szczęk napięły się jak dwa wałki okryte kilkudniowym zarostem.

Ciężko dysząc, patrzył prosto w puste oczy żony. Wyglądała, jakby za ich przesłoną nic się nie kryło. Jakby jej duch opuścił ciało.

Z całej siły zacisnął palce na przegubie jej dłoni. Kobieta skrzywiła się z bólu, ale nawet nie pisnęła. Wciąż bezmyślnie wpatrywała się gdzieś za niego. Była samotna i bezradna. W jednej chwili jakaś myśl naprowadziła szereg skojarzeń. Jej delikatne rysy przypomniały mu rysy córki. Być może jeszcze bardziej samotnej i bezradnej. Być może...

– Przepraszam. Po prostu... – szepnął, rozluźniając uścisk, ale zapomniał, co chciał powiedzieć. – Przepraszam.

– Ja mam całkiem inne przeczucie – oznajmiła Beata Szus.

– Że co? Jakie znowu przeczucie?

Kobieta beznamiętnie wzruszyła wątlymi ramionami.

– Że nasza Madzia nie żyje.

Deryło nie miał czasu na jakiegokolwiek tłumaczenia. Podziękował Gadżetowi i wybiegł ze sklepu, zostawiając za sobą brzękanie metalowego dzwonka. Nadal zafrapowany, wszedł do samochodu. Wyrwał z kieszeni komórkę i przez chwilę trzymał ją w dłoni. Nie mógł się mylić. Ten zwyrodnialec zaplanował wszystko od samego początku. Bawił się emocjami swoich ofiar, nawet kiedy wydawało się, że te zostały uratowane. Chciał zostawić swój wieczny ślad. Być może ciągle spodziewał się aresztowania, a to była jego polisa ubezpieczeniowa. Mógł jej użyć na wiele sposobów.

Starając się opanować drżenie dłoni, wybrał numer. Przywitał się z psychologiem i od razu przeszedł do konkretów.

– Czy może mi pan pomóc prywatnie?

– Jestem pana terapeutą. Pomagam bardzo prywatnie.

– Również z zakresu...

Nie wiedział z jakiego zakresu.

– O co chciał pan zapytać, komisarzu?

– Trudno mi powiedzieć. – Starł się ubrać myśli w możliwie logiczną formę. – Chyba szukam kogoś, kto zna się na technikach manipulacji. Reklama podprogowa, hipnoza, za przeproszeniem, całe to gówno.

– Oddziaływanie na sferę podświadomości.

– Skoro tak to pan nazywa.

– O co konkretnie chodzi? O poradę? A może sesję?

– Nie wiem, kurwa – zaklął przez zęby. – Potrzebuję pomocy. Czy rozmawiając z psychologiem, zawsze muszę dostawać odpowiedź w formie pytania?

– Przepraszam. Chciałem doprecyzować.

– Ale ja nie umiem doprecyzować.

– Proszę chociaż powiedzieć, czy chodzi o pana?

Deryło dopiero po chwili zrozumiał pytanie. Strach otępniał mocniej niż fizyczne razy.

– O moją córkę.

– W tym temacie nie czuję się za grosz kompetentny. Poza tym nie powinienem jednocześnie współpracować z dwiema bliskimi osobami.

– A zna pan kogoś za grosz kompetentnego?

– Jest pewien profesor, tylko że...

Deryło mu przerwał.

– To sprawa życia i śmierci – wycodził. – Nie jest mi potrzebna zabawa w „co widzisz na tym obrazku”, więc proszę nie mówić o żadnych ale. Proszę mi, do cholery, pomóc i dać jakikolwiek kontakt.

Psycholog przez chwilę milczał. Po kilku sekundach cmoknięciem oznajmił podjęcie decyzji i z ociąganiem podyktował komisarzowi adres. Kilka kilometrów poza Lublinem,

w zacisznej podmiejskiej okolicy.

- To jego prywatna posesja?
- Ma tam również praktykę.
- Przecież to totalne zadupie.

Psycholog westchnął.

– Jest dość dobry, żeby ludzie dojeżdżali do jego domu, a nie on do nich.

– Myśli pan, że go teraz zastanę?

– Nie wiem. Jeżeli pan zaczeka, zaraz znajdę jeszcze numer telefonu. To zajmie tylko chwilę...

Deryło rozłączył się. Uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon. W osobistych relacjach był bardziej przekonujący niż przez telefon. Szczególnie wtedy, gdy nie dopuszczał odmowy.



Drzwi do celi zamknęły się z trzaskiem. Robert Wolski spojrzał na wysokiego, chudego mężczyznę leżącego na pryczy. Miał około trzydziestu lat, szeroki nos i odstające uszy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Wolski odwrócił się i rzucił paczkę z rzeczami osobistymi na wolną szafkę.

– Chciałem celę dla palących, chociaż w zasadzie nie palę. – Skinął na paczkę westów leżącą na grzejniku. – Ponoć to dobry towar na handel.

– W pierdlu handlować można wszystkim.

– Ale w najśmielszych snach nie liczyłem na wygodę dwuosobowe.

– O to się nie martw. – Leżący przekręcił się na bok. – Mamy komplet, tylko dwóch pracuje w kuchni.

– Porządek taki, jakby tu nikogo nie było.

– Nie nastawiaj się. Zaczekaj, aż wrócę.

Wolski wyjął z paczki ręcznik, zdjęcie Marty i kilka książek. Podszedł do drugiego mężczyzny i wyciągnął dłoń.

– Robert.

Leżący z kąjącym uśmiechem wymienił z nim uścisk.

– Jan.

– Po prostu? Bez żadnej ksywki?

– Nie jesteśmy w części dla grypsery. Poza tym praktycznie wszyscy siedzimy tu za niewinność, no nie?

– Ty też?

– A, kurwa, jak? Adwokat nie powtarza ci tego do znudzenia? Nawet jak myślisz inaczej, z czasem wbijasz sobie do łba jego wersję.

– Naiwność.

Jan wycelował w niego palec.

– Nie wymawiaj w tej dziurze tego słowa.

– Dlaczego?

– Po prostu. Źle wróży.

Wolski nie odpowiedział. Z namaszczeniem oparł zdjęcie żony o grzbiety książek i podparł je grubym zeszytem.

– Zabiłem człowieka – odezwał się po chwili. – I jestem szczęśliwy, że rozgniotłem tę pieprzoną gnidę.

Trzydziestolatek spojrzał na niego z zaciekawieniem. Złożył ręce na brzuchu i rozprostował palec.

– Wypadek?

– Ani trochę.

– Tylko że nie sklasyfikowali cię do niebezpiecznych. Zresztą nie wyglądasz na wariata.

– Ponoć zbrodnia w afekcie daje mi pozytywną prognozę.  
– Afekt? Każdy kutas, który przyprawia komuś rogi, powinien zostać obcięty.  
– Nie w tym rzecz. – Wolski rzucił na pryczę dokumenty. – Ten sukinsyn uprowadził i zamordował moją żonę.

– Zakwalifikowali cię jako pobicie ze skutkiem śmiertelnym? W tym chorym kraju każdy patrol siedzi za pobicie ze skutkiem śmiertelnym.

– Niestety. Zabójstwo umyślne.

Jan gwizdnął z uznaniem.

– To będzie z nas dobra kompania. Kurewsko przednia ceta całego skurwionego bloku.

Wolski usiadł na skraju łóżka i oparł się o szafkę.

– Co masz na myśli?

– Trzech niewinnych, oskarżonych o popieprzone rzeczy, i jeden winny, który zrobił coś pozytywnego. – Jan się uśmiechnął. – Chujowo to brzmi, no nie?

– Więc o co cię oskarżyli?

– O wypadek ze skutkiem śmiertelnym – mężczyzna mówił bez mrugnięcia okiem. – Byłem napruty w trzy mordy, niewiele pamiętam z całego wieczoru. Wiem tylko, że na pewno nie prowadziłem tego złomu. Nie wiem kto, ale nie ja. Jeździliśmy bez celu po okolicy tak jak tysiące razy i za tym tysiąc pierwszym stało się. Pierdolony niefart. Mają moje ślady krwi po prawej i lewej stronie, mają ekspertyzy, ale trzymają mnie tu, jakbym miał gdzieś spierdolić. W tym kurewskim państwie po prostu muszą mieć winnego.

– Nie ma żadnych dowodów?

– Żadnych. Tylko że dla nich brak dowodów na niewinność to dowód na winę. A jest na odwrót, no nie? Kiedyś miałem incydent z jazdą po pijaku, więc prokurator siadł na mnie i poczuł krew jak pies sukę. Sąd przypieprzył trzy miesiące aresztu i cała historia.

Jan zamilkł na odgłos przekręcane go zamka. Po chwili drzwi do celi się otworzyły i do środka wszedł strażnik.

– Co pana sprowadza, kierowniku? – Trzydziestolatek podniósł się z pryczy.

– Wizyta duszpasterska.

Zza pleców klawisza wyszedł niski, puciołowaty ksiądz. Spojrzał na więźniów z dobrotliwym uśmiechem i poprawił okulary.

– Spowiedź, rozmowa? – odezwał się za niego strażnik. – Macie dziesięć minut.

Jan wzruszył ramionami.

– Ja podziękuję. Spowiadałem się w niedzielę.

– Ale ja chciałbym zamienić kilka słów. – Wolski usiadł na łóżku i wsunął klapki. Obrzucił księdza pustym spojrzeniem. – Mogę?

– Oczywiście. – Duchowny miał niski, miły głos. – Od tego tu jestem. Służę pomocą i dobrym słowem.

– Doskonale.

Wolski wstał i podszedł do niego. Spuścił wzrok, nieświadomie obgryzając wargi. Nagle chwycił księdza za poję sutanny i z całej siły pchnął na metalowe drzwi. Nim strażnik zdążył się poruszyć, uderzył bezwładną głową duchownego o framugę. Już przy pierwszym razie rozległ się chrobot pękającej kości jarzmowej i brzęk okularów wbijających się w oczodoły. Przy drugim trzasnęły wybijane zęby. Trzeci cios spadł na zagiętą dłoń, łamiąc wszystkie jej palce. Nie uratował ich drewniany różaniec.

Deryło tkwił w korku przy wjeździe na obwodnicę. Zirytowany, bębnił palcami o podłokietnik, ale warunki pogodowe spowalniały ruch skuteczniej od fotoradarów. Gęsty, gruby śnieg pokrywał ulice lepkiem dywanem. Zresztą do sparaliżowania Lublina nieraz wystarczyła symboliczna ulewa. Śnieżycą mogła spowodować prawdziwy armagedon. Gdyby pojechał dłuższą trasą, zapewne byłby już na miejscu. Na trójpasmówkę ładowali się wszyscy, aby kisić się pomiędzy stalowymi barierkami i ekranami dźwiękochłonnymi. Nie było żadnej możliwości manewru, najdrobniejszej szansy zawrócenia na trawniku czy pasie awaryjnym. Poza tym nisko zawieszony C6 zapewne nie wygrałby z hałdami śniegu – pomimo potężnego silnika był mułem. Eleganckim i umięśnionym, ale mułem.

Komisarz wyciągnął komórkę i połączył ją z systemem głośnomówiącym. Podjeżdżając o kilka metrów, wybrał numer.

Dźwięk łączenia powtarzał się w samochodzie aż do znużenia.

Brzeski odebrał dopiero po dobrych kilkunastu sekundach.

– Halo!

– Nie widzisz, kto dzwoni? – Deryło podgłośnił.

– Przepraszam, panie komisarzu. Miałem zajęte ręce.

W tle wyraźnie słyszał odgłosy rozmowy. Nie zważając na to, nachylił się do mikrofonu.

– Co słyszać na froncie?

– Cisza. Lipski z zadowoleniem przyjął decyzję o odsunięciu od sprawy. Chyba rzeczywiście kończy ze służbą.

– A ten eleganckik Bicki? Zdążył już narobić burdelu?

– Jeszcze nie – aspirant mówił przyciszonym głosem. – Zanim wyszedłem, zażądał wszystkich dokumentów, ale to tylko pozer. Doskonale wiadomo, że ich nawet nie przejrzy. Po to naczelnik zawracał nam od wczoraj głowę raportami, żeby Bicki miał ściągi. Streszczenie sprawy.

– W Warszawie żyje się szybko i wygodnie.

Brzeski nie podłapał tej uwagi.

– Przepraszam, komisarzu. Nie bardzo mogę rozmawiać.

- Coś się stało?
- Jestem u lekarza.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Nic takiego. Chciałem potowarzyszyć żonie.
- Dobra – Deryło uciał. – Nie mój interes. Daj znać, jak cokolwiek się stanie. Rozumiesz?

Cokolwiek.

– Oczywiście. – Nim komisarz się rozłączył, Brzeski zdążył dorzucić: – Cieszę się, że pan do nas wraca.

Głos aspiranta zastąpiła audycja radiowa. Gość redaktora wyjaśniał na antenie grobowym tonem naukowca nudziarza:

– *Według Ronalda Holmesa, jednego z twórców doktryny kryminologicznej, można wyróżnić cztery typy zabójców seryjnych. W kontekście toczącego się śledztwa policja z całą pewnością współpracuje z tak zwanymi profilerami. Do opinii publicznej przecieka jedynie część informacji dotyczących poszukiwanego mężczyzny, ale można spróbować go zakwalifikować do jednego z tych typów.* Deryło był już prawie na obwodnicy, ruch powoli przyspieszał, a opady śniegu opornie malały. W samochodzie obok pyzata brunetka malowała usta. W takim korku bez szkody dla innych mogła uwinąć się z całym make-upem.

– *Jakie to typy?– Tak jak powiedziałem, nie mogę odnieść się do konkretnych przesłanek doktrynalnych. Najbardziej prawdopodobny to jednak tak zwany maniak władzy i mocy. Świadczą o tym chociażby informacje o torturowaniu ofiar. Tortury pozwalają tym wypaczonym osobowościom odczuwać przewagę nad inną jednostką, całkowicie podporządkować ją sobie...*

Deryło trzasnął dłonią w panel sterowania. Wyłączył radio, wtaczając się na obwodnicę. Śnieg jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestał padać, a elektroniczny termometr wskazał jeden stopień na plusie. Zapowiadało się na gołoledź.

Komisarz uważnie wypatrywał znaków zjazdowych. Przy niecałej pięćdziesiątce na liczniku nie mógł ich przegapić, ale wołał odpowiednio wcześniej ustawić się na właściwym pasie. Po przebudowie trasy nie był jeszcze w tej okolicy. Środki z Unii Europejskiej nie poszły na marne i inwestycja sprawiała iście zachodnioeuropejskie wrażenie. Zachodnioeuropejsko można było się także zgubić. Tym bardziej że niezaktualizowany GPS oczywiście całkowicie zwariował. Wskazywał, że samochód znajduje się pośrodku lasu i kieruje się w stronę pól. Czerwony wykrzyknik wzywał do zawrócenia.

Właściwy znak był oblepiony śniegiem, ale Deryło w porę go dostrzegł. Zjechał z obwodnicy i po kilkuset metrach skręcił w jednopasmówkę. Jezdnia była nieuczyszczana, ale śnieg się rozpuszczał. Zmieniał się w brudne błoto zbrylające się pod kołami. Ulica schodziła łukiem z nasypu i w stronę niewielkiego skupiska domów w oddali.

Przy każdym drgnięciu kierownicy uruchamiały się elektroniczne systemy kontroli jazdy. Opadająca jezdnia wymagała dostosowania prędkości i w każdej chwili groziła poślizgiem. Deryło wcisnął pedał hamulca, ale samochód nie zareagował. Mając za nic jego starania, wciąż nabierał prędkości.

– Co jest?! – Po wypowiedzianych na głos słowach przetoczyły się nieme bluzgi.

Z trudem utrzymywał auto na obłoconej nawierzchni. Zredukował biegi, usiłując jednocześnie wyhamować ręcznym hamulcem. Poza szarpnięciem silnika i wskoczeniem wskazówki obrotów w sam róg czerwonego pola nic się nie zmieniło.

Sześćdziesiąt na godzinę.

Koła traciły przyczepność, kierownica zeszywniała i z opóźnieniem reagowała na ruchy.

Siedemdziesiąt.

Z oddali nadjeżdżał samochód. Gdyby teraz wpadł w poślizg i zjechał na przeciwległy

pas, z podróżujących obydwojoma pojazdami zostałyby miazga. Splecione puszki konfitur.

Kurczowo ścisnął kierownicę. Woli odbić w prawo i dachować, niż zabić niewinnych ludzi. Zaciął wargi. Nawet nie czuł, że pot zbiera się mu na karku.

Samochody minęły się ze świstem. Usłyszał za sobą wściekłe trąbienie drugiego kierowcy.

Siedemdziesiąt sześć, siedem. Nie mógł odetchnąć. Jezdnia ponownie zakręcała. Wiedział, że jeżeli zahaczy kołami o pobocze, siła odśrodkowa wyrzuci go z drogi. Ogołoczone z liści, ośnieżone drzewa pochylały się drapieźnie. Były gotowe przyjąć uderzenie samochodu. Były gotowe, aby ich gałęzie stały się jego płytą nagrobną.

Po rozmowie z Robertem Wolskim mecenas Obara był skonfundowany. Wahał się, czy rzeczywiście powinien to rozegrać w ten sposób: pozwolić wydarzeniom biec własnym życiem i zdać się na łut szczęścia. Musiał zaryzykować. Pompowanie medialnego balonika mogło mu jedynie pomóc. Pał diabli klientów, na początku kariery musiał to wykorzystać. Dobre rozegranie tych spraw powinno ustawić go na całe życie. Wtedy będzie w stanie bronić nawet cholernie *pro publico bono*.

Wyszedł na parking przed aresztem śledczym i podszedł do samochodu. Czerwony citroën miał niespełna rok, ale znacznie lepiej wyglądałyby na jego miejscu nawet nieco starszy mercedes albo bmw. Darowanemu koniowi nie zagląda się i tak dalej... Otworzył drzwi i sięgnął do schowka.

Na komórce wystukał z pamięci numer komendy. Dodzwonił się na centralę. Posterunkowa, która odebrała, wypytała go o wszystkie możliwe dane. Z numerem legitymacji włącznie. Dalsza rozmowa również szła jak po grudzie, ale wrodzoną nutką kurtuazji udało mu się ją przekonać. Drobnym żarcikiem, niezobowiązującym tonem, zapozowaniem na lwa salonów – i świat stawał otworem. Po chwili policjantka przełączyła go pod właściwy numer. Minęło kilka sygnałów, nim ponownie podniesiono słuchawkę.

– Inspektor Bicki, słucham?

Szorstki, nieprzyjemny głos nieco zbił go z tropu. Decyzja jednak została już podjęta. Nie powinien się wycofywać.

– Mówi adwokat Obara.

– Słucham?

– Jestem obrońcą oskarżonego Roberta Wolskiego. Powiedziano mi, że pan osobiście nadzoruje sprawę o sygnaturze...

– Zgadza się – uciął inspektor. – O co chodzi?

– Właśnie rozmawiałem z moim klientem.

– Gratuluję prokuratorowi, że wyraził zgodę.

Obara udał, że nie usłyszał tej uwagi.

– Wydaje mi się, że coś powinno pana zainteresować, inspektorze.

– Niby co takiego?

– Robert Wolski chciałby zobaczyć się z panem osobiście. Chce przekazać informacje kluczowe dla śledztwa.

Deryło pochylił się nad kierownicą. Gałka skrzyni biegów ślizgała się w jego mokrej od potu dłoni. Starał się za wszelką cenę utrzymać w trasie i nie zahaczyć o zaśnieżone pobocze. Na szczęście nic nie jechało z naprzeciwka. Z prędkością ryzykowną nawet w idealnych warunkach zbliżał się do połowy łuku. Czuł, że samochód w każdym ułamku sekundy może stracić przyczepność. Musiał zaryzykować. Nieświadomie wstrzymywał oddech. Gałki oczne nienawilżone mruganiem zaszklily się. Stopniowo zaciągnął hamulec ręczny, jednocześnie odbijając kierownicą w stronę środka drogi. Systemy elektroniczne nie utrzymały toru jazdy, poddając się prędkości i masie pojazdu.

Auto wpadło w poślizg. Obróciło się na zmieszonym ze śniegiem błocie i z szumem opon sunęło bokiem. Cały czas pozostało jednak na drodze. Deryło skontrował kierownicę. Pasy bezpieczeństwa wbiły się w jego bark, a skóra wokół szwu się naprężyła. Nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Jeszcze raz usiłował zakręcić, lecz oblodzone podłoże pozbawiło go jakiejkolwiek kontroli. Ślizgiem bocznym pokonywał kolejne dziesiątki metrów. Samochód przeciął bokiem przeciwną jezdnię i z hukiem wystrzelonej kurtyny bocznej uderzył o betonowe podwyższenie zatoczki. Przechylił się, ale zaraz z łoskotem opadł na wszystkie koła.

Zapanowała cisza.

Deryło przez chwilę nawet się nie poruszył. Wciąż zaciskając dłonie na kierownicy, łapał powietrze. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się zapomnieć o oddychaniu. O dziwo, serce nie zapomniało o rozkurczaniu się i waliło mu w klatce jak Zygmunta na Wawelu. Jego rezonans zaciskał mu gardło.

Głośno odsapnął i rozpiął pas. Odczekał, aż adrenalina opadnie, pozwalając odzyskać czucie w nogach. Tysiące mrówek biegało od jego kostek po same uda, pojedyncze wspinały się jeszcze wyżej...

Auto uderzyło prawą stroną, ale błąd pieprzonej elektroniki zablokował drzwi. Dopiero drugie pchnięcie klamki odbezpieczyło mechanizm. Wyszedł na oblodzoną nawierzchnię i podtrzymując się maski, obszedł pojazd.

Wygięta felga, wgnieciony zderzak i stłuczony reflektor stanowiły łagodny wymiar kary. Gdyby nie betonowe podwyższenie rozdzielni prądu, uderzyłby o jej stalową skrzynię. Wtedy samochód nadawałby się zapewne jedynie do kasacji. Mimo wszystko o dalszej jeździe nie było mowy.

Czekanie na lawetę również nie wchodziło w rachubę. Deryło, klnąc, zepchnął auto jeszcze bardziej na bok i ruszył w stronę zabudowań. Perspektywa brnięcia w zwałach roztopiającego się śniegu brzmiała urzekająco. Już po kilku minutach zaczęły mu drętwieć stopy. Wyglancowane lakierki nie były najlepszym pomysłem na taką pogodę. Cienkie, jedwabne skarpety jedynie dopełniały obrazu. Zachował się jak wypomadowani Francuzi chcący zdobyć Moskwę.

Gęsta chmura wątpliwości odciągnęła uwagę od śniegu chrzęszczącego wokół kostek. Czy to możliwe, żeby dziesięcioletnie auto samo z siebie straciło hamulce? Niby francuz, niby citroën, ale to tylko stereotypy. A może popadał w paranoję? Może właśnie tego chciał Cztery Iks? Miał myśleć, że każdy, nawet najdrobniejszy szczegół jego życia jest kontrolowany. Że ten sadysta ma nad nim bez przerwy przewagę i jest kilka kroków dalej. Że czuwa nad jego życiem.

Bzdury.

Mimo wszystko zadzwonił do techników, aby ściągnęli samochód i pilnie go obejrzel. Przynajmniej nie będzie miał zawracania głowy z ubezpieczycielem. I przede wszystkim zyska poczucie spokoju.

Nie zważając na przemakające buty, brnął w pośniegowym błocie. Już pierwsze zabudowania nie pozostawiały wątpliwości, że w okolicy osiedliła się lubelska śmietanka. Nawet pod białym puchem krzewy i drzewa prezentowały doskonałe formy. Wieloskrzydłowe rezydencje drapieżnie wrzynały się w sielski krajobraz. Niektóre, jeszcze w budowie, zionęły pustką zabezpieczonych wnętrz. Wszystkie epatowały bogactwem właścicieli, umyślnie otoczone jedynie symbolicznymi ogrodzeniami, nafaszerowanymi oznakowanymi systemami alarmów. Doskonała pokusa dla złodziei.

Deryło wierzchem dłoni otarł ze śniegu tabliczkę z numerem posesji. Siedem. Czyli, logicznie myśląc, od celu dzieliły go cztery domy. Doświadczony lubelską praktyką, daleki był od ufania logice. Chaos numeracji nierzadko przypominał studenckie notatki po sesji. Ciągi i kolejność nie miały żadnego znaczenia.

W tym wypadku było jednak inaczej.

Po kilkudziesięciu metrach dostrzegł skrzynkę na listy z szukanym numerem. Posiadłość była węższa od dotychczasowych, a dom w głębi okazały, ale nie majestatyczny. Kanciasta, nowoczesna bryła i przeszklony parter nadawały mu skandynawski charakter. Jeszcze bardziej czyniła to czapa śniegu na płaskim, pochyłym dachu.

Komisarz pchnął skrzydło furtki. Zawieszona rozpiska informowała o godzinach przyjęć, ale nie zamierzał się nią przejmować. W stronę budynku prowadziły dwie ścieżki: jedna z nich otaczała dom, druga kończyła się na automatycznych drzwiach okraszonych ruchomymi obiektami kamer. Deryło słusznie odgadł, że było to wejście do części służbowej.

Kiedy znalazł się w środku, natychmiast nadział się na niechętnie spojrzenie sekretarki. Pięćdziesięciokilkuletnia, wyfiokowana kobieta wyglądała zza kontuaru rodem z Ikei. Chwyciła za oprawkę okularów i uważnie mu się przyjrzała.

– W czym mogę pomóc?

– Do profesora Wilewicza.

– Profesor już skończył pracę. Przyjmuje tylko po uprzednim umówieniu i ze skierowaniem...

Deryło dostrzegł solidne drzwi na końcu korytarza. Bez słowa minął recepcję i ruszył w ich stronę. Nie zważając na protesty sekretarki, pociągnął za klamkę. Kolejne bingo! Psychiatra pochylał się nad stertami papierów rozrzuconych na masywnym biurku – o wiele piękniejszym i droższym od tego w holu. Najście zarejestrował dopiero po chwili. Podniósł głowę i zaskoczony spojrzał na komisarza. Był drobnym, zgarbionym siedemdziesięcioletkiem.



Kozia siwa bródka dodawała jego twarzy surowości i sztampy charakterystycznej dla jego specjalizacji.

– Proszę stąd wyjść – odezwał się zaskakująco mocnym głosem. – Nie widzi pan, że jestem zajęty? Może się pan umówić na wizytę za pośrednictwem rejestracji.

Deryło zatrzymał się w połowie gabinetu, tuż za wezglowiem eleganckiej leżanki.

– Chcę, żeby pojechał pan ze mną do Ełku. – Nie zamierzał bawić się w niuanse. – I to jak najpilniej.

– Pan raczy sobie żartować.

Nim komisarz zdążył odpowiedzieć, do gabinetu wpadła sekretarka. Była purpurowa ze złości. Bezradnie rozłożyła ręce.

– Ten pan zupełnie mnie zignorował – fuknęła z wściekłością. – Mam zadzwonić po ochronę?

– Zdaję sobie sprawę – mruknął lekarz. – Ale to chyba nie będzie potrzebne.

Deryło nerwowo obtupał buty. Siłąc się na sympatyczne miny, podszedł do biurka.

– Proszę mnie wysłuchać.

– Nawet gdybym był chętny na wizyty wyjazdowe, to po pierwsze dziś jest sylwester, po drugie jutro mam wolne, a po trzecie nie jestem chętny.

– To sprawa państwowa.

Frazes równie banalny, jak głupi. Tym razem komisarz wyciągnął legitymację służbową. Machnął nią najpierw w stronę psychiatry, a potem jego sekretarki.

– Pańska pomoc może przysłużyć się śledztwu.

Lekarz uważnie przyjrzał się Deryło. Wstał zza biurka i podszedł do niego.

– Widziałem pana w telewizji – odezwał się bardziej przyjaznym tonem.

– W związku z tymi porwaniami kobiet...

– Być może.

– Nie wypowiadał się pan. Zazwyczaj był pan gdzieś na uboczu. Szanuję tych, którzy skupiają się na własnej robocie.

– Proszę mi nie kadzić.

– Zmierzałem do tego, żeby uszanował pan moją robotę.

Trafnie. Doktorek dobrze znał się na manipulacyjnych czarach-marach.

– Szanuję – solennie zapewnił Deryło. – Dlatego tak bardzo liczę na pańską współpracę.

Nie wiem, czy powinienem wyciągnąć pistolet i zaciągnąć pana siłą. A może aresztować za odmowę współpracy...

– Proszę się opanować. Wie pan, że to czczy gadanina.

– Chodzi o moją córkę. – Zupełnie nie zważał na protesty lekarza. – Kilka dni temu została porwana. Potrzebuje natychmiast pańskiej pomocy.

– Musiała ją dostać od właściwych terapeutów...

– Pan nie rozumie. Została poddana hipnozie albo podobnemu gównu. Jeżeli nie otrzyma właściwej pomocy, boję się, że stanie się coś nieodwracalnego. I mówię to z pełnym szacunkiem dla pana, ale przede wszystkim dla niej. Gdybym miał chociaż cień nadziei, że będzie inaczej, proszę mi wierzyć, nie stałbym tu jak ostatni debil i nie skomlał o pomoc jakiegokolwiek nadętego bufona!

Psychiatra odwrócił się w stronę sekretarki, która wciąż stała w progu.

– Może pani już wyjść.

Kobieta obrzuciła obu mężczyzn wściekłym spojrzeniem. Najwyraźniej nie mogła znieść tego, że została zlekceważona. Podwójnie. Dopiero po chwili, głośno wdychając, wyszła na korytarz. Kiedy zamknęła drzwi, lekarz obrócił się na fotelu. Przez chwilę milczał, mrużąc oczy.

– W porządku – odezwał się, wyginając cienkie usta w uśmiechu. – Mój czas, jak wszystko, można kupić.

Komisarz odetchnął.

– Pieniądze nie grają roli – powiedział, zerkając na zegarek. – Tylko czy możemy pojechać pańskim autem? Moje chyba nie nadaje się na trasę.

Romuald Bicki szybkim krokiem przemierzał korytarz aresztu śledczego. Towarzyszyło mu dwóch policjantów, ale kiedy dotarł do pokoju przesłuchań, szybko ich spławił. Mógł ściągnąć Wolskiego do prokuratury albo na komisariat, ale to zajęłoby więcej czasu. Chciał jak najszybciej zakończyć ten dzień. Zaklinał się, że jeżeli Obara jedynie go podpuścił, osobiście zajmie się jego dyscyplinarką. Z dawnych czasów znał dziekana Okręgowej Rady Adwokackiej. Odświeżenie kontaktu nie powinno być trudne.

Prawnik siedział w głębi małego pomieszczenia i energicznie coś tłumaczył Wolskiemu. Potężnie zbudowany mężczyzna wyglądał na zdenerwowanego. Kiedy inspektor wszedł do środka, obaj zamilkli.

– Oby to były istotne fakty – powiedział na przywitanie.

Wyciągnął drewniane krzesło i usiadł przy stoliku. Wolski odwrócił się w jego stronę.

– Jak się czuje ten ksiądz?

– Mam nadzieję, że nie o tym chciał pan mówić.

– Jak się czuje?

Ostro powtórzona pytanie wywołało na twarzy policjanta grymas zniecierpliwienia.

– Ma pan szczęście, że przeżył.

– Nie wiem, co mnie napadło.

– Chce pan ze mną pogrywać? Myśli pan, że nie wiem, do czego to zmierza?

– Chciałem po prostu wyjaśnić.

– Dość już pan wyjaśnił. Nie proponuję wycofywać się z tego, co już powiedziano. To zawsze słabo się kończy.

Obara zabębnił palcami w metalowy blat.

– Proszę nie pouczać mojego klienta. To wprowadzające w błąd manipulacje.

– Całkowicie prawdziwe. Złamany chuj się na to nie nabierze.

– Naprawdę mi przykro. Tyle się wydarzyło...

Bicki gwałtownie wstał. Poprawił płaszcz i ostentacyjnie wypuścił powietrze.

– Nie taka była umowa – wycedził, niemalże nie otwierając ust. – Przyjechałem tu w konkretnym celu. Jeżeli mamy gadać o dupie Maryni, to żegnam. I nie ujdzie to bez konsekwencji.

Obara wykonał uspokajający gest dłonią.

– Zapewniam pana, inspektorze, że pan Wolski ma coś do powiedzenia. Co do kwestii psychiatrycznych, sam chciałem poznać ustalenia. I to ja naciskałem, żebyśmy o tym porozmawiali.

– Właściwa opinia z całą pewnością zostanie panu doręczona.

– Dobrze wiemy, że wstępne wyniki już są. I zna je pan.

– Być może. – Bicki położył dłoń na klamce, ale jej nie nacisnął. – Co z tego?

– Chciałbym ją poznać. My dajemy coś od siebie, więc prosimy o coś w zamian. To

chyba uczciwe?

– Co to panu da, mecenasie?

– To, co najważniejsze. – Obara zrobił krótką pauzę. – Czas.

Inspektor zaśmiał się ironicznie. Mimo wszystko powolnym krokiem wrócił do stolika, ale nie usiadł.

– No dobrze – mruknął. – Psychiatrzy na razie nie opiniowali za obserwacją. Nie kwestionowali zdolności postrzegania ani w chwili zabójstwa, ani w celi.

– Rozumiem, że to nie jest ostateczne stanowisko?

– Obaj biegli byli całkowicie zgodni. Ale mają jeszcze czas na zmianę zdania.

– Dziękuję za to odstępianie od formalizmu.

Bicki oparł się o skraj krzesła.

– Teraz wróćmy do sedna. Mam na głowie znacznie poważniejsze sprawy niż siedzenie w tej norze. I lepiej, panie Wolski, żeby to były przydatne informacje.

Obara nerwowo się wyprostował.

– Proszę skończyć z tym zastraszaniem.

– O kogo się pan boi, mecenasie? O siebie czy o klienta?

– Wyjątkowo lubi pan odpowiadać pytaniem na pytanie.

Mężczyźni zmierzyli się spojrzeniem. Podkrążone oczy Bickiego nawet nie drgnęły. Widać było, że doświadczony policjant ćwiczył to setki razy.

Napiętą ciszę przerwał monotony, zrezygnowany głos Wolskiego.

– Przypomniało mi się coś istotnego. Zupełnie nagle, jakbym wcześniej specjalnie wyrzucił to z pamięci.

Bicki spojrział na niego nieufnie. Splótł dłonie i pochylił się nad krzesłem.

– Niby co takiego?

– Przypomniałem sobie ostatnie słowa tego gnoja.

Profesor Wilewicz mimo wieku prowadził zaskakująco sprawnie. Zabrał ze sobą niewielką torbę podróżną, która w przepastnym bagażniku lexusa wyglądała na damską torebkę. Poprosił Deryło o nieuprzedzanie córki o ich przyjeździe. Komisarz posłusznie napisał Ewie krótkiego esemesa, że jest zajęty, i wyłączył telefon. Nie zamierzał wdawać się z profesorem w dyskusje. Skoro wszystko szło zgodnie z planem, gotów był siedzieć na dupie i słuchać. Zaproponował jedynie, że na poczet zaliczki opłaci pełne tankowanie, ale lekarz zbył go drwiącym uśmiechem.

– Jest zalany pod korek – oznajmił, podkreślając klimatyzację. – Poza tym to porządna hybryda. Mimo gabarytów pali naprawdę niewiele.

Deryło nie odpowiedział. Nie zamierzał się narzucać ani po raz kolejny targować. Rozliczą się po wszystkim. Choćby Wilewicz rzucił mu bajońską sumą, nie miało to znaczenia. Liczył się tylko czas. Zsunął przemoczone buty i zerknął na wyświetlacz komputera pokładowego. Nawigacja pokazywała dystans trzystu pięćdziesięciu kilometrów.

Mimo warunków pogodowych po czterech godzinach pozostało już tylko dwanaście. Zrobiło się całkowicie ciemno, ale przynajmniej nie padał śnieg. W czasie drogi Deryło streścił doktorowi historię ostatnich dwóch tygodni. Ubrał ją w delikatne słowa, ale i tak czuł się paskudnie. Nie rozumiał, dlaczego ludzie doznają ulgi po zwierzeniach na kozetce. Sam miał wrażenie, jakby właśnie zwymiotował. Opróżnił część wnętrzości, ale obrzydliwy posmak pozostał w ustach.

– Ma pan rację, że nie znam się na psychiatrii. Nie wiem, jak on to zrobił, ale znam swoją rodzinę. Wiem, że ten kutas zostawił pieprzony ślad w psychice mojej córki. Z całkowitą premedytacją.

Wilewicz poprawił się na siedzeniu. Od początku trasy nie zrobili żadnej przerwy.

– Niech pan nie myśli o czerwonym słońcu – powiedział, naciągając mięśnie karku.

Deryło popatrzył na niego zdziwiony.

– Co proszę?

– Niech pan nie myśli o czerwonym słońcu.

– O czym pan, do cholery, mówi?

– Jestem pewny, że właśnie wyobraził pan sobie czerwonego słońca.

– Co to ma do rzeczy?

– Nie wiem, co stało się z pańską córką, ale manipulowanie ludzką podświadomością jest w rzeczywistości bardzo łatwe. Oczywiście są osoby bardziej i mniej podatne na różne techniki. Ale co do zasady nie ma osób całkowicie odpornych. Nie mówiąc już o warunkach hipnotycznych lub farmakologicznych. Każdy człowiek się zmienia, a manipulacja to tylko wskazanie kierunku tych zmian. Tak działa każda religia.

Deryło wyrwał się z monotonnego odrętwienia.

– Uważa pan, że ten sukinsyn sam jest ofiarą manipulacji?

- Niczego takiego nie powiedziałem.
- A jednak nawiązał pan do religii.
- Dla pana teraz każde słowo jej dotyczące będzie wywoływało wiadome skojarzenia.
- Dlaczego więc pan to powiedział?
- Po prostu. Bez żadnych intencji.

Deryło wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i zgiął ją na pół. Przez chwilę załamywał kolejne rogi, formując jakąś pokrętną formę.

– Nasz profiler ma swoją wizję – odezwał się po chwili. – Twierdzi, że on zrobił to wszystko, aby przeprowadzić egzorcyzm na samym sobie. Tylko nie wypędzając diabła, lecz Boga, którego tak naprawdę nigdy nie zaznał.

- Zapewne ma więcej materiałów badawczych niż ja.
- Dla mnie to naiwne brednie.
- Większość motywacji psychopatów można nazwać naiwnymi.
- A ich działania?
- Jeżeli chodzi panu o to, czy uda mi się pomóc, to niczego nie obiecuję.

Komisarz zmiął papierowego żurawia i schował go do kieszeni.

– Ale radził pan sobie z takimi przypadkami?

– Na razie nawet nie wiem, do kogo jadę. Jeżeli ma pan rację, odwrócenie skutków psychicznych może zająć całe miesiące, a nawet lata. Reminiscencje fałszywych wspomnień nierzadko są nie do wyplenienia. Nie dają żadnej gwarancji sukcesu.

- Proszę tylko o spróbowanie.
- Zazwyczaj ludzie boją się eksperymentów na swoich bliskich.
- To chyba nie będzie tylko eksperyment.

Profesor oderwał wzrok od drogi i spojrzał na Deryłę.

– Nie zdarza mi się jeździć do nieznanymi przypadków z powodu domysłów osób niemających pojęcia o psychiatrii.

- Czy moje słowa nie przekonały pana?
- Gdyby tak nie było, oglądałbym właśnie *Jednego z dziesięciu*.
- Dzisiaj zapewne jest repertuar sylwestrowy.
- Tym bardziej. Z żoną zawsze oglądałem relację z Warszawy.
- Powiedział pan to w czasie przeszłym.

Profesor dostrzegł jego grymas i się uśmiechnął.

– Myśli pan, że moja żona zmarła? O nie. Ma się świetnie. Rozwiedliśmy się przed dwoma miesiącami.

- Nie wiem, czy mam gratulować, czy współczuć.
- Dla pana to dobrze. Wszyscy postrzegamy innych tylko z własnej perspektywy.

Brzeski wrócił do domu zmęczony jak po przymusowych robotach. Towarzystwo posterunkowej Nowak jeszcze potęgowało to wrażenie. Zespół rozpracowujący Cztery Iksa rozrósł się do kilkunastu osób, ale ścisły trzon wciąż stanowiła pierwotna komórka. Niestety pozbawiona sierżanta Banacha. Mimo tysiąca koncepcji ślad po księdzu całkowicie się urwał. Dowody zabezpieczone w kamienicy nie wnosiły niczego nowego. Miłosz Tracz również podtrzymywał swoją pierwotną analizę, chociaż czynił to z mniejszym przekonaniem. Coś mu nie pasowało, ale starał się tego nie pokazywać. Bicki go nie pospieszał, a nowych szans szukał w źródłach urzędowych. Chciał znać każdy szczegół z życia księdza. Gdzie się urodził, gdzie mieszkał, co i z kim studiował, jak wypełniał posługę kapłańską. Wierzył, że skrupulatne zbadanie biografii podejrzanego wniesie coś do śledztwa. Poza tym doskonale wiedział, że to skuteczne zagranie medialne. Robota wydawała się łatwa, ale w telewizji można było pochwalić się zdobytymi informacjami. Nie spodziewał się jednak, że trafią na betonowy mur. Ani w księgach konsystorskich, ani w aktach urzędowych nie znaleźli żadnego śladu. Zupełnie jakby pojawił się znikąd.

– Masz pizzę w piekarniku – usłyszał, gdy ściągał płaszcz.

Jego żona leżała w salonie i oglądała serwis informacyjny. Albo raczej zagłuszała myśli szumem telewizora.

– Świetnie. Napijemy się wina?

– Jeśli masz ochotę.

– Jestem pod telefonem, ale kapkę mogę skosztować.

– Mieliśmy gdzieś dzisiaj wyjść. Nie mogę już wytrzymać w tych czterech ścianach.

Duszę się.

– Kochanie...

Brzeski zdjął buty i wmaszerował do salonu. Było dokładnie tak, jak się spodziewał. Alicja leżała na wersalce i spoglądała w sufit. Nawet na niego nie zerknęła.

– Muszę dziś wyjść. Pracujesz codziennie od Wigilii, nie masz dla mnie wcale czasu, nawet nie liczę, że dotkniesz mnie w łóżku. Mieliśmy się starać o dziecko, a ty masz to w dupie.

– Nie mów tak.

Podszedł do niej i złapał ją za dłoń. Zabrała ją jednak i podłożyła pod głowę.

– Mówię, bo tak jest.

– Wiesz, nad czym pracuję. To kwestia kilku dni.

– Słyszę to od kilku dni! Rób, co chcesz. Ja nie stracę sylwestra. Chcę się odprężyć. Sam słyszałeś, że odprężenie psychiczne to połowa sukcesu.

Kiedy się nad nią nachylił, poczuł kwaśną woń alkoholu. No tak, powinien to zauważyć od razu. Tylko że często nie było różnicy pomiędzy histerią a pijaństwem. To drugie miało jednak swój zapach.

– Miałaś nie pić – powiedział spokojnie. – To nie pomaga.  
– Nie zwracaj mi uwagi. – Alicja odepchnęła go od siebie i usiadła. Omal nie spadła z krzesła. Nerwowo przyglądała włosy, zebrała je w kucyk i spięła gumką. – Wezmę taksówkę i pojedę na plac Teatralny.

– Jest lodowato. Nie ma sensu stać w tym tłumie na mrozie.

– Obiecałeś, że gdzieś wyjdziemy.

Wstała i zataczając się, poszła w stronę łazienki. Brzeski westchnął. Wiedziała, że sylwestrową kolację spędzą w mieszkaniu. Dlatego zostawiła pizzę w piekarniku i nie była umalowana. Mimo tego zrobiła mu awanturę. Kobiety.

Bez słowa poszedł do kuchni i wyciągnął z lodówki keczup. W telewizji właśnie podano, że Chiny już weszły w Nowy Rok, przy akompaniamencie wybuchów petard, rozbłyskach fajerwerków i radości tłumów.

Otworzył piekarnik i wierzchem dłoni dotknął przyrumienionego sera. Był ciepły, ale nie gorący. Nie chciało mu się czekać. Oblizał palec, przełożył pizzę na talerz i wrócił do salonu. Przechodząc obok łazienki, usłyszał, że Alicja płacze. Chciał zapukać, ale wiedział, że go nie wpuści. Usiadł przy stole i sięgnął po największy kawałek. Mimo że w ciągu dnia zjadł jedynie pieruńsko słodką wuzetkę, nie był głodny. Zaciśnięty żołądek przeszedł w tryb intensywnej pracy i odkładania rezerw energii.

Bez apetytu przełknął gumowate salami, kiedy zadzwonił telefon. Natychmiast wyciągnął z kieszeni słuchawkę i odebrał.

– Chyba coś mamy – usłyszał zmęczony głos Nowak. – Bicki chce wszystkich na komisariacie.

– Teraz?

– Jak najszybciej.

– Cholera... – Odsunął od siebie talerz i spojrzał na tłumy świętujące Nowy Rok w Sydney. Pekin chyba obchodził ten dzień w innym terminie. – Będę za dwadzieścia minut.



Posterunkowa Nowak najwyraźniej na niego czekała. Stała na głównym korytarzu, obok automatu z napojami. W jednej dłoni trzymała tekturowy kubek z kawą ze zdjętym wieczkiem, a w drugiej snickersa. Aż dziwne, że zestawu nie stanowił talerz ziemniaków z kiełbasą. Barek zapewne był już dawno zamknięty.

– Bicki spotkał się w areszcie z Wolskim – relacjonowała emocjonalnie policjantka. – Ten przekazał mi ostatnie słowa koleś, którego zamordował.

– To znaczy?

– Że przewidział, jak wszystko się skończy, i że zostawił list.

– Pieprzony jasnowidz.

– Tylko że rzeczywiście patrol odnalazł ten list.

– Co takiego?

– To co słyszałeś.

– Gdzie go znaleźli?

Brzeski zatrzymał się przed pokojem narad. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– To jest najlepsze. – Nowak była najwyraźniej zadowolona, że jako pierwsza przekazuje mu te informacje. – W kamienicy Cztery Iksa. Tak jak powiedział Wolski, był włożony między cegły przy wejściu.

– To jakiś absurd.

– Niestety nie. Takie mamy fakty.

Brzeski zaczerpnął powietrza i pchnął drzwi. Najwidoczniej byli jednymi z pierwszych, bo w środku poza inspektorem siedziało tylko trzech policjantów.

Gruby sierżant powitał ich machnięciem ręki.

– Nie dość, że załatwił nam święta, to rozrywkę mamy zafundowaną nawet w sylwestra – powiedział ze zrezygnowanym uśmiechem. – Trzeba było iść do straży miejskiej.

– Firma nikogo nie trzyma siłą – cierpko uciął Bicki.

– Ja tylko...

– Nieważne. – Inspektor skinął do Brzeskiego. – Nasi ludzie znaleźli na miejscu list...

– Tak, wiem. Posterunkowa Nowak już mi wszystko zaraportowała.

– Jego treść też?

– Tego jeszcze nie.

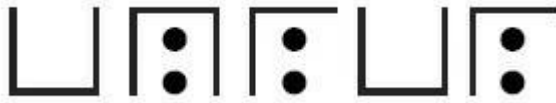
Aspirant sięgnął po zadrukowaną kartkę.

– To oczywiście skan – wyjaśnił Bicki. – Oryginał poszedł do techników, ale wstępnie nie ma na nim żadnych śladów. Papier pochodzi z najpopularniejszej ryzy...

Brzeski obrócił się w stronę światła.

Nic, co ludzkie, nie jest wieczne. Nic, co wieczne, nie jest ani dobre, ani złe. Zostawiam to jako swój testament. Może odnaleźliście go na czas, a może niczym kapsułę czasu czytasz to, robotnikowi wyburzający tę kamienicę. W takim wypadku nie przejmuj się. Wszystko już dawno

przeminęło. Jeżeli jest inaczej, pozostawiam Wam drobną zagadkę. Znajdźcie tam moją spuściznę. Wszyscy są w jego szponach:



– Nic z tego, do cholery, nie rozumiem. – Aspirant oddał kartkę inspektorowi. – Coś wiadomo?

– Kodu jeszcze nie rozgryźliśmy. Analitycy pracują nad nim od godziny.

– Oby skutecznie.

– Ofiar tego skurwysyna może być więcej.

Brzeski zamyślił się.

– Zupełnie jakby chciał wskazać miejsce, gdzie przetrzymuje kolejne osoby...

– Gdzie przetrzymywał kolejne osoby – poprawił go grubawy sierżant. – W tym momencie to najprawdopodobniej trupy.

– Niekoniecznie – zaproponował aspirant. – W sprawę zamieszanych było kilka osób. Być może nie złapaliśmy ich wszystkich. Być może to jakaś cholerna sekta, która odprawia swoje rytuały na cmentarzu. A ta skóra? Żaden z nas chyba nie wierzy, że mamy kolejnego czubka zupełnie niezwiązanego z Cztery Iksem.

W pomieszczeniu zapadło milczenie. Emocjonalne słowa Brzeskiego wyrażały to, o czym myślał każdy z nich. I do czego nikt nie chciał się przyznać.

Ciszę przerwał łoskot otwieranych drzwi. Do pomieszczenia wpadł zdyszany Miłosz Tracz. Skoro Bicki go ściągnął, musiał być naprawdę zdesperowany.

Inspektor bez słowa podał rudzielcowi skan listu i niecierpliwie czekał na reakcję. Tak jak i wszyscy pozostali. Czując na sobie ich wzrok, profiler odwrócił się w stronę ściany. Kołysał się jak Żyd w ruinach świątyni Salomona. Przeczytał tekst kilka razy i bezradnie rozłożył dłonie.

– To się nie trzyma kupy – powiedział, wciąż stojąc do reszty plecami. – Dałbym się pociąć, że tego listu nie pisała ta sama osoba, co wcześniejsze.

Krępy sierżant roześmiał się nerwowo, a posterunkowa Nowak coś mruknęła pod nosem. Inspektor zachował kamienną twarz. Podszedł do Tracza i położył dłoń na jego ramieniu.

– Z czego tak wnioskujeś?

Tracz wreszcie się odwrócił. Był spocony i blady.

– Nie ma podpisu. Do tego list napisano na maszynie, a ostatni list Cztery Iksa był odręczny. Poza tym do dotychczasowego profilu nie pasuje stwierdzenie, że nic, co wieczne, nie jest ani dobre, ani złe. To bzdury, ale po prostu mi nie pasują!

– Może trzeba zmienić dotychczasowy profil.

– Na podstawie listu, którego autora tak naprawdę nie znamy?

– Niby kto inny miałby go napisać?

– Nie wiem. – Tracz przygryzł na chwilę wargę. – Ale dopiero profilowaliśmy księdza, a teraz jest mowa o tym gostku zamordowanym w szpitalu.

– Niech pan to jeszcze na spokojnie przeanalizuje. – Inspektor, zrezygnowany, machnął dłonią. – A kod? Nic panu nie mówi?

Profiler zrobił jednoznaczny minę. Tak jak reszta nie miał pojęcia, co może oznaczać.

– Czyli ksiądz nie jest już głównym podejrzanym? – zapytał, odkładając list na metalowy stolik.

– Jest głównym podejrzanym, który żyje.

– Dokonywałem profilowania bezpośrednio pod jego kątem. Wszystko się zgadzało. Kiedy się okazało, że to właśnie on, układanka połączyła się w całość.

– Może o to chodziło? Wszystkie elementy miały wprowadzić nas w błąd?

– Nawet to, że kolejne ofiary pojawiły się po tym, jak człowiek, który rzekomo napisał ten list, trafił do szpitala z przestrzelonym kręgosłupem?

Inspektor nie zdążył odpowiedzieć. Kiedy otwierał usta, do pomieszczenia cicho wsunął się smukły mężczyzna. Miał około trzydziestu lat, niedbały zarost i zmierzwione włosy.

– Kogo ja widzę... – Bicki z zadowoleniem przywołał go dłonią. – Mam nadzieję, że panowie analitycy wykonali dobrą robotę.

Mężczyzna energicznym krokiem wmaszerował na środek sali.

– Odszyfrowałem to – oznajmił krótko.

Służbowa legitymacja pokazana na recepcji w ełckim ośrodku działała cuda. W ciągu kilkudziesięciu sekund portier ustalił, że żona i córka komisarza przebywają w pokoju. Po kolejnych trzech minutach Deryło i Wilewicz stali przed drzwiami. Otworzyła Ewa, ubrana w czarne jeansy i golf. Z pewnością nie był to strój na sylwestrową zabawę.

– Co ty tu robisz? – zapytała, nie zwracając uwagi na Wilewicza.

Deryło chciał ją pocałować, ale się odsunęła.

– Myślałem, że się stęskniłaś. – Chłodne powitanie było jak cios w serce.

– Przyjechałem z profesorem...

– Cały dzień milczysz! Dzwoniłam na komisariat! Co się z tobą, do cholery, dzieje?

– Przepraszam, Ewa...

Nigdy nie widział jej tak wzburzonej. Była opanowaną kobietą, nieskorą do awantur i unoszenia się. W tym momencie jednak zupełnie się nie kontrolowała. Wściekła, odwróciła się i poszła w głąb pokoju. Starał się nie słuchać litanii wyrzutów kierowanych pod swoim adresem.

Przeprosił Wilewicza i poszedł za żoną. Kątem oka zauważył, że Wiktoria leży na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit. Nawet nie wstała się z nim przywitać. Nawet nie podniosła głowy ani się nie uśmiechnęła. Całkowicie zignorowała jego obecność, jakby zupełnie normalne były czterystukilometrowe wycieczki za rodziną.

Ewa wyszła na balkon. Był pokryty cienką warstwą zmrożonego śniegu.

– Przeziębisz się.

Zdjął płaszcz i narzucił jej na ramiona. O dziwo, nie protestowała. Utkwiła w nim wymowne spojrzenie skrzących się oczu. Zamrugła, starając się zatrzymać napływające łzy.

Deryło dyskretnie przytknął drzwi balkonowe.

– Naprawdę przepraszam. Od rana nie miałem chwili wolnego...

– Nawet w trasie?

– Chciałem zrobić ci niespodziankę – skłamał. – A w rzeczywistości...

– Wiesz, co wygaduje Wiktoria? – Ewa przerwała jego tłumaczenia. – Rano zrobiła mi okropną scenę. Potem zaczęła mówić o tobie. Nie wiem, co się z nią stało! To mnie przerasta, a ty zostawiłeś mnie samą!

Nie mogła dłużej powstrzymać łez. Rozplakała się, drżąc z zimna i nerwów. Deryło delikatnie ją przytulił.

– Dlatego tu jestem. Ten profesor to specjalista od takich przypadków.

– Jakich przypadków, do diabła? Co ten psychol jej zrobił?

– Nie wiem dokładnie. W jakiś sposób ją zmanipulował.

– I niby jak ma pomóc ten dziadek? – Ewa spojrzała mu w oczy. – No powiedz, jak ma nam pomóc?

– To wybitny psychiatra.

– Był już wybitny terapeuta. I wybitne lekarstwa. Po tych tabletkach nasza córka leży od

południa i gapi się w sufit. I chyba wolę to niż jej pokręcone historie!

– Ewa, proszę, wróćmy do środka i pozwólmy mu działać.

– A jeżeli to nie pomoże? Jeżeli już na zawsze będzie spaczona?

Zacisnęła usta, zła za wypowiedziane słowa. Nie chciała tak tego ująć. Deryło otworzył drzwi i delikatnie poprowadził ją do pokoju. Zatrzymał się w progu, czekając, aż jego żona ukradkiem obetrze łzy.

– Pomoże – powiedział z naciskiem. – Sama zobaczysz.

Wiktoria nawet się nie poruszyła. Wilewicz z założonymi rękoma stał przy drzwiach wejściowych. Zachęcony przez komisarza, wszedł do pokoju.

– Przepraszam – westchnął Deryło.

Jeszcze raz przedstawił profesora żonie i skinął głową w stronę córki.

– Jak pan widzi, nie jest wesoło. – Wysilił się na uśmiech. – Studentka olewa sylwestra.

Wilewicz przygładził palcami brodę.

– Muszę wiedzieć, jaki lek zażyła.

Ewa sięgnęła po zawieszoną na klamce torebkę. Drżącymi dłońmi przeszukała jej wnętrze i wyciągnęła tekturowe opakowanie. Psychiatra obrócił je w dłoniach.

– Mhm – mruknął zadowolony. – Na szczęście to nie będzie kolidowało.

– Kolidowało z czym?

– Nie można posiadać medycznej marihuany, ale natura dała człowiekowi znacznie więcej możliwości.

Profesor wyciągnął z teczki fiolkę z żółtym płynem i strzykawkę.

– Co to jest? – zapytał ostro Deryło.

– Czy na pewno chce pan wiedzieć?

– Nie chcę żadnych niebezpiecznych metod.

– Ja zaufałem panu, że warto przejechać czterysta kilometrów, teraz sam proszę o trochę zaufania. Jeżeli ma pan wątpliwości, trzeba było je roztrząsać w Lublinie.

Deryło zawahał się. Wymienił z żoną porozumiewawcze spojrzenie, ale Ewa najwyraźniej dawała mu wolną rękę. Wyglądała na zupełnie zrezygnowaną. Być może wszystko posunęło się za daleko? Jeżeli coś poszłoby nie tak, nigdy by sobie nie wybaczył. A ona nie wybaczyłaby jemu. Lekarz sprawiał wrażenie specjalisty, ale czy mógł mu bezgranicznie zaufać? Popierał eksperymenty na królikach, dla dobra ludzkości był w stanie je poświęcić, ale...

Spojrzał na Wiktorię i przygryzł wargę. Dziewczyna uparcie wpatrywała się w sufit. Jej twarz była napięta, a usta lekko rozwarłe.

– Dobrze – zdecydował krótko. – Niech pan robi, co uważa za słuszne.

Psychiatra skinął głową.

– W takim razie proszę zostawić nas samych.

– To tak zwany kod cmentarny – wyjaśnił analityk. – Zbiór podstawieniowy, który można rozpisać na zasadzie funkcji. Główny problem stanowiła długość zapisu, przez co musieliśmy najpierw strzelać w ciemno...

Bicki głośno cmoknął.

– Do rzeczy, błagam!

– Wiadomość jest krótka, ale wszystko wskazuje na to, że odczytaliśmy ją właściwie.

– A więc?

– Zakodowano jedno słowo. – Analityk zawiesił głos i przełknął ślinę. – Ursus.

Wszyscy zgromadzeni wymienili zdziwione spojrzenia. Nawet nie zwrócili uwagi na dwóch policjantów wchodzących chyłkiem do pomieszczenia. Przez chwilę nikt się nie odezwał. Posterunkowa Nowak przeszła kilka kroków wzdłuż sali.

– Ofiary są w szponach Ursusa? – głośno się zastanowiła. – Przecież to bez sensu.

Inspektor nie podjął tematu.

– Jesteście pewni, że to właśnie zakodował? – rzucił w stronę analityka.

– Nie na sto procent. Wyraz jest zbyt krótki, ale to jedyna racjonalna koncepcja.

– Żadnych innych?

– Jeżeli to w czymś może pomóc, kod może być podwójny. Ursus to po łacinie niedźwiedź.

– Przynajmniej pasuje do szponów – zachnął się puciołowaty sierżant.

– Dalej mamy całe gówno.

Bicki poruszył głową, rozluźniając mięśnie karku. Przymknął oczy, starając się znaleźć jakąkolwiek koncepcję. Ursus to dzielnica Warszawy, marka ciągników i mocz z *Quo Vadis*. Ostatni trop na pewno nie miał znaczenia, Warszawa też mu nie pasowała, a liczba ciągników w Polsce przyprawiała o zawrót głowy.

– A może chodzi o jakiś cyrk, w którym są niedźwiedzie? – zasugerował analityk.

Inspektor był nieprzekonany, ale podszedł do błyszczącej tablicy i chwycił marker. Równymi literami zapisał hasło „CYRK”.

– Dobra, rzućcie pomysły – zwrócił się do zebranych na sali. – Szybko, szybko! Nie mamy czasu. Będziemy musieli sprawdzić każdą możliwość.

– Jest taka wieś – odezwał się łysy policjant stojący dotychczas bez słowa. – Koło Ryk. Dziura zabita dechami, ale ma dom kultury...

– Niech będzie.

Bicki zanotował kolejne hasło.

– Jest też Niedźwiada.

– Ta. I nazwiska Niedźwiedź, Niedźwiecki, Niedźwiadek... Można by tak bez końca.

Mimo tego na tablicy pojawiły się dalsze sugestie. Wszyscy rzucali nawet najbardziej

absurdalne pomysły. Po kilkunastu minutach w pomieszczeniu zapanowała cisza. Zebrani zrozumieli, że kuriozalne skojarzenia można podawać bez końca, ale także bez najmniejszej szansy na ich sprawdzenie. Od cyrków przez książki po urszulanki...

Brzeski wyciągnął telefon i ukradkiem sprawdził coś w internecie. Pamięć go nie myliła. Z satysfakcją przyjął karcące spojrzenie inspektora.

– Jeżeli autor listu rzeczywiście chciał coś przekazać, musiał być dość precyzyjny – odezwał się, chowając komórkę. – Musiał zdawać sobie sprawę ze sposobu pracy policji. I oczywiście z naszych możliwości. Nawet Jackowski nie wyczarowałby niczego z pojedynczego hasła.

– Ale wy to zrobiliście, aspirancie?

– Po prostu powinniśmy trzymać się logiki.

– Do czego zmierzacie?

– Mam pewien pomysł – Brzeski powiedział to z błyskiem w oku. – Powinniśmy chyba szukać znacznie bliżej.

Wiktoria siedziała na łóżku. Miała opuszczoną głowę i podparła się rękoma za plecami. Profesor kuczał naprzeciwko niej, starając się uchwycić rozbiegane spojrzenie dziewczyny. Po zastrzyku wyrwała się z apatii, ale popadła w stan markotnego zamyślenia. Mówiła cicho i bełkotliwie. Po blisko półgodzinnej rozmowie wreszcie doszli do sedna.

– Byłam tam. Weszłam do salonu, kiedy tata trzymał broń przy jego głowie. Wróciłam wcześniej z Mediolanu i chciałam mu zrobić niespodziankę. Otworzyłam cicho drzwi. Nie spodziewał się, że będę w mieszkaniu.

– I nie zauważył cię?

– Nie.

– Czyli to było w dniu, kiedy cię... porwano?

– Tak. Kiedy tylko go zobaczyłam, przestraszyłam się i zatrzymałam się w progu.

– Rozumiem, że wszystko obserwowałaś, ale nic nie zrobiłaś?

– Chyba tak.

– Zupełnie jak we śnie, kiedy widzisz samą siebie? Tak to teraz pamiętasz?

– Nie wiem. Ja chyba...

Dziewczyna podniosła głowę. Miała półprzymknięte oczy. Ich gałki drżały, a źrenice były wyraźnie powiększone.

– Czy pamiętasz, gdzie stał wtedy telewizor?

– Telewizor?

– W salonie każdego domu jest telewizor.

– Wtedy chyba go nie było.

– A gdzie stoi teraz?

– Na komodzie, naprzeciwko kanapy.

– Ale wtedy go nie było?

– Nie pamiętam.

– A komoda?

– Też nie pamiętam.

Psychiatra przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą. Pozycja była niewygodna, ale zapewniała rozmówcy poczucie komfortu. Przetestował to wiele razy w swoim gabinecie. Pacjenci byli bardziej skłonni do rozmowy, kiedy kuczał przy ich leżance, niż kiedy siedział na fotelu obok. Mieli poczucie większej kontroli sytuacji i zyskiwali nieco pewności siebie.

– Pamiętasz, że twój ojciec stał w salonie, ale nie pamiętasz niczego więcej – ciągnął spokojnym głosem. – Pamiętasz tylko jego.

– To nie ma żadnego znaczenia.

– Ależ oczywiście, że ma – powiedział łagodnym głosem. – Opowiedz mi dokładnie, co zobaczyłaś. Postaraj się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły. Jak wyglądała osoba, do której



miał strzelić?

Wiktoria z powrotem opuściła głowę. Odgięła się do tyłu, pozwalając kręconym włosom opaść na twarz.

– To był mężczyzna. Chyba dość wysoki, ubrany w garnitur. Klęczał przed tatą i płakał.

– Mówił coś?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– To wydarzyło się tydzień temu, a ty nic nie pamiętasz? Nie wydaje ci się to dziwne?

– Może. – Wiktoria wzruszyła ramionami. – To chyba przez te proszki.

– Skup się jeszcze na tym mężczyźnie. Jak wyglądał? Powiedziałaś, że był wysoki i nosił garnitur.

– Miał jasne włosy. Pamiętam je. I pociągłą twarz typowego blondyna.

– To znaczy?

– Błądą, chyba z piegami.

– Ile miał lat?

– Trzydzieści kilka... Może czterdzieści.

Psychiatra skinął głową, zachęcając ją do mówienia, ale dziewczyna zamilkła. Mimo wszystko poszło im dobrze. Dokładnie tak, jak się spodziewał. Warstwa płytkiej pamięci została zatarta i wpompowano w jej miejsce zastępczą historię.

Zjawisko fałszywych wspomnień było badane od dziesiątków lat. Możliwość ich wszczepiania nie została przez naukę właściwie nigdy zakwestionowana. Na szeroką skalę tę technikę stosowali Wietnamczycy na amerykańskich jeńcach wojennych. Szczególnie pomocne okazały się przy tym niektóre substancje psychotropowe. Pomagały uzyskać najbardziej niezwykle efekty, a w konsekwencji z zadeklarowanych Jankesów uczynić komunistów.

Najprostsze efekty wiązano z presupozycją. W latach siedemdziesiątych przeprowadzono eksperyment, w trakcie którego badanym pokazano serię zdjęć obrazujących wypadek samochodowy. W ankiecie zapytano ich, czy jedno z aut zatrzymało się przed czy za znakiem „Stop”. Okazało się, że badani byli przekonani, że znak ten był na pokazywanych zdjęciach. W rzeczywistości rozbity samochód stał za szlabanem kolejowym, ale większość z ankietowanych twierdziła, że pokazano im inne fotografie niż poprzednio. Fałszywe wspomnienia zostały skutecznie zaszczipione.

W podobnym eksperymencie badania przeprowadzono nad dwójkami braci. Poproszono, aby starsi zapytali młodszych, czy pamiętają, jak się zgubili na parkingu centrum handlowego. Oczywiście żaden z nich się na nim nie zgubił, ale większość zaczęła coś sobie „przypominać”. Po kilku miesiącach byli pewni, że takie zdarzenie rzeczywiście miało miejsce.

W przypadku Wiktorii z całą pewnością użyto jakiejś substancji. Na szczęście sztuczne wspomnienia były niedawne i umysł dziewczyny wyczuwał ich fałsz. Musiał się z nim tylko właściwie uporać. Musiał wychwycić, jak wiele w nich nieścisłości.

– I to wszystko, co pamiętasz o tym mężczyźnie? – Psychiatra przysunął się bliżej dziewczyny. – Żadnego innego szczegółu?

Wiktoria pokręciła głową.

Trudno, musiał spróbować działać z tym, co ma. Wyszedł na korytarz i zobaczył, że Deryło wraz z żoną nerwowo przechadzają się tam i z powrotem. Na odgłos otwieranych drzwi aż podskoczyli. Po chwili dopadli do niego, zarzucając go setką pytań. Wilewicz uspokajająco podniósł dłoń.

– Jesteśmy na dobrej drodze. Teraz musicie mi pomóc.

Brzeski chodził jak struty. Nie mógł dodzwonić się do Deryły, a sprawy nabrały błyskawicznego tempa. Wszyscy traktowali go jak medium, które wywoła komisarza. Tymczasem numer nie odpowiadał.

Wziął z automatu kawę i nie zważając na jej temperaturę, upił łyk. Świństwo. Nie smakowała mu nawet najlepsza Lavazza, nie wspominając o rozpuszczalnym syfie. Ale musiał się czymś pobudzić. Emocje podkręcały ciało, ale nie umysł.

Kiedy wracał do sali narad, usłyszał dzwonek telefonu. Odstawił tekturowy kubek na parapet i wyszarpnął komórkę.

Dzwonił Deryło. Do tego wywołał rozmowę wideo. Brzeski z zaciekawieniem przycisnął zieloną słuchawkę. Na ekranie wyświetliła się twarz komisarza. Miał podkrążone oczy i marsowe spojrzenie.

– Wydzwaniam do pana od ponad godziny! – Aspirant nie mógł powstrzymać się od tej uwagi. – Ciągle słyszę brak sygnału albo pocztę głosową!

– Dopiero włączyłem telefon.

– Gdzie pan jest?

– W Ełku.

– Na Mazurach?

– A znasz inny Ełk? – Deryło westchnął, jakby chcąc uciąć ten temat. – Musisz mi pomóc. Nie pytaj, o co chodzi ani dlaczego.

– Ale...

– Żadnych ale.

– Mam pilną sprawę.

– To zajmij tylko chwilę, zaczekaj z nią kilka sekund.

Brzeski westchnął, ale się nie odezwał. Zrezygnowany, czekał na to, co zrobi komisarz. Tymczasem jego okrągła facjata zniknęła z wyświetlacza. Kamera omiotła kawałek schludnego pomieszczenia i po chwili pojawiła się twarz ładnej dziewczyny. Miała ciemne kręcone włosy i duże oczy. Uwagę aspiranta przykuły nienaturalnie powiększone źrenice. Mimo tego szybko

przypomniawszy sobie te rysy. Wiktoria Deryło wpatrywała się w niego z nieukrywanym zdziwieniem.

– Cześć, Wiki – rzucił Brzeski. – Co się tam dzieje? Robicie sobie jakieś żarty?

Dziewczyna szybko zamrugła. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Halo! Komisarzu, jest pan tam?

– Pan naprawdę żyje?

Pytanie córki Deryły było absurdalne. Miał wrażenie, że uczestniczy w jakimś zbiorowym dowcipie. Za chwilę Zygmunt Chajzer wyskoczy zza kadru i machnie bukietem kwiatów.

– Czyli to prawda – wybełkotała dziewczyna. – Boże, chyba oszalałam...

– Jak nie skończycie, zaraz się rozłączam.

Kamera znowu zawirowała, w tle przewinęła się szybka wymiana zdań i na ekran wyświetlacza powróciła twarz Deryły. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu sekund opadło z niej napięcie, a rysy złagodniały.

– O co, kurwa, chodzi? – Brzeski był całkiem skołowany. – Co pan robi w Ełku?

– Później ci wszystko wytłumaczę. Teraz mów, z czym sam dzwoniłeś.

\*

Brzeski nie widział, jak po oddaniu telefonu Wiktoria bezwładnie opadła na łóżko. Zachowała się niczym dmuchana lalka, z której uszło powietrze. Nagle rozplakała się i przytuliła do matki. Jednocześnie po raz pierwszy tego dnia zerknęła przychylnie na ojca.

Profesor Wilewicz się nie pomylił. Cztery Iks nie był w stanie w tak krótkim czasie dokładnie spreparować jej wspomnień. Musiał zaszcześcić jedynie ich powierzchowny obraz. Mózg sam wypełnił luki i wstawił postać klęczącego Brzeskiego. Nigdy nie tworzył całkowicie nowych postaci. Nawet we śnie tłum ma rysy kiedyś widzianych osób. Tym razem wybrał taką, którą szybko udało im się zidentyfikować. Gdyby był to ktoś, kogo nie znali Deryłowie, nie doszłoby do konfrontacji fałszywych wspomnień i logicznego myślenia. A to skomplikowałoby sprawę.

Komisarz odsapnął. Nawet jeżeli terapia miałaby potrwać miesiącami, wreszcie zrobili pierwszy krok. Przez te wszystkie dni nie mieli pojęcia, co siedzi w umyśle dziewczyny. Czuł ulgę, ale jednocześnie był wściekły.

Dopiero po chwili dotarły do niego słowa Brzeskiego.

– ...jeszcze dziś w nocy. Przez telefon nie mogę powiedzieć nic więcej, ale myślimy, że to mocny trop.

– Miałem brać udział w akcji? – Wyłączył głośnik i przyłożył słuchawkę do ucha. – To chyba nie pomyśl Bickiego?

– Nie. Ponoć to naczelnik naciskał na pańską obecność.

– Ale dowodzi Bicki?

– Oczywiście. Tylko że ze względu na to, że jest pan w Ełku... Sam nie wiem. – Brzeski nadal był zdezorientowany. – Zresztą poinformuję Knapa.

– Jasne.

– I zaraz oddzwonię.

Aspirant się rozłączył, a Deryło odwrócił się w stronę pokoju. Wiktoria nadal płakała,

przytulając się do matki. Profesor Wilewicz stał nieco z boku.

– To nie koniec. – Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości. – Udało nam się coś ustalić, ale państwa córka potrzebuje wielu godzin terapii. Środek, który podałem, złagodzi szok...

Komisarz podszedł do niego i mechanicznie uściśnął mu dłoń. Działał jak w transie. Zbyt wiele wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu minut. Myśli kołatały się w jego głowie, ale nie przybierały żadnych sensownych kształtów. Czy to możliwe, że Cztery Iks został namierzony?

Zamiast Brzeskiego po kilku minutach zadzwonił naczelnik Knap. Deryło automatycznie odebrał.

– Witam pana naczelnika...

– Punktualnie o dwudziestej drugiej przyleci po pana śmigłowiec. – Knap nie tracił czasu na powitania. – Proszę być na boisku ośrodka.

– To żart?

– Czy dzisiaj mamy prima aprilis?

– Formalnie jestem na zwolnieniu.

Deryło powiedział to nie dlatego, że nie chciał wrócić do śledztwa. Całkowicie niespodziewana wiadomość nie pozwalała się inaczej zinterpretować.

– Za niecałe cztery godziny mamy Nowy Rok. Chyba nie przedłużył pan chorobowego, komisarzu?

– Skoro już tu jestem, to czemu nie miałbym odpocząć? – Wilewicz odruchowo przyglądał brodę. – Może uda mi się jeszcze pomóc pańskiej córce. Poza tym mamy sylwestra, prawda?

Deryło po raz kolejny w ciągu kilkudziesięciu minut miał ochotę go wyściskać. Profesor nie chciał za swoją pomoc pieniędzy. Półgębkiem zasugerował, że z przyjemnością przenocowałby w ośrodku policyjnym. Załatwienie tego nie stanowiło żadnego problemu. Komisarz dyskretnie zapłacił za dobę hotelową i wręczył lekarzowi klucze. Nie mogło się lepiej ułożyć. Dzięki temu na chwilę uniknął wyrzutów sumienia, że opuszcza rodzinę i wraca do Lublina.

Wiktoria wciąż była oszołomiona. Deryło nie wiedział, czy bardziej z powodu terapii psychiatry, czy podanego przez niego środka. Przynajmniej przytuliła się do niego. Zostawił ją przysypiającą i wreszcie odprężoną. Potrzebowała długiego, spokojnego snu.

Najtrudniejsze zostawił na koniec. Teatralnie pomógł Ewie założyć płaszcz i bez słowa poprowadził ją na zewnątrz ośrodka. Zatrzymali się przy samym wejściu. Drzwi i okna przyozdobione były kolorowymi balonami, a rosnące po obu stronach świerki migły setkami światełek. Objął ją i pogładził po włosach.

– Zjawiasz się i zaraz znikasz – wyszeptła spiętym głosem. – Jak długo jeszcze?

– Może po raz ostatni.

– Ciągłe słyszę „może”.

– Wiesz, że nie mogę niczego obiecać.

– Zostałeś ranny, powinieneś odpoczywać, a nie...

– Szwy już się prawie zagoiły.

Ewa odsunęła się i spojrzała mu prosto w oczy. Znowu powstrzymywała łzy.

– Twoja córka musi mieć teraz ojca.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wszystkie warianty były złe. Czuł, że nie będzie spokojny, dopóki nie dorwie mordercy. Musiał na własne oczy zobaczyć, jak jest powalany na ziemię i skuwany. Albo jak drży w agonii. W innym wypadku niepewność pozostanie na zawsze.

Ukradkiem zerknął na zegarek. Dwudziesta pierwsza czterdzieści osiem.

Wziął żonę za rękę i powoli obeszli główny budynek. Zabawa rozkręcała się w najlepsze. Szyby sali tanecznej drżały w rytmach *Królowej łez* Chylińskiej. Jacyś podpici goście wystrzelili szampana na jednym z balkonów.

Przystanęli przy wejściu na rozległy ogrodzony teren. Pokrywała go równa warstwa śniegu, ale bramki i namiastka trybun nie pozostawiały wątpliwości. Ośrodek miał boisko o niemalże regulaminowych wymiarach. W sezonie rozgrywano tu turnieje pomiędzy ekipami z różnych komend. Świetna zabawa i sposób na integrację, tak potrzebną służbom mundurowym.

Ewa puściła jego dłoń.

– Pojutrze wracamy do Lublina.

Wypowiedziała to tonem komunikatu radiowego. Podjęła decyzję, a on nie miał możliwości sprzeciwu. Wszelkie próby perswazji skończyłyby się kłótnią i nic by nie zmieniły. Doskonale wiedział, że nie może ich tu trzymać w nieskończoność. Przynajmniej miał na to dobrą odpowiedź.

– Właśnie dlatego muszę tam być jeszcze dzisiaj.

Ewa spojrzała w niebo ponad jego głowę. Z oddali dobiegł łoskot nadlatującego śmigłowca. Niebo wypogodziło się i było niemalże zupełnie bezchmurne.

– Po prostu chcesz mieć czyste sumienie.

– Zawsze je miałem.

– Naprawdę? – Pokręciła nerwowo głową. – Nawet kiedy widzisz, w jakim stanie jest twoja córka?

– Mam wrażenie, że moja obecność mogłaby tylko zaszkodzić.

– Usprawiedliwiasz się.

– Być może. Ale podjąłem najlepszą decyzję.

– Dla siebie.

Grzmot śmigłowca był coraz głośniejszy. Wkrótce nad pobliskim lasem błysnęły jego światła pozycyjne.

– Musimy ustalić, co ze studiami Wiktorii. – Ewa starała się opanować. – Nie może polecieć do Mediolanu.

– Porozmawiaj z nią o tym...

– Ja, ja, ja! A ciebie przy tym oczywiście nie będzie!

Pocałował ją. Nieoczekiwanie i mocno, jak nie robił tego od dawna.

– Napij się dzisiaj szampana, postaraj się rozluźnić i odpocząć. – Zacisnął dłonie na jej biodrach. – Wszystko będzie dobrze.

– Eryk!

Niemalże nigdy nie zwracała się do niego po imieniu. Wiedziała, że tego nie znosi. Tym razem nawet nie zareagował. Być może jej słowa całkowicie zagłuszył łopot śmigieł helikoptera. Jeszcze raz ją pocałował i się odwrócił. Maszyna dotknęła płozami ziemi. Wylądowała na samym środku boiska, kilkadziesiąt metrów od nich.

Deryło poprawił poły płaszcza i truchtem ruszył w stronę śmigłowca. Nie spojrzał za siebie. Całą siłą woli powstrzymał się przed rzuceniem pożegnającego spojrzenia.

Drzwi się rozsunęły i ktoś podał mu dłoń. Jazgot silnika zagłuszył resztkę wątpliwości.

– Chyba się zbieram. Już nikt tu nie przyjdzie.

Zgarbiona staruszka szczerzej otuliła się kurtką i chuchnęła w dłoń. Stojący po drugiej stronie Bramy Krakowskiej mężczyzna zerknął na zegarek.

– Ja jeszcze poczekam. W tamtym roku sprzedałem trochę tuż przed północą.

Rozłożone na folii rękodzieło sprawiało żałosne wrażenie. Kilka drewnianych lalek, kilka świątecznych stroików i styropianowych bombek. Efekt wielu godzin pracy w domu emeryta.

– Jak pan uważa. Mróz zaczyna ścinać.

– Uodporniłem się. Zakładam jedynie podwójne skarpety.

– Nogi to pół biedy. Odcierpię to stanie anginą.

Starzec podszedł do rozmówczyni i wyciągnął spod płaszcza setkę wiśniówki.

– Proszę. Niech się pani napije. Nieotwierana.

– A tam... Daj pan spokój.

– Chroni przed chorobą. Na pewno nie zaszkodzi.

– Idź pan z tym. Od lat nie tykam alkoholu.

– Jak pani chce. – Schował buteleczkę do kieszeni i wrócił na swoje miejsce. – Ale gdyby tylko...

Grupka pijanych studentów przeszła pomiędzy nimi, nawet nie zwracając uwagi na rozłożone towary. Śpiewając i krzycząc, skierowali się w stronę Ratusza. Sylwester na placu Teatralnym spowodował, że deptak był niemalże wymarły. Przed lokalami stały pojedyncze osoby.

Kobieta spakowała swoje rzeczy do wózka na kółkach i pożegnała się. Odeszła, znacząc za sobą ślad w śniegu. Starzec zamknął pudełko z piszczącymi trąbkami. Kupowały je tylko rodziny z dziećmi, a o tej porze już się ich nie spodziewał. Właściwie nie spodziewał się już nikogo.

Wszedł w głąb bramy, uciekając przed okiem kamery. Otworzył nalewkę i wypił ją jednym łykiem. Przyjemnie ciepło rozlało się po pustym żołądku. Kątem oka dostrzegł, że dwóch zakapturzonych nastolatków pochyla się nad rozłożonymi rzeczami.

– Słucham panów?

Nim zdążył podejść, młodzieńcy rzucili się do ucieczki. W radosnych podskokach popędzili w dół Lubartowskiej. Z kilkudziesięciu metrów pomachali do niego drewnianym pajacykiem.

– Oddawajcie to! Złodzieje!

Pobiegł kilkanaście metrów, ale pościg nie miał sensu. Zdrętwiałe z zimna i wieku ciało odmówiło posłuszeństwa. Dysząc, odprowadził wzrokiem sylwetki znikające w kolejnej uliczce.

Zdenerwowany, wrócił do pozostawionych rzeczy i gniewnie owinął je folią. Jego nędzny kram zmieścił się w starej skórzanej walizce. Na wierzch rzucił pudełko z piszczałkami i zasunął zamek. Ciężkim krokiem ruszył po wydeptanym śniegu. Skręcił w Olejną i przyspieszył. Nigdy

nie lubił towarzystwa opuszczonych, zionących mrokiem kamienic. Z zadowoleniem dostrzegł, że przy jednej z bram stoi zaparkowana furgonetka. Miała włączone światła awaryjne, a o jej tylne drzwi opierał się mężczyzna.

Kiedy się do niego zbliżył, ten machnął na powitanie.

– Przepraszam pana! Czy mógłby mi pan pomóc?

Starzec niechętnie zatrzymał się i postawił na śniegu walizkę.

– O co chodzi?

– Mam dowieźć alkohol do restauracji. Chyba pomyliłem uliczki. Orientuje się pan w tych zaułkach?

– Coś niecoś.

– Muszę dojechać dokładnie tutaj.

Dostawca zastukał palcem w rozłożoną mapę.

– Mogę zobaczyć?

Starzec zmrużył oczy, starając się złapać nieco światła latarni.

– Czego dokładnie pan szuka?

Ze zdziwieniem dostrzegł, że nie rozpoznaje żadnych ulic. Podsunięty plan nie przedstawiał Lublina. Nim zorientował się, co się dzieje, było już za późno.

– Ciebie – dostawca syknął, brutalnie wpychając go do furgonetki.



Bell 206 był niewielkim helikopterem z czterema miejscami na pokładzie. Jego największą zaletę stanowiło niezłe wyciszone wnętrze. Kabina za kokpitem przypominała miniaturowy przedział pociągu. Profilowane fotele, śmietniczek przy oknie i półka na bagaż.

Deryło nasunął słuchawki i poprosił o połączenie z komendą. Natychmiast przekierowano go do Bickiego. W głosie inspektora słyhać było wyraźną niechęć i rozdrażnienie. Mimo tego zdał mu wyczerpującą relację z ostatnich postępów w śledztwie. Nie omieszkał podkreślić, że nie potrzebuje go podczas akcji, ale ulega naciskom naczelnika.

Za oknem helikoptera panowała ciemność. W dole ciągnęła się płaszczyna zaśnieżonych pól, porozdzielanych niewielkimi wsiami. Żadnych oświetlonych autostrad, żadnych miast ani fabryk. Monotonna, cicha noc. Zupełnie jakby świat zapomniał o nadchodzącym Nowym Roku. Ziemia z kosmosu była jaśniejsza niż z kilkuset metrów.

Deryło czuł napływającą senność. Łagodnie chybotać maszyny wprowadziło go w stan błędnego rozleniwienia. Nawet myśl o zbliżającej się akcji nie mogła przezwyciężyć zmęczenia. Był od kilkunastu godzin na nogach i nie zapowiadało się, że szybko trafi do łóżka. Musiał nabrać sił.

Zdawało mu się, że przymknął oczy tylko na chwilę, kiedy poczuł wibrację telefonu. Nieznany numer, przypominający te należące do telefonów stacjonarnych. Odebrał i przycisnął komórkę do ucha.

– Dobry wieczór, panie komisarzu.

Od razu rozpoznał ten charczący, monotonny głos. Brzmiał jednak bardziej naturalnie niż ostatnim razem. Senność zniknęła w ułamku sekundy.

– Zamurowało pana?

– Nie uda ci się już uciec. – Było to pierwsze, co przyszło mu na myśl. – Ty cholerny skurwysynu...

Świadomie użył formy drugoosobowej. Nie przeszedłby mu przez gardło inny sposób zwrócenia się do tego zwyrodnialca. Poza tym miało to ponoć swoje psychologiczne uzasadnienie.

– Wkrótce Nowy Rok. A jak mówią: Nowy Rok, nowe wyzwania.

– Dorwę cię. Do końca życia będziesz robił w pierdłu za najgorszego cwela.

– Jest pan trywialny. A ja chciałem tylko pana przeprosić.

Deryło się nie odezwał. Ukradkiem odsunął telefon od ucha i włączył pole wiadomości tekstowej. Może jakimś cudem technicy zdążą zlokalizować, skąd nadeszło połączenie.

– Tamta strzelanina nie powinna się wydarzyć. A poza tym ta sprawa z pańską córką... Nie zamierzałem zrobić jej krzywdy.

– Nie chcę tego słuchać.

– Bardzo pan chce, komisarzu. Nie oszukujmy się. Doskonale pan wie, że miała przeżyć.

– Uratowałem ją w ostatniej chwili.

– To tylko złudzenie. Teatr, w którym był pan głównym aktorem. Wybornie zagrał pan rolę przerażonego ojca.

– A kim niby byłem?

– Rzadko rozmawiam z ludźmi. – Cztery Iks zmienił temat. – Dla pana robię drobny wyjątek. Nie żeby był pan kimś wyjątkowym, proszę tego tak nie odbierać. Gdyby nie prowadził pan śledztwa, robiłby to ktoś inny. Przypadkiem udało mi się zdobyć pański numer telefonu i to cała zagadka.

Deryło nie przerywał wywodu rozmówcy. Nie zwracał szczególnej uwagi na jego słowa. Wsłuchiwał się w ewentualne odgłosy otoczenia, ale dobiegał go jedynie szum łącza.

– Nie skomentuje pan tego, komisarzu?

– Nie uważam się za nikogo wyjątkowego.

Cztery Iks zaśmiał się. Krótko i drapieźnie.

– O nie, nie. W to nie uwierzę. Stara się pan zrobić wszystko, żeby uchodzić za wyrafinowanego. Pański ubiór, sposób mówienia, a nawet hobby.

– Nic o mnie nie wiesz.

– Owszem, wiem bardzo dużo.

– Skończmy mówić o mnie. Chcesz przecież, żeby mówiono o tobie.

– Nie interesuje mnie to ani trochę.

– Uważasz, że sam jesteś wyjątkowy?

– Myśli pan, komisarzu, że przeciągając rozmowę, zdołacie mnie namierzyć?

Cztery Iks najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że identyfikacja stacji bazowych nie była zależna od długości połączenia. Hollywoodzkie filmy przedstawiały to całkowicie inaczej. Jednak wymiana kilku pozornie nieznaczących zdań mogła sprowokować zabójcę. Poza tym pozwałała na zbudowanie jego portretu psychologicznego. Profiler powinien być zadowolony.

– Nie używam swojego telefonu – ciągnął Cztery Iks. – Dzwonię z jednej z nielicznych już budek.

– W takim razie odpowiedz na moje pytanie.

– Nie lubię mówić o sobie. Ale owszem, mam kilka wyjątkowych cech. Na przykład doskonały słuch. Jakies dwie minuty temu wystukał pan wiadomość na ekranie swojego telefonu. Poza tym zapewne jest pan w śmigłowcu. Czyż nie? Może to jakaś pilna akcja?

– Bzdura.

– *Wri, da znaj że mieru!*

– Też znam trochę cytatów.

Deryło usłyszał w tle dziwny odgłos. Coś jakby szum, niesiony po chwili echem. Dźwięk trwał ledwie kilka sekund i momentalnie się rozmył. Być może było to zwykłe zakłócenie na łączu.

– Nie rozmawiam z kłamcami. Niech pan to przemyśli.

– Dlaczego do mnie zadzwoniłeś?

Cztery Iks głośno westchnął.

– Kłamca.

– Odpowiedz, do cholery! – Deryło czuł, że rozmowa mu się wymyka. – Dlaczego?

– Kłamca. – Wyszczekany, infantylny ton, jakby należał do całkiem innej osoby.

– Chciałeś się po prostu popisać? Zaimponować sam przed sobą?

– Komisarzu-łgarzu. Bum, cyk, cyk...

– O czym ty...

– Muszę kończyć.

– Czekać!

– Przepraszam, komisarzu. – Znów ten charczący, szorstki głos. – Naprawdę mi przykro, ale czeka na mnie mnóstwo pracy.

– Jakiej pracy?

Odpowiedział mu odgłos zakończonego połączenia.

Kawalkada pojazdów mknęła lubelskimi ulicami. Akcja została przygotowana z pełnym rozmachem. Bicki sformował małą armię złożoną z antyterrorystów ze SPAP-u, kryminalnych i pirotechników. Pozostawał w ciągłym kontakcie z prokuraturą, ministerstwem i Biurem Operacji Antyterrorystycznych. Tyły ubezpieczały dwa ambulanse i wóz straży pożarnej. Wszystko, aby mieć kryte plecy. Styl warszawski.

Deryło siedział z Brzeskim na tylnej kanapie nieoznakowanej kii. Autem kierował pucołowaty sierżant, którego ledwie kojarzył. Bicki udzielił wszystkim szczegółowej odprawy i podzielił obowiązki. Ludzie komisarza otrzymali zadanie zabezpieczenia terenu. W działaniach operacyjnych mieli zostać wyręczeni przez oddziały specjalne. Taki obrót spraw był uzasadniony, ale Deryło miał swoje wątpliwości.

– Po jasną cholerę ściągali mnie śmigłowcem, skoro mam robić za stróża? – zastanawiał się na głos. – Równie dobrze mogłem sobie popatrzeć przez kamerkę internetową.

Brzeski nie miał pojęcia.

– Namierzyliśmy ten numer. – Poprawił mocowanie kamizelki kuloodpornej. – Połączenie wykonano z budki przy szkole podstawowej numer czterdzieści dwa.

– Gdzie to?

– Przy Rycerskiej. Na Czubach.

– Wysłaliście patrol?

– Tak. Przyjechał kilkanaście minut po pańskiej wiadomości. Oczywiście już go tam nie było. Technicy badają ślady.

– Jest tam jakiś monitoring?

– Szkolny, ale nie obejmuje tego obszaru. Do tego jeszcze pobliski urząd. Raczej marne szanse.

– Skoro dzwonił o tej porze, cała akcja może być spalona. Powinniśmy dłużej obserwować teren.

Prowadzący sierżant obrócił się w ich stronę.

– Inspektor miał owsiki w dupie. – Wyczuł nastawienie pozostałych policjantów do przełożonego. – Kurewsko się spieszył.

Deryło zmierzył go wzrokiem.

– Jak się nazywacie sierżancie? Na odprawie dostaliście wymagające zadanie szoferowania i zapomniałem nazwiska.

– Sikora, panie komisarzu.

– A więc Sikora, nie chcę słyszeć bluzgów w co drugim wyrazie. Radiowóz to nie burdel.

Sierżant nie odwrócił się. Zdziwiony, zerknął na Deryła w lusterku, ale przyjął jego słowa posłusznym milczeniem. Delikatnie przyhamował, dopasowując prędkość do jadącego przed nimi wozu opancerzonego.

– Nawet jeżeli go tam nie będzie – Brzeski nie zwrócił uwagi na tę wymianę zdań – to

mogą się tam znajdować uprowadzone osoby.

Jechali w stronę opuszczonej hali na terenie dawnej odlewni żeliwa. Był to potężny budynek, mający służyć za kompleks rekreacyjno-biurowy. Niestety problemy finansowe poprzedniego systemu nie pozwoliły na jego wykończenie. Spółka upadła już po przemianach gospodarczych, a rozległy teren nie znalazł nowego inwestora. Mało kto pamiętał, że odlewnia dzieliła nazwę z fabryką maszyn rolniczych. Ursus. Wytypowany budynek idealnie nadawał się na kryjówkę.

Deryło zerknął za okno. Powinni dojechać za kilka minut.

– Jeżeli w liście napisano prawdę, to autor umyślnie udupiał resztę.

– Albo dalej z nami pogrywał.

– Bickiemu to nawet nie przeszło przez gardło.

– On potrzebuje wyników. Nikt nie będzie miał mu za złe, że chwytą się każdego tropu.

Wjechali na dziurawą drogę i Sikora zwolnił. Kia miała wysokie zawieszenie, ale podskakiwała na każdej nierówności. Nagle na horyzoncie rozbłysła kanonada fajerwerków.

– I jak tu nie kląć? – rzucił niby do siebie. – Jeżeli cały rok ma być taki jak dziś...

Deryło zerknął na zegarek. Rzeczywiście właśnie minęła północ.

Kolumna wjechała na teren opuszczonej fabryki. Potężny, niszczący budynek sprawiał upiorne wrażenie. Zatrzymali się w wytyczonym miejscu i w milczeniu wyczekiwali na sygnał.

Po chwili z nadajnika rozległ się szorstki dźwięk nadawania.

– Zaczynamy. Wszyscy wiedzą, co mają robić.

Mrowie funkcjonariuszy rzuciło się do akcji.

1 STYCZNIA, NOWY ROK

Cały teren rozświetliły flary. Okolice fabryki przypominała scenę z pierwszowojennych okopów. Sylwester na placu Teatralnym musiał stanowić znacznie mniej spektakularne widowisko.

Kiedy zastępy antyterrorystów pędziły w stronę opuszczonego budynku, Deryło stanął obok radiowozu. Mieli zabezpieczać teren od strony nieużytków. Bicki wymusił, aby rola komisarza ograniczyła się do biernego obserwowania. Potraktował go jak niechcianą wtykę Knapa. Zgodnie z procedurami nie zezwolił, aby miał broń. Chociaż okres zwolnienia dobiegł końca, w chwili wyjazdu formalnie był jeszcze poza służbą. Deryło nie zamierzał wdawać się w dyskusje ani tym bardziej donosić naczelnikowi. Analizując sytuację, oparł się o drzwi samochodu. W razie czego towarzyszyli mu uzbrojeni Brzeski i Sikora.

– *Show must go on* – zanucił sierżant.

– Wesoło wam? – Spojrzał na niego z ukosa. – Dobrze się bawicie?

– Ja tylko...

– Nie tykaj. Po prostu się zamknij.

Twarz policjanta, przypominająca księżyc w pełni, miała w sobie coś sympatycznego. W gruncie rzeczy Deryło go nie znał. A wobec nieznanego zawsze zachowywał dystans. Do tego swobodny styl bycia sierżanta ocierał się o pozerstwo, a tego nie znosił. Szczególnie wśród swoich ludzi. A jeszcze bardziej w trakcie akcji.

– Niech pan się nie złości, komisarzu. – Brzeski jak zwykle chciał załagodzić sytuację. – Wszyscy jesteśmy podenerwowani.

– Przepraszam – wydukał Sikora.

– Powiedziałem, żebyś się zamknął.

Zamiennie zwracał się do swoich ludzi na ty i w dawnej formie, per wy. Kiedyś przykładał do tego większą wagę, z czasem doszedł do wniosku, że język sam wybiera najodpowiedniejsze brzmienie.

Popatrzył w stronę opuszczonego budynku. Miał trzy piętra i składał się z kilku części. Na dachu najwyższej z nich zamontowane były wysokie anteny. Antyterrorysty dostali się już do środka. Światło latarek przesuwano się za kolejnymi stłuczonymi oknami. Mroźne powietrze niosło wykrzykiwane rozkazy.

Deryło poczuł przyływ adrenaliny. Żałował, że nie jest na miejscu. Po wydarzeniach z Wigilii pozostał w nim mdlący niesmak popełnionych błędów. Wiedział, że będzie musiał go znosić, dopóki nie pchną śledztwa do przodu. Dopóki sam tego nie zrobi. Nie było w tym nic bohaterskiego. Chodziło raczej o upór i ambicję jako immanentne cechy jego charakteru. Ani złe, ani dobre. Po prostu towarzyszące mu przez całe życie. Te, które kiedyś pozwoliły mu zaistnieć i przez kilka lat być środowiskową gwiazdą. I te same, które później ściągnęły go kilka pól w dół.

– Queeni mnie rozluźniają – głos Sikory wyrwał go z zamyślenia.

Wtedy coś w nim pękło. Chciał poczuć namiastkę satysfakcji. Chciał bezwzględnego posłuszeństwa, a dostawał garść uwag od nierozgarniętego debila. Dopadł do sierżanta i z całej siły pchnął go na radiowóz. Przedramieniem przygniół jego szyję. Kołnierzyk kamizelki kuloodpornej wygiął się, wrzynając w podbródek.

– Robisz to umyślnie?! – wrzasnął mu prosto w twarz. – Chcesz mnie wkurwić czy tylko mi dosrać?

Brzeski, kręcąc głową, ruszył w ich stronę. Do szyby w pobliskim ambulansie przylgnęła zaciekawiona twarz sanitariusza.

Deryło ciężko dyszał. Złagodził uścisk i powoli opuścił ramię. Nagle kątem oka dostrzegł cień przemykający za linią ogołoconych z liści zarośli. Zmrużył oczy. Ktoś bez wątplenia usiłował tamtędy przemknąć. Odskoczył od Sikory i wskazał w stronę postaci. Brzeski skinął głową, że też ją widzi.

Działali automatycznie.

– Stój, policja! – krzyknął komisarz.

W tej samej chwili aspirant obiegnął linię krzaków i wyciągnął pistolet. Zacieniona sylwetka rzuciła się do ucieczki. Deryło pognął jej śladem. Ślizgał się na zmrożonym śniegu, starając się jak najmocniej stawiać kroki.

– Stać, policja!

Usłyszał za sobą tubalny głos Sikory. Po chwili sierżant wyprzedził go i w błyskawicznym tempie zbliżył się do uciekającego. Mimo swoich rozmiarów biegł zadziwiająco szybko.

Deryło poczuł pieczenie w okolicach szwów. Było tak intensywne, że aż promieniowało do podbrzusza. Jakby cudza garść zaciskała się na jego jądrach. Zwolnił, odwracając się w stronę Brzeskiego. Aspirant uniósł pistolet i wymierzył. Komisarz wyciągnął w jego stronę uspokajająco dłoń.

– Nie będzie trzeba.

Kilka sekund później Sikora dopiął swego. Dogonił nieznanego mężczyznę i z łatwością powalił go na ziemię.

– Człowieku, kurwa, daj spokój!

– Na glebę, gnoju!

– Odpieprz się.

Sikora przyduślił go ciężarem własnego ciała. Sprawnie wygiął mu rękę i zakuł w kajdanki. Deryło, ciężko sapiąc, podszedł do sierżanta. Z uznaniem klepnął go po ramieniu.

Minęła druga nad ranem, kiedy dotarli do pokoju przesłuchań. W opuszczonym budynku nie było śladu po uprowadzonych osobach. Szczegółowe przeszukanie miało potrwać jeszcze kilka godzin, później technicy mieli zebrać ewentualne dowody. Tymczasem Bicki postanowił osobiście wziąć udział w przesłuchaniu mężczyzny zatrzymanego przez Sikorę. To był jedyny trop. Do tego facet sprawiał naprawdę żalosne wrażenie.

Marek, bo tak się przedstawił, nie miał dowodu osobistego. Na pytanie o nazwisko jedynie wywrócił oczami. Chwilowo uznali to za nieważne, zostawiając identyfikację na później.

Mężczyzna miał na sobie czarną koszulkę z nazwą punkowego zespołu. Deryło popatrzył na ślady nakłuć na jego przedramionach. Fioletowe punkciki z nieregularnymi wybroczynami wokół. Widział je mnóstwo razy. Powoli skierował wzrok na jego twarz. Miał ponoć dwadzieścia dziewięć lat, a wyglądał na co najmniej dziesięć więcej. Szaroblada cera, zaczerwieniony nos i podkrążone mętne oczy. Do tego poharatane wargi okrywające niemal bezzębną szczękę. Typowy narkoman, i to u schyłku swojej drogi.

Bicki zdecydował, że poprowadzi przesłuchanie. Dał znać Deryle, aby włączył aparaturę nagrywającą. Był szefem, ale nie mógł go wyrzucić z pokoju.

– Dlaczego uciekałeś? – zapytał, obchodząc skulonego mężczyznę.

– No, nie chciałem przecież tu wylądować.

– Gdybyś nie uciekał, pewnie by cię tutaj nie było.

– A bo ja wiem?

Zapowiadała się ciężka rozmowa. Właściwie powinni odczekać, aż przesłuchiwany oprzytomnieje, ale inspektor nie zamierzał tracić czasu.

– Co robiłeś w tamtej okolicy? To prywatny teren.

– Mam tam lokum od kilku dni. Moja wyrzuciła mnie z domu.

– Twierdzisz, że mieszkasz w tej ruderze od kilku dni?

– Zima jest, panie władzo. A tam biegnie czynna rura. Ciepło jest od niej, można jakoś przesiadzieć.

– Dając sobie w żyłę?

Marek zerknął na swoje ręce i opuścił je pod stół.

– Nie robię tego od dawna.

– Więc po czym jesteś? Kwas, grzyby, jakieś inne gówno?

Mężczyzna nie odpowiedział. Przez chwilę intensywnie międlił ustami. Wreszcie utkwiał wzrok gdzieś pomiędzy policjantami.

– Szukacie kogoś – rzucił beznamiętnie.

– Skąd takie błyskotliwe przemyślenia?

Bicki powiedział to kpiącym tonem, ale Marek nawet na niego nie spojrział.

– Przez jakiś czas byłem tam całkiem sam.

– A potem?



– Raz go słyszałem, a raz widziałem.

– Kogo?

– Jakiegoś człowieka, dziwnego.

– Co w nim było dziwnego?

Marek wzruszył ramionami.

– Po prostu. Dziwny był. Garnitur miał i w ogóle jakoś szybko chodził.

– Widziałeś jego twarz?

– Może przez gnienie okna. Mgnienie oka.

Zamienianie słów. Częsty objaw ciężkiego zlasowania mózgu.

– Jesteś w stanie ją opisać?

– A w życiu! – Marek obrócił głowę gdzieś w bok. – Nie pamiętam jej. Taki dziwny był.

I jak mnie zobaczył, przebiegł szybciej jeszcze.

– Gdzie dokładnie go widziałeś?

– No, na piętrze, tam pod tymi radarami.

– Pod dachem z talerzami satelitarnymi?

– Jak tak to się nazywa, to tak. – Przesłuchiwany złożył ręce jak do modlitwy. – Mogę chociaż papierosa?

Deryło zerknął na Bickiego. Był przekonany, że inspektor pali, ale ten jedynie z irytacją wypuścił powietrze.

– Gównu dostaniesz – warknął. – Zaczynasz sensownie odpowiadać, to pomyślimy.

A więc przechodził w fazę agresywnej presji. Była to jedna z najpopularniejszych technik wykorzystywanych przez śledczych. Przynosiła efekty wobec najsłabszych psychicznie, więc użył jej z rozmysłem.

– Ale ja...

– Dość, kurwa! Kiedy to było?

– Słucham?

Marek zapadł się w sobie i zwiesił głowę. Bicki najwyraźniej poczuł krew.

– Kiedy go, do cholery, widziałeś?

– Wczoraj albo... Jak to się mówi? Przedwczoraj. Tak, to mogło być też wcześniej.

– Ja pieprzę. – Inspektor, zirytowany, pokręcił głową. – Czy dowiem się czegoś konkretnego?

Chwilę ciszy przerwało pukanie. Drzwi uchyliły się i do środka zajrzała posterunkowa Nowak. Zrobiła wymowną minę w stronę komisarza. Deryło przeprosił i wyszedł za nią na korytarz.

– Mamy coś – oznajmiła zaskakująco nieformalnym tonem. – Aspirant Brzeski kazał natychmiast przekazać, że...

– Co niby mamy?

– Przed chwilą chłopaki znaleźli w tym budynku egzemplarz Biblii.

– I tyle? – Deryło nie podzielił jej optymizmu. – Wielu ćpunów używa jej pewnie jako poduszki albo traktuje jako doskonały materiał na bletki. A nawet papier toaletowy.

– Ale ta jest podpisana. – Posterunkowa założyła do tyłu ręce, wypychając piersi. – A właściwie są inicjały.

– Jakie?

– Litera D i K.

– Jak Daniel Kos...

Magdalena Szus się ocknęła. Wokół panowała całkowita ciemność. Drzwi były zamknięte, a przez szpary nie przebijała się nawet najdrobniejsza smuga światła. Dziewczyna straciła poczucie czasu. Była więziona dni, a może już całe tygodnie? Nie mogła rozpoznać, o jakiej porze zjawia się zamaskowany mężczyzna. Robił to nieregularnie. Czasem przynosił plastikową miskę z jedzeniem i stawiał ją obok niej. Innym razem tylko się jej przyglądał. Gdyby miała apetyt i czymkolwiek dodawała sobie sił, może potrafiłaby ocenić, jak długo ją przetrzymuje. Z obrzydzeniem tknęła tylko niektóre posiłki. Przełykanie sprawiało coraz większe trudności, a zimna woda paliła przełyk. Ostatni raz piła wiele godzin temu. Mimo tego pełny nocnik stał w rogu pomieszczenia. Nie opróżnił go.

Najgorszy był smród. Węch przyzwyczaja się z czasem do większości zapachów. Jednak odór rozkładających się ciał, zakrzepłej krwi i płynów organicznych bezustannie przyprawiał ją o mdłości. Nawet kiedy o nim nie myślała, przypominał o nim słodkawy posmak w ustach.

Usłyszała kroki.

W korytarzu za drzwiami zapaliło się światło. Wcisnęło się w wąską szparę między framugą i ceglanym murem. Jej oprawca nie był sam. Po wielu godzinach spędzonych w całkowitej ciszy wyraźnie rozpoznawała dźwięki. Odgłosom jego szorstkich ruchów towarzyszyło dodatkowe szuranie.

Wiedziała, co to oznacza.

Kiedy zgrzytnął zamek, odruchowo zmrużyła oczy. Błysk pojedynczej żarówki kłuł nieprzygotowany mózg tysiącem igieł. Za granicą jej powiek zrobiło się jasno, ale szuranie ucichło.

Tylko na chwilę.

Dziewczyna rozpaczliwie pisnęła, słysząc tuż obok siebie głuchoe plaśnięcie. Nie miała żadnych wątpliwości. Taki dźwięk wydawało bezwładnie upadające ludzkie ciało.

Gwałtownie otworzyła oczy.

Obok niej leżał skulony stary mężczyzna. Miał zakneblowane usta i spętane dłonie. Na jego czole skrzyła się bruzda świeżej krwi. Cofnęła się, czując na sobie spojrzenie Potwora.

– W wiadomościach mówią o jakiejś policyjnej akcji – odezwał się kpiącym tonem. – To chyba was szukają.

– Dlatego nas wypuść! – pisnęła słabym głosem. – Musisz z tym skończyć! Nie jest jeszcze za późno...

Roześmiał się. Głośno i szczerze.

– Na co nie jest za późno?

– Jeżeli się dobrowolnie poddasz, może złagodzą wyrok. Tak jak w przypadku tych ludzi z mafii. Ciągle możesz to zrobić...

– Niestety nie jestem mafiosem. I obawiam się, że ta akcja jest zupełnie gdzie indziej.

Nachylił się nad nią i spojrzał jej prosto w oczy.

– A może gdzieś słyszysz krążące śmigłowce i szczekające psy? Co?

Magdalena Szus pokręciła rozpaczliwie głową.

– Nie, nie, niczego nie słyszę!

– Dzięki ciszy darowałem ci zapewne doskonały słuch. Jesteś pewna, że niczego nie słyszysz?

Jeszcze raz panicznie zaprzeczyła, a mężczyzna westchnął.

– Przecież i tak byś mi nie powiedziała. Prawda?

– Nie, nie...

– Nie powiedziałaabyś czy nieprawda?

Dziewczyna zacisnęła usta.

– No, śmiało, powiedz mi.

Zakneblowany mężczyzna poruszył się. Postać w masce odwróciła się w jego stronę i trąciła go ciężkim butem. Na odgłos jęknięcia pochyliła się nad nim drapieźnie.

– Obudziłeś się? – zachrypiał. – To dobrze. Święty Marek zginął, kiedy miał siedemdziesiąt osiem lat. Czyli tyle co ty. A wiesz, jak umarł?

Była siódma pięćdziesiąt, kiedy Deryło dojeżdżał do komisariatu. Musiał wziąć taksówkę, przez co złapał kilkunastominutowe opóźnienie. Jego auto miało przejść szczegółowe badania dopiero następnego dnia. Były pilniejsze sprawy, a w Nowy Rok ściągnięto tylko niezbędną część ludzi. Mimo tego na korytarzu drugiego piętra kręciło się sporo osób. Większość z nich brała udział w nocnej akcji i pobudzała się teraz hektolitrami kawy i energetyków. Z zaciekawieniem patrzyli na komisarza. Chyba nikt nie spodziewał się tak szybkiego powrotu.

Z rozmachem pchnął drzwi swojego gabinetu. Odruchowe posunięcie wzmogło ból rany. Poprzedniego dnia szwy znowu się rozeszły, a dokoła zbierał się wysięk. Gruby bandaż przeszkadzał w chodzeniu. Mimo tego starał się nie zwracać na niego uwagi.

Podszedł do biurka i zakręcił fotelem. Nie dostrzegł żadnych nowych raportów, akt ani notatek. Wszystko było w takim samym nieporządku, jaki zostawił w Wigilię. Najwidoczniej uznano, że na dobre wypadł z śledztwa. Pogłoski o przenosinach do Opolą załatwiły sprawę. Bynajmniej nie wracał w aurze bohatera. Obecnością Bickiego został skazany na służbowy ostracyzm i odstawiony na boczny tor. W gestii inspektora pozostawało, jak dobitnie to odczuje. Mógł w ogóle nie przychodzić na komendę, tylko czekać na telefon z wezwaniem, ale nie zamierzał się łudzić. Naczelnik Knap nie czuwał nad każdym aspektem pracy wydziału.

Odszedł od biurka i zbliżył się do wielkiej mapy Lublina. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Zakreślony przed tygodniem pentagram przywrócił żywe wspomnienia. Wydawało się, że minęło wiele miesięcy, a nie tylko siedem dni. Mimo tego wszystko zlewało się w jeden ciąg.

Zerwał grudniową kartkę z kalendarza i złożył ją na pół. Oderwał skrawek wykraczający poza kwadrat. Istniała technika robienia origami żurawia z prostokątów, ale nie mógł jej zapamiętać. Po kilku ruchach trzymał w dłoni figurę przypominającą latawiec. Wtedy rozległo się pukanie.

Do środka wszedł Brzeski. Miał bladą twarz i zaczerwienione oczy. Nocy też nie mógł zaliczyć do udanych.

– Założyłem się z posterunkową Nowak, że już pan jest na komisariacie.

Z uśmiechem uściśnił sobie dłonie.

– I kto wygrał? – dopytał Deryło.

– Oboje obstawiliśmy tak samo...

Komisarz ciężko westchnął. Utkwił spojrzenie w twarzy aspiranta i pokręcił głową.

– Wyglądasz jak żywy trup.

– Dziękuję i wzajemnie. Praktycznie nie spałem.

– Bicki zarządził poranną naradę czy co?

– Nie. Po prostu ostatnio mam większą ochotę siedzieć tutaj niż w domu.

Deryło uśmiechnął się ponuro. Zmiał niedokończone origami i wyrzucił je do śmietnika.

– Wiem coś o tym. Kawy?

– Jasne.

Rzadko uruchamiał ekspres, ale tym razem miał wyjątkową ochotę na małą czarną. Podwójne espresso z kapsułki rozniosło wokół intensywny aromat. Podał filiżankę aspirantowi i przygotował drugą porcję.

– Coś nowego? – zapytał, upijając łyk.

Brzeski z niesmakiem patrzył na gęsty czarny płyn. Chciał się pobudzić, a nie zatrzymać serce.

– Nic wielkiego. Ponoć na znalezionej Biblii są odciski palców wielu osób. Raczej słabej jakości.

– Żadnych innych śladów?

– Od cholery prezerwatyw, pokruszonych lufek i kilka pornoli. Większość w piwnicach.

– Zabawy okolicznej młodzieży?

– Pewnie tak. Budynek stoi pusty od długiego czasu. Kiedyś służył do ćwiczeń terenowych wojska, później starano się zaaranżować go na potrzeby paintballowców. Od paru lat robi za doskonałą melinę.

– A my znajdujemy tam Biblię z inicjałami podejrzanego. Są w niej jakieś zakreślenia, powyrywane strony, cokolwiek?

Aspirant dmuchnął, chcąc przynajmniej przestudzić kawę. Nie miał pojęcia, jakim cudem Deryło pochłania wrzątek.

– Nic. Ale skoro dziś przesłuchamy księdza, można by go zapytać.

– Zaraz, zaraz, jakiego księdza?

– No tego, co go załatwił Wolski.

– Nic o tym nie wiem.

Brzeski odstawił filiżankę na biurko.

– Nic komisarz nie wie? To właściwie głupota, ale szkoda mi tego człowieka.

– Co się dokładnie stało?

Opowiedział Deryło o wydarzeniach z celi. Komisarz usiadł na fotelu i uważnie słuchał. Kiedy aspirant skończył, przymknął oczy i odchylił do tyłu głowę.

– Zanudziłem pana?

– Nie. Tylko coś mi w tym nie pasuje.

– To znaczy?

– Przecież Wolski upierał się, że to nie ksiądz zamordował jego żonę. Był o tym święcie przekonany. O ile to dobre słowo.

– Też o tym myślałem. – Brzeski dopił ostatni łyk kawy. – Może coś w nim pękło? Albo połączył niewygodne fakty.

– Śmierdzi mi to.

– Ja bym na to nie zwracał uwagi...

– Nie lubię, jak coś mi zgrzyta. Tym bardziej że z daleka widzę tu wała. Jak stąd do Torunia.

– To kwestia niewyspania. Mózg tworzy problemy tam, gdzie ich nie ma.

Deryło chciał coś odpowiedzieć, ale poczuł wibrację telefonu. Po chwili rozbrzmiały tony *Komm, süßer Tod* Bacha. Rano, myśląc, czy powinien już wstawać, zmienił ulubionego Händla. Ciężkie, żalosne tony lepiej oddawały stan jego ducha. Nie był takim technologicznym debilem, jak się czasem zdawało.

Dzwoniła Ewa.

– Muszę to odebrać. – Wymownie spojrzął na drzwi.

– Jasne. – Brzeski posłusznie skierował się do wyjścia. Kiedy Deryło przykładał telefon

do ucha, odwrócił się. – Swoją drogą, szczęśliwego Nowego Roku, komisarzu!  
Niech cię szlag – pomyślał Deryło, ale skinął tylko głową.

Robert Wolski leżał na pryczy. Starał się wyrzucić z głowy wszelkie myśli. Gdyby było tylko możliwe pozbycie się wspomnień. O rodzinie, o domu, o wszystkim tym, co pozostawia się za sobą. I co już nigdy nie wróci.

Nie interesował go wyrok. Mogli go łudzić preferencyjnym traktowaniem, nadzwyczajnym złagodzeniem ze względu na działanie w stanie wzburzenia, ale to nie miało znaczenia. Osiem czy piętnaście lat spędzonych za kratkami było tym samym. Dożywocie pozbawiłoby go nadziei. Nie potrzebował jej. Byłoby ostatecznym zerwaniem z przeszłością, do której nie chciał wrócić. Poza murami pełnymi strażników nie pozostało mu nic, za czym by tęsknił.

Chciał jedynie zapomnieć, ale to było niemożliwe.

Sięgnął po zdjęcie żony i przysunął je tak blisko twarzy, że obraz się rozmazał. Kartka papieru, która potrafiła go rozkleić. Co było w niej niezwykłego? Jeżeli z czasem zapomniałby twarz Marty, co z tego? Skoro tak miało być, niech będzie... Pamiętał przecież każdą minutę ich życia. A fotografia? Uwiecniła coś całkowicie nieistotnego. Zapis chwili, która już nigdy nie powróci. Miałby się łudzić wspomnieniem i powracać do tamtego dnia? Codziennie oszukiwać się, że istnieje jakaś inna rzeczywistość?

O tak. Pamiętał go.

Spontaniczna niedzielna wycieczka. Wypad poza miasto zorganizowany z okazji dobrej pogody. To był maj, a może już czerwiec? Data nie została zapisana na zdjęciu.

Mieli pojechać do Kozłówki, ale widzieli ją tyle razy... Przed ostatnim skretem odbił i pojechał nieznaną drogą, a potem kolejną i jeszcze następną. Zatrzymali się w niewielkiej wsi pośród oceanu pól. Kilka bocianich gniazd bez bocianów w środku, kilka chałup, więcej klocków z lat siedemdziesiątych. Niby nic ciekawego, ale byli wtedy szczęśliwi. Nie jak odkrywcy nowych krain. Po prostu, jako para dobranych, cieszących się sobą ludzi.

Przespacerowali się krętą, piaszczystą drogą i usiedli na skraju pola. Pachniało zbliżającym się latem, a niebo było bezchmurne. W pobliżu nie było żywego ducha. Dotknął piersi żony, a potem zsunął dłoń niżej, znacznie niżej, aż do jej łona. Przyłgnęła do niego i pocałowała go.

Uśmiechnął się. Banalne wspomnienia, które miały pocieszać go w chwilach samotności. Spojrzał w chropawy sufit celi i rozdarł zdjęcie. Na wiele kawałków.

Ewa Deryło obudziła się tuż po siódmej. Wiktoria nadal spała, więc jak najciszej przeszła do łazienki. Po krótkiej toalecie postanowiła zejść na śniadanie. Mimo dudniącej przez całą noc zabawy położyła się wcześniej i mimo wczesnej pory była całkowicie wyspana. Jeszcze raz upewniła się, że córka śpi. Ostrożnie przekreśliła klucz i zeszła na dół.

W restauracji kręciło się tylko kilka osób, kilka kolejnych obsiadło stoliki z dala od okien. Poranne światło bywało zabójcze.

Sala wciąż tonęła w kolorowych balonach i wstążkach, choć w trakcie hulanki ich liczba wyraźnie się uszczupliła. Ewa podeszła do bufetu. Nałożyła na talerz trzy rogaliki, dżemy w plastikowym opakowaniu i masło. Na drugi postawiła dwie szklanki soku. Chciała jak najszybciej wrócić do pokoju. Pospieszając ekspres, zaparzyła kawę i usiadła przy najbliższym stoliku. Po chwili usłyszała za sobą kroki.

– Mogę się dosiąść?

Wysoki, szpakowaty mężczyzna sięgnął po krzesło. Miał tweedową marynarkę i białą koszulę. Czują od niego gorzki zapach wieczorowych perfum.

Bez słowa skinęła głową. Było mnóstwo wolnego miejsca, ale nie chciała być nieuprzejma.

– Dominik Żecki – mężczyzna się uśmiechnął. – Przez żet z kropką.

Wymieniła z nim spojrzenie i również się przedstawiła.

– Zapowiadają dziś piękny dzień – oznajmił, siadając. Miał giętkie, szybkie ruchy. – Lekki mroźnik i słońce.

– Aha.

– Nie wyspała się pani? – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, odsłaniając żółte zęby. – Nie widziałem pani na zabawie.

– Obawiam się, że właśnie wtedy spałam.

– W taką noc? Przecież sylwestra mamy tylko raz w roku.

– Właśnie tak – Ewa odparła cierpko. Natręt najwyraźniej nie zamierzał zjeść śniadania. – Spałam.

– Jest czego żałować. Ośrodek naprawdę się postarał.

– Słyszałam, że goście dobrze się bawią.

– Jest tu pani sama?

Zaskoczyła ją bezpośredniość pytania. Dostrzegła, że mężczyzna zerknął na stojące na stoliku talerze. Było w nim coś niepokojącego. Uważnie lustrował wszystkie szczegóły otoczenia



i analizował je tak intensywnie, że niemalże słyszała jego myśli. A może tylko się jej zdawało? Doszukiwała się zagrożenia tam, gdzie go nie było?

Pal diabli podejrzania. Nie potrzebowała nowych znajomości. Grzecznie przeprosiła i wstała od stołu. Zostawiła na nim ledwie ruszoną filiżankę kawy. Żecki nie protestował, ale czuła, że odprowadza ją wzrokiem do samego wyjścia. Jego czujne spojrzenie paliło jej plecy.

Odetchnęła dopiero w windzie. Przejrzała się w lustrze i wymusiła beztronski uśmiech. Maskarada przed samą sobą zazwyczaj poprawiała humor. Tym razem nie było zazwyczaj.

Kiedy wróciła do pokoju, Wiktoria właśnie się obudziła. Leżała, przeciągając się na łóżku.

– Przyniosłam śniadanie. – Postawiła talerze na szafce nocnej pomiędzy ich łózkami. – Rogaliki wyglądają apetycznie.

Dziewczyna podniosła się i złapała ją za rękę.

– Mamo, co się wczoraj działo? – zapytała szeptem. – Nic nie pamiętam.

Profesor Wilczewski uprzedzał, że może wystąpić taki efekt. Miały się tym nie przejmować.

– Nic a nic?

– Tylko tyle, że rozmawiałam z jakimś dziwnym człowiekiem.

– To właściwa reakcja. Ponoć świadczy o tym, że wracasz do formy.

– Kto to był?

– Profesor – wyjaśniła krótko Ewa, jednak po chwili dodała – doskonały terapeuta, który powinien ci pomóc.

Wiktoria poprawiła za sobą poduszkę.

– Mam dzisiaj spotkanie z psychologiem? – zapytała, sięgając po szklankę soku. – Płaczą mi się myśli, może trzeba zmienić leki?

– Pan profesor ma nas odwiedzić.

– Tutaj?

– Tak, został na kilka dni.

– Był tu też tata, prawda?

– Musiał wracać w sprawach służbowych.

– Nawet się z nim nie pożegnałam.

Ewa z niepokojem wyczekiwała na jakąkolwiek reakcję córki dotyczącą ojca. Wypatrywała grymasu niechęci albo dystansu, ale niczego takiego nie dostrzegła.

– Zasnął. A on został pilnie wezwany do Lublina.

– Tak bardzo bym chciała, żeby był tu z nami...

Poczuła gwałtowną radość. Najwyraźniej eksperyment profesora zakończył się sukcesem. Co prawda ostrzegał, że efekt może być tymczasowy, wzmocniony podanym środkiem. Ale to było nieważne. Farmakologia zwalczała farmakologię. I niech tak pozostanie.

Uśmiechnęła się do córki i przytuliła ją. Pogładziła ją po policzku i pod wymyślonym pretekstem wyszła na balkon. Drżącą dłonią wyciągnęła komórkę i wybrała numer męża.

– Jest dobrze – wyszeptała, kiedy odebrał. – Po prostu jest dobrze.

Łza opadających emocji spłynęła do kącika jej ust.

Nim minęła dziesiąta, Deryło wypił już czwartą lub piątą kawę. Sam się pogubił. Zgromadzeni w gabinecie podwładni wybili go z rytmu. Mimo że inspektora Bickiego nie było na komisariacie, nie chciał korzystać z sali konferencyjnej. Wolał się nie wychylać. Poprosił Brzeskiego o dokumenty i relację z postępów śledztwa przez ostatnie dni. Kiedy akta wylądowały na jego biurku, pospiesznie je przejrzał.

– Co z tropem Byrcza? – zapytał, odkładając notatkę posterunkowej Lubeckiej. – Znaleźliście cokolwiek?

Brzeski wymownie pstryknął palcami.

– Nic. Kilka osób twierdziło, że skądś kojarzy wizerunek księdza, ale to raczej kwestia wyznaczonej nagrody. Przez ten idiotyczny pomysł mamy tylko więcej roboty.

– A monitoring?

– Został zabezpieczony. Też nic.

– No dobra. Spróbujmy to ruszyć z drugiej strony. Co wiemy o księdzu?

– Według informacji z parafii to Józef Dycz. – Tym razem referowała posterunkowa Nowak. – Ma sześćdziesiąt siedem lat. Do Lublina został przeniesiony niecałe trzy lata temu. Wcześniej przebywał na misji w państwach afrykańskich. Zasłynął jako kościelny egzorcysta wśród tubylczych wędrownych plemion, więc naturalnie biskup dał mu tę fuchę i tutaj.

– A rodzina? Znajomi?

– To jest ciekawe. Niczego o niej nie wiemy. A z MSW dostaliśmy informację o wszystkich Józefach Dyczach. Profil żadnego z nich nie pasuje do poszukiwanego.

Deryło się zasepił. Obrócił filiżankę w dłoni i przyjrzał się ciemnemu osadowi. Albo jego wyobraźnia wciąż spała, albo wzór nie przypominał niczego konkretnego. Właśnie oblał amatorski test Rorschacha.

– Trzeba szukać dalej – zawyrokował, siląc się na entuzjazm. – Może miał jakiś pokój przy parafii? Nie wierzę, że ulokowali go tylko w tej rozpadającej się kamienicy. Poza tym może zostawił jakieś notatki? Ktoś, do cholery, musiał go znać. A biskup? Trzeba przesłuchać choćby jego.

– Prokurator Malczewski zabronił. Mamy jak najmniej angażować w to Kościół.

– Do diabła tam.

– Ja tam bym pierdolił złotoustego. – Sikora odchrząknął. – Przecież coś trzeba robić.

Komisarz zerknął na niego z ukosa. Albo sierżant miał umiejętność artykułowania emocji

niewypowiedzianych przez innych, albo sam myślał jak oni. Właściwie to było bez różnicy. Ważne, że przestał go irytować.

– Powoli, powoli – mruknął, odsuwając akta. – Najpierw dajcie mi numer do aresztu śledczego.

Sikora szybko wystukał hasło w telefonie komórkowym. Technologa odsuwa procedury, pokrywa kurzem notesy i urzędowe rozpiski...

Kilka minut później Deryło połączył się z sekretariatem i poprosił o rozmowę z dyrektorem. Oczywiście w Nowy Rok ten był nieobecny. Jakimś cudem zastał jego zastępcę, niejakiego majora Rudnickiego. Nazwisko kojarzył, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd. Pewnie z jakiegoś szkolenia. Swego czasu ministerstwo miało misję organizowania wspólnych spędów policji i służby więziennej.

– Witam pana komisarza.

Major miał ciepły, pogodny głos. Doskonale nadawał się na prelegenta. Deryło przedstawił się i przeszedł do konkretów.

– Chciałem uzyskać kilka informacji o jednym z aresztantów.

– Sądzę, że bardziej zorientowani są moi podwładni.

– Zależało mi na pańskiej opinii.

Rudnicki był wyraźnie polechtany tym zdaniem.

– O kogo chodzi?

– O Roberta Wolskiego. Przetransportowano go do was tydzień temu.

– A tak, tak. – Rudnicki natychmiast się ożywił. – Miał z nim miejsce pewien incydent, o to chodzi?

– Dokładnie. Sprawa doszła do mnie przypadkowo, wracam po zwolnieniu...

– Co by chciał pan wiedzieć? – Major od razu przeszedł do sedna. – Swoją drogą za chwilę zostaną mu przedstawione zarzuty. Czekamy na jego adwokata.

Deryło powiódł spojrzeniem po podwładnych. Jak mogli tego nie wiedzieć? Nieważne, że dochodzenie prowadził któryś z mniejszych komisariatów przy współdziałaniu służby więziennej. Obieg informacji był zaburzony, a to nie powinno mieć miejsca. Maskując zaskoczenie, zmienił temat.

– Nie wykazywał wcześniej agresji?

– Nie. Właściwie zbierał same pochwały. Dlatego skierowaliśmy go do bloku z najmniejszym rygorem. Zastanawialiśmy się nad opieką psychologiczną, ale temat jakoś się rozmył.

– Nie podlegał obowiązkowym badaniom?

– Oczywiście, że podlegał. Ale nie było wskazań do kolejnych. Chociaż Wolski wykazywał skłonności depresyjne, czytałem wczoraj raport. Poza tym...

Rudnicki zamilkł. Deryło miał wrażenie, że chciał powiedzieć coś istotnego.

– Poza tym? – zapytał z naciskiem.

– To idiotyczne, ale polecono objęcie go szczególną opieką duchową.

– Co proszę?

– Psycholog stwierdził u niego głęboką religijność. Zwykle pieprzenie, ale całkiem nieźle funkcjonuje w praktyce.

– Przyznam, że Wolski w bardzo specyficzny sposób wyrażał swoje religijne emocje.

– Może się wkurwił, że nie dostał pokuty?

Deryło zbył tę uwagę przelotnym uśmiechem. Major nie żałował swoich podopiecznych.

– Żadnych innych podejrzeń?

– Żadnych.

– Nie rozmawiał pan ze współwięźniami?

– Nie było sensu. Liczę, że więcej dowiemy się na przesłuchaniu. Tym bardziej że dzień przed tym ekscesem Wolski również spotkał się z księdzem. Może ten konkretny mu nie podpasował.

– Zaraz, zaraz – zainteresował się Deryło. – Dlaczego mówi pan o tym konkretnym? Był jeszcze jakiś inny?

– Tak. Dzień wcześniej z parafii przysłali kogoś innego.

– Nie zdziwiło to pana?

– W okresie okołoswiątecznym to nic specjalnego. Nagle wszyscy chcą się spowiadać i przyjmować komunię.

Komisarz przygryzł wargę. Coś mu nie pasowało. Musiał uzyskać więcej informacji, a tych mógł mu udzielić tylko Wolski. Chociażby przy okazji przesłuchania.

– Proszę wstrzymać wszystkie czynności – zdecydował. – Będę za dwadzieścia minut.

Mecenas Obara przeszedł przez pierwszą bramkę aresztu śledczego i oczekiwał na pozwolenie dostępu do swojego klienta. Wolski miał usłyszeć zarzut pobicia. Chyba że koncepcja się zmieniła i wyewoluowała w stronę usiłowania zabójstwa. Brak wieści w tej sprawie był akurat dobrą informacją.

– Proszę za mną.

Strażnik o posturze i spojrzeniu Nikołaja Wałujewa pchnął kratę. Nawet gdyby nie elektroniczny brzęczyk, wyrwałby ją pewnie z zawiasów. Po kilkudziesięciu metrach minęli kolejne zabezpieczenia i znaleźli się na zewnątrz budynku administracji.

– Sam trafię – zaproponował adwokat. – Wiem, w którym bloku go trzymacie.

– Nowe procedury, panie mecenasie. Dobra zmiana zajrzała nawet do aresztów śledczych.

– Macie prowadzić nas za rękę?

– Na szczęście wystarczy iść obok.

– Skoro tak...

– Poza tym pańskiego klienta przenieśliśmy do nowej części. Tymczasowa procedura bezpieczeństwa. Nie wiadomo, czy nie zechce wpięprzyć współosadzonym.

– To był wybryk incydentalny.

Strażnik zatrzymał się przed wejściem do białego pawilonu.

– Musi pan tak mówić. – Puścił adwokatowi oko. – A my musimy pilnować porządku.

Obara nie odpowiedział. Wyminął więźniów pchających wózek z potężnymi garami i wszedł do budynku. Na początku korytarza cele były otwarte. Mimo minusowej temperatury na zewnątrz w środku panował okropny zaduch. Administracja nie szczędziła na ogrzewaniu, a aresztowani nie mieli nadzwyczajnych możliwości przewietrzenia. Przechadzali się albo gromadzili głównie przy automacie telefonicznym. Kilku z nich skinęło głową na widok adwokata.

Strażnik poprowadził go do kolejnej kraty, pokazał przepustkę, a po chwili brzęczyk oznajmił, że została otwarta. Minęli przejście do bloku kobiecego i weszli po schodach na piętro. W powietrzu unosił się mdły zapach palonych papierosów zmieszany z wonią farby malarskiej.

– Nigdy tu nie byłem – Obara z zaciekawieniem się rozejrzał. – Nowe lochy?

– A więc właśnie. Zaaranżowaliśmy tę część dopiero pod koniec roku.

– Dla niebezpiecznych?

– Tak. Poza tym dla tych, którzy sięją zamęt na dole.

– Nie wiem, w której kategorii mam rozpatrywać swojego klienta.

– Ja nic nie insynuuję. – Strażnik zwolnił kroku. – Co jest?

Na końcu korytarza stało kilka osób. Dwóch ubranych po cywilnemu pracowników aresztu pokazywało coś kolejnym, umundurowanym. Wszyscy żywiłowo gestykulowali i mówili przyciszonymi głosami. Mimo tego wyraźnie było widać, że nie jest to parlamentarna rozmowa. O ile w Polsce istniały rozmowy parlamentarne.

– Proszę tu chwilę poczekać.

Strażnik gestem zatrzymał adwokata i szybkim krokiem poszedł w stronę zbiegowiska. Przewyższał wszystkich co najmniej o głowę. Wymienił kilka zdań i wszedł do otwartej celi.

Obara nie zamierzał czekać. Nie zważając na wymowne spojrzenia, minął pracowników cywilnych.

– Przepraszam, nie może pan przejść!

Znany mu z widzenia strażnik nie zatrzymał go jednak. Wręcz przeciwnie, taktownie odsunął się, robiąc adwokatowi miejsce.

Obara zajrzał do maleńkiej celi. Najpierw nie wiedział, co się stało. Dopiero po chwili dostrzegł bosc, nabrzmiałe stopy objające się o rant kącika sanitarnego. Kilkanaście centymetrów ponad posadzką.

Deryło wparował do gabinetu majora Rudnickiego, kiedy ten odkładał słuchawkę telefonu. Od razu dostrzegł na jego twarzy nerwowe napięcie. Był krótko obcięty brunetem, z wydatnymi policzkami i szeroko rozstawionymi oczami. Ledwie bąknął coś na przywitanie.

– Muszę porozmawiać z Robertem Wolskim – wycedził komisarz. – Jeszcze przed formalnym przesłuchaniem.

– To nie będzie możliwe.

– Zgodzi się ze mną rozmawiać bez adwokata. To tylko kilka pytań.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

Wicedyrektor aresztu śledczego spuścił wzrok. Bezmyślnie obrócił długopis w dłoni i kilka razy nim pstryknął.

– Właśnie dostałem telefon...

– I co z tego?

– Robert Wolski popełnił dziś samobójstwo.

– Jak to? – Krew odpłynęła z twarzy Deryły. – Kiedy?

– Przed chwilą. Na miejscu jest już lekarz.

– Do trupa?

– Stwierdził zgon. – Rudnicki odłożył długopis, starając się ukryć drżenie dłoni. – Będzie z tego pierdolona afera.

Szybko wstał, poprawił marynarkę i mijając komisarza, skierował się do drzwi.

– Muszę tam iść. Natychmiast.

Wyszli na korytarz i bez słowa przeszli wzdłuż pomieszczeń biurowych. Deryło kalkulował możliwe opcje. Jego plan działania trafił szlag. Skoro był już w areszcie, musiał spróbować innych tropów, choćby nie do końca zgodnych z regułami. Oglądanie zwłok Wolskiego nie miało sensu. Nawet jeżeli ktoś pomógł mu w zabraniu się z tego świata, wszystko wykaże sekcja. Właściwy raport za kilka dni wyląduje u niego na biurku. Poza tym szczerze w to wątpił.

– Proszę mnie zaprowadzić do jego współwięźniów – zażądał. – Do tych, z którymi dzielił celę przed przenosinami.

Rudnicki zatrzymał się przy pomieszczeniu socjalnym. Jego drzwi były otwarte, a w środku dwóch strażników popijało kawę. Major skinął do nich i odwrócił się do Deryły.

– Przenosiliśmy go dwukrotnie. Raz przed pobiciem księdza, a raz po.

– Chodzi mi o tę pierwszą celę.

– Nie wiem, komisarzu, czy coś panu powiedzą.

Deryło rozłożył ręce.

– Na pewno więcej niż Wolski.

– Niech pan robi, jak uważa. I tak będziemy mieć tu burdel.

Rudnicki przywołał strażnika i poinstruował go, gdzie ma zaprowadzić komisarza. Sam się pożegnał, po czym sztywnym krokiem odszedł w głąb budynku.

Deryło posłusznie podążył za strażnikiem. Kiedy minęli wejście do bloku administracyjnego, coś mu przyszło do głowy.

– Księży też doprowadzacie prosto do cel?

– Ma pan, komisarzu, na myśli wizyty duszpasterskie?

– Tak.

– Różnie z tym jest, ale zazwyczaj mają swobodę poruszania się – wyjaśnił klawisz. – O ile wiedzą, gdzie iść. Muszą tylko posługiwać się przepustką. Chociaż teraz pewnie i to się zmieni.

– Ale przy wejściu na teren aresztu są kontrolowani?

– Oczywiście. Mogą wnieść kilka określonych proceduralnie rzeczy.

– To znaczy?

– Musiałbym zerknąć do regulaminu. Dawno się tym nie zajmowałem, ale na pewno noszą hostię, kropielnicę i takie tam. Żadnych niebezpiecznych narzędzi.

Deryło przyspieszył kroku.

– Słowo – mruknął – to najniebezpieczniejsze narzędzie.

\*

Kilka minut później postawił teczkę przy stoliku i zerknął na twarze osadzonych. Trzech młodych chłopaków. Najstarszy miał co najwyżej dwadzieścia pięć lat, pozostali dwaj byli o kilka lat młodszy. Przez głupie wybryki tracili w zamknięciu najlepszy okres życia. Na szczęście nie byli recydywą z grypsery, z której niczego by nie wycisnął. Zapis z monitoringu miał dostać za kilka godzin, ale Deryło potrzebował szczegółów.

– No, widziałem tego księdza. – Smukły, wytatuowany blondyn patrzył mu prosto w oczy. – Przez chwilę, jak tu się zawinął.

– Pytał o Roberta Wolskiego?

– Nie, ale od razu do niego podszedł. Zachowywał się, jakby miał owsiki w dupie.

– Słyszałeś, o czym rozmawiali?

– Nie.

– A reszta?

Wszyscy pokręcili głowami.

– Była pora spaceru i wychodziliśmy na korytarz – wytłumaczył krępy osilek z wygoloną głową. – Dosłownie minęliśmy się z tym klechą.

– I nie proponował nikomu spowiedzi? Nic?

– Olał nas ciepłym moczem jak trędowatych. Podszedł od razu do tego Wolskiego.

– Nie wydało się wam to dziwne?

– A co to my, od wydawania się jesteśmy? – Blondyn z irytacją wzruszył ramionami. – Nie garujemy tu, żeby się zastanawiać, czy coś jest dziwne. Była pora spaceru, to wyszliśmy na peron i tyle.

Niby nie grypsera, ale pewne standardy językowe obowiązywały. Komisarz nie chciał budować niepotrzebnego napięcia. Na chwilę odpuścił drażnienie tematu.

– Wiecie, że za pomoc możecie mieć ulgi – postanowił improwizować. – Nie tylko



w areszcie, ale będzie to wzięte pod uwagę w waszych sprawach.

– W jaki sposób?

– Przy wymiarze kary.

Łysy osiłek parsknął pod nosem.

– To niemożliwe...

Komisarz wiedział, że osadzeni nierzadko znają procedurę karną lepiej od absolwentów prawa. Do znudzenia debatowali nad jej meandrami. Relacje z rozpraw przypominały zabawę w głuchy telefon, przybierającą ostatecznie kuriozalne kształty. Mimo tego trudno było im wmówić bzdury. Abstrahując zresztą od etycznej i dyscyplinarnej strony takiego przedsięwzięcia.

– Osobiście porozmawiam z dyrektorem. – Deryło wybrał bezpieczniejszą ścieżkę. – Wiecie, że katalog nagród jest całkiem szeroki.

Aresztowani wymienili krótkie spojrzenia. Zgadł, że zyskał nieco ich przychylności.

– No, ale wracając do sprawy. Jesteście w stanie opisać tego księdza?

Blondyn ostentacyjnie zerknął w okno. Najwyraźniej nie przekonały go słowa komisarza. Najstarszy z osadzonych również bezradnie rozłożył ręce. Deryło utkwiał wzrok w łysolu. Ten poruszył się nerwowo i złapał rękoma za kolana.

– Jak to ksiądz – bąknął po chwili. – Wszyscy wyglądają podobnie.

– W jakim był wieku?

– Trudno powiedzieć. Na pewno nie młody.

– Niczym się nie wyróżniał?

– A bo ja wiem? Miał krótką brodę, niewielu klechów nosi zarost. Do tego prostokątne okulary i kręcone włosy.

– Siwe?

– Chyba nie, ale u starego pierdoły dziwnie wyglądały.

Deryło otworzył teczkę i wyciągnął z niej fotografię Dycza. Pospiesznie naniósł na nią poprawki. Wyglądało to jak amatorska kolorowanka i skrzywił się, widząc rezultat swojej pracy. Obróbka graficzna zajęłaby kilka godzin. Ściągnięcie grafika – kolejną. Pokazał zdjęcie łysolowi i z niepokojem wyczekiwał jego reakcji.

– Słabo pan rysuje. – Łysol popatrzył na fotografię obojętnym wzrokiem.

– Ale to on.

Deryło jak pospieszny pociąg wpadł na peron z napisem „śledztwo”. Zdał Bickiemu telefoniczną relację ze swojej wizyty w areszcie i oczekiwał najgorszej reakcji. Tymczasem inspektor przyjął to ze spokojem. Najwyraźniej ktoś go już powiadomił. Zakazał komisarzowi jakichkolwiek kontaktów z mediami, stwierdził, że potrzeba spokojnego dochodzenia, i się rozłączył. Zupełnie jakby w Nowy Rok wkroczył z postanowieniem stonowania emocji. Albo wymogły to na nim jakieś polityczne naciski. Kolejna afera wokół mozolnego śledztwa powinna zostać zamieciona pod dywan. A inspektor nie ponosił za nią żadnej odpowiedzialności. Stąd pewnie jego wewnętrzny spokój.

Deryło nerwowo chodził po gabinecie. Dwa żurawie origami błyskawicznie wylądowały w koszu. Analizując wszystkie możliwości, postanowił ściągnąć na komisariat Miłosza Tracza. Dla samej satysfakcji zwracania mu dupy. Profiler był najwyraźniej niezadowolony, ale obiecał zjawić się w przeciągu godziny. Utrzymywał, że jest poza miastem, ale brzmiało to jak słaba wymówka. Wydawał się raczej solidnie skacowany. Po kilkudziesięciu minutach wszedł do gabinetu komisarza z butelką wody i gumą w ustach. Jego rude kudły były zmierzwione bardziej niż zwykle.

– Słyszałem, że wczoraj pojawił się pewien list. – Deryło wskazał profilerowi krzesło. – Ponoć utrzymywałeś, że nie mogła go napisać ta sama osoba co wcześniej.

Tracz usiadł i splótł dłonie. Lekko odchylił się, rozprostowując mięśnie.

– Jestem o tym przekonany.

– A jakieś głębsze spostrzeżenia?

– Ten list... – profiler upił łyk wody – ten list nie pasuje mi ani do tych podpisywanych przez Cztery Iksa, ani do jego metod działania. Jest sztuczny, nadęty, nie wnosi do śledztwa niczego.

– Wskazał miejsce, gdzie znaleziono Biblię. A w niej, jakimś cholernym zbiegiem okoliczności, trafiliśmy na inicjały podejrzanego.

– Przez zabawę z głupim kodem? To nawet brzmi infantylnie.

– Nadal uważasz, że pojawił się naśladowca? To niby brzmi lepiej?

– Coś panu pokażę, komisarzu.

Tracz wyjął telefon i przewinął ekran. Po chwili podał aparat Deryło.

– To zdjęcie skóry, którą ściągnięto z człowieka. Niby starannie, niby dokładnie, ale proszę popatrzeć. Nacięcia w zależności od miejsca są różnej głębokości, pod różnym kątem, a nawet wykonane z różną siłą. Ktoś, kto robił to wcześniej, nie eksperymentowałby w taki sposób. Od razu by wiedział, jak poprowadzić skalpel, a nie kombinował.

– Wnioskujesz z tego, że to inna osoba?

– Ciągle nad tym myślę. Ale z drugiej strony Cztery Iks mógł od początku preparować tropy. Rzucił podejrzenia na swoich przydupasów, tworzył ślady, woził ze sobą ofiary, ale tak naprawdę działał sam.

– Całe gówno. – Deryło z irytacją pchnął teczkę z aktami. – Może być tak, a może być też zupełnie inaczej!

Profiler popatrzył, jak jedna z kartek spada z biurka, po czym podniósł ją i odłożył na stertę dokumentów.

– On doskonale wie, co robi. Mam wrażenie, że z satysfakcją manipuluje wszystkimi tropami, a w rezultacie i moją analizą. Chce, żeby stworzyć jego portret według spreparowanych wytycznych. Gdybym miał jeszcze jakieś informacje...

– Nie udało mi się nagrać wczorajszej rozmowy – wtrącił się Deryło. – Szlag by to, ale nie dało rady.

– Może pan spróbować chociaż ją streścić.

Poprawił się w fotelu. Przez chwilę odtwarzał w myślach chaotyczną wymianę zdań. Wreszcie, siłąc się na porządek, streścił ją profilerowi. Nie wspomniał przy tym ani o swojej córce, ani o odnalezionej wcześniej kasecie wideo. Wmawiał sobie, że nie mogą pomóc w śledztwie, a jedynie dotkną jego psychiki. Pewnie właśnie tego chciał Cztery Iks. A może przeciwnie, chciał zachowania ich w tajemnicy? Nie zdawał sobie sprawy, że uciał w pół zdania.

– I to wszystko? – Tracz z zaciekawieniem pochylił się w stronę biurka.

– Tak.

– Na pewno nic panu nie umknęło, komisarzu?

– Zastanowił mnie pewien odgłos. Krótki szum zwielokrotniony echem. Ale skoro wiemy, skąd dzwonił, to pewnie jest bez znaczenia.

– Wszystko ma jakieś znaczenie.

– Filozoficzne głędzenie.

Deryło żałował, że wezwał Tracza. Zrobił to w przypływie zdezorientowania wizytą w areszcie. Wciąż nie powiedział o niej profilerowi, ale czuł, że to może być istotne.

– Wolski nie żyje – oznajmił krótko. – Powiesił się dziś w więzieniu. Wszystko wskazuje na to, że nasz ksiądz odwiedził go kilka dni wcześniej.

– Jakim cudem?

– Przedłożył zaświadczenia z parafii, dokumenty od biskupa i nikt tego nie kwestionował. Podejrzewam, że to wszystko fałszywki. Zmienił wygląd, założył perukę i dostał się do Wolskiego. Dziecinnie proste.

Tracz przymknął oczy. Pogładził się po zmierzwionej brodzie i westchnął.

– Tym bardziej myślę, że trop z Kosem to tylko podpucha – oznajmił pewnym tonem. – Sprawca ma jasny plan działania, nie interesują go półśrodki. Chociaż bardzo lubi symbolikę, robi to w inny sposób. A teraz zaczyna się spieszyć. Tego wilka sami wywołaliśmy z lasu.

– Do czego pijesz?

– Ostatnim razem wszystko przygotował na Wigilię. Jeżeli kierować się jego logiką, to nasuwa się tylko jedno.

Deryło zacisnął zęby. Wiedział, co miał na myśli profiler.

– Zabił wczoraj lub będzie mordował dziś, w Nowy Rok.

– Patrzcie, co mam!

Zamaskowany mężczyzna uniósł gruby pręt zbrojeniowy. Nachylił się nad starcem i obrócił nim w dłoniach.

– Dwa tysiące lat temu użyto pewnie czegoś innego – mruknął zafrapowany. – Ale efekt musiał być podobny.

Wyprostował się i podszedł do stołu. Z dumą popatrzył na zwłoki swoich ofiar. Obdarte ze skóry ciało przypominało stertę gnijącego mięsa. W znacznej części pokryło się czarnymi wybroczynami, skrząc się w świetle żarówki. Jedynie ścięgna na wysokości żeber wyblakły, jakby przyobleczone grubą pajęczyną. Zwłoki drugiego mężczyzny wyglądały równie odrażająco. Zostały przywiązane do stołu tak, jakby siedział przy nim, pochylając się nad talerzem. Plamy opadowe były wyraźnie widoczne na przedramionach i nosie. Sine, obrzmiałe usta zamilkły w lekkim rozwarciu.

Magdalena Szus utkwiała wzrok w ścianie. Przez ostatnie dni przyzwyczała się do makabrycznego widoku, ale za każdym razem wywoływał u niej dreszcz rozpacz. Od kilku godzin znajdowała się w stanie katatonicznego otępienia. Nie zwracała uwagi na pojękiwania starca, a obecność mordercy ledwie odznaczała się w jej świadomości. Całą uwagę skupiła na ceglany wzorze. Nierówna zaprawa wyznaczała pola upiornej szachownicy. Każdy odprysk i przebarwienie znała już na pamięć. Mogłaby przesuwac po nich wyimaginowanymi figurami.

Koń bije królową. Wieża bije konia.

Mężczyzna stanął pomiędzy dwoma ciałami. Położył wolną dłoń na zmierzwionych włosach topielca i przyglądał je. Z satysfakcją przepuszczał ich pukle pomiędzy palcami. Zamruczał z zadowoleniem. Po chwili opuścił rękę i ciągnąc pręt po nagiej posadzce, podszedł w stronę starca. Zatrzymał się tuż obok niego. Milczał, delektując się swoją władzą. Był panem tego pomieszczenia i nikt nie mógł się mu przeciwstawić. Milczenie dziewczyny wprawiło go w lekkie rozdrażnienie, ale nie zamierzał się teraz tym przejmować. Musiał działać.

Starzec zwinął się w kłębek. Spętane ręce i nogi utrudniały ruchy, upodabniając go do leżącego na grzbiecie robaka. Jęcząc i dysząc, nie mógł nic zrobić. Z zakneblowanych ust rozlegało się rozpaczliwie rżenie. Płakał, nieudolnie starając się ochronić twarz ramieniem.

Zamaskowana postać zamachnęła się prętem. Pierwszy cios z głuchym plaśnięciem zgruchotał łokieć starca. Knebel uwięził w gardle okrzyk cierpienia. Magdalena Szus nawet nie drgnęła. Wciąż uparcie wpatrywała się w ścianę, doszukując się logiki w pajęczynie zaprawy.

Laufer tnie szachownicę na ukos.

Mężczyzna obszedł leżącego i wymierzył kolejny raz w podkulone kolano ofiary.

Następne uderzenia nastąpiły w błyskawicznym tempie. Każde z nich kruszyło kości i stawy. Po chwili ubranie katowanego nasiąkło plamami krwi. Kiedy materiał pękł, wypłynęła obficie na podłogę i rozlała się w rdzawe kałuże.

Żebra starca łamały się z ostrym chrupnięciem. Mężczyzna cicho zarzęził, obracając się twarzą do ziemi. Nie walczył już, ale jedynie drżąc, poddawał uderzeniom.

Zamaskowany się zmęczył. Teraz zadawał ciosy wolniej i nieco delikatniej. W pewnym momencie oparł się na metalowym pręcie i spojrzął na swoje dzieło. To nie był koniec. Jego ofiara wciąż żyła. Być może jeszcze tylko przez chwilę, ale to on musiał wymierzyć ostateczny cios. Musiał czuć, że odbiera życie i pozostawia u swoich stóp jedynie stertę stłuczonego mięsa, ścięgien i kości.

Wyprostował się. Wszystko było w jego rękach.

Zamachnął się po raz ostatni. Pręt wyłupał kawałek kości czaszki, niemalże skalpując ofiarę. Kępka włosów zawisała na cienkim plastrze skóry, wokół którego wartkim strumieniem zbulgotała krew. Starzec zadrżał w agonii, a potem nastała cisza. Przerzywało ją jedynie ciężkie dyszenie zamaskowanej postaci.

Magdalena Szus poczuła wilgoć na policzku. Odruchowo dotknęła kropli krwi i rozmazała ją. Nie przejmując się tym, wróciła do poprzedniej pozycji i utkwiała wzrok w ścianie.

Szach-mat.

Doktor Gawiński zadzwonił do Deryły w samo południe. Miał wiele do powiedzenia, ale swoim zwyczajem wolał się spotkać osobiście. Rozmowy telefoniczne traktował jako ostateczność. Chcąc nie chcąc, komisarz zamówił taksówkę i pojechał do zakładu medycyny. Patolog przywitał go tajemniczym uśmiechem. Siedział za biurkiem, pochylony nad talerzem pełnym krakersów.

– Jak zawsze na czas! – Zarechotał, sięgając po ciasteczko. – Chcesz?

– Podziękuję. Postanowienie noworoczne.

– Serio?

– A jak myślisz?

Gawiński odsunął talerzyk.

– Zepsuł mi się czajnik – oznajmił, przeżuując. – Dlatego nie proponuję ani kawy, ani herbaty. Alkoholu klasycznie tu nie mam.

Deryło wymienił z nim krótki uścisk dłoni i usiadł naprzeciwko.

– Straciłem już nadzieję na wyniki toksykologii.

– Myślałeś, że zapomniałem?

– Nie. Raczej, że mnie olałeś.

– A mimo tego nie zwracałeś mi dupy? To znowu prezent świąteczny?

– Nie miałem na to czasu.

– Mogłeś chociaż udawać. Swoją drogą, czekałem na telefon.

Patolog zmarszczył chudą, szczurzą twarz i sięgnął po papierosa. Obszukał wszystkie kieszenie i rozejrzał się po biurku w poszukiwaniu zapalniczki. Deryło wyciągnął ją spod rantu talerzyka.

– Nawet nie pomyślałem, żeby dzwonić w Nowy Rok.

– Wiesz, że nie uznaję tych cholernych wolnych dni. Urlop zrobiłem sobie wczoraj, a dziś na biurku miałem wyniki. Interesuje cię jeszcze ten Daniel Kos?

– Z każdym dniem coraz bardziej.

– Jak zwykle nie wnikam i nic nie chcę wiedzieć.

Gawiński odpalił papierosa i wstrzymał dym. Po kilku sekundach wypuścił go w stronę drzwi.

– Jedz krakersa.

Deryło, zrezygnowany, uniósł dłonie. Wiedział, że nie wycisnie nic z patologa, dopóki ten sam nie zacznie mówić. Rytualnie rozmawiali o niczym, zupełnie jak na spotkaniu biznesowym. Dopiero po kurtuazyjnej wymianie zdań przechodzili do interesów. Mimo że lekarz deklarował, że całkowicie nie jest zainteresowany meandrami śledztwa, oczekiwał ciekawostek.

– Mam coraz więcej dowodów, że Kos był głównym sprawcą. A coś mi podpowiada, że jest jedynie ofiarą. Wrobioną, udupioną ofiarą.

– Może tak być.  
A więc powoli zmierzali do sedna.  
– Ale niczego nie sugeruję. Ja tylko odwaliłem swoją robotę.  
– Się rozumie.  
– Się zrozumiało. Jak u Stachury.  
– Więc co się zrozumiało?  
– Spływały wszystkie testy z laboratorium. – Gawiński strzepnął popiół. – Oczywiście razem z wynikami toksykologicznymi.  
– Tak?  
– Ustalenia są dość ciekawe.  
– I raczysz się nimi ze mną podzielić?  
Kolejny kłęb dymu powędrował w stronę drzwi. Patolog sięgnął po ciasteczko i szybko je schrupał.  
– Ten chłopaczek był na totalnym haju. Został wręcz napompowany salwinoryną typu D.  
– Nic mi to nie mówi.  
– Nie jestem specjalistą, ale to mniej popularny narkotyk. Znalazłem w internecie, że był testowany przez niektóre armie Trzeciego Świata, ale żadnych szczegółów.  
– Zupełnie nic?  
– Ponoć dopiero wchodzi na rynek używek. Analizując skład chemiczny, to terpenoid pozyskiwany z szaławii wieszczej. Tyle mogę powiedzieć, zgadywać nie zamierzam.  
– Ale jakie ma działanie?  
– Już powiedziałem, że nie będę dywagował. Na pewno nie chcesz krakersa?  
Deryło nie odpowiedział. Zastanawiał się, co może kryć się za tą substancją. Z niechęcią zdał sobie sprawę, że zna kogoś, kto będzie wiedział więcej. Patolog dogasił papierosa i podrapał się po łysinie.  
– Testy DNA potwierdziły, że skórę zdarto z zaginionego – oznajmił, zmieniając temat. – Mówię to nieformalnie, jeszcze nie przygotowałem raportu.  
Komisarz błyskawicznie przeanalizował tę informację.  
– Czyli to nie jest kolejna ofiara.  
– Skoro to dobra informacja, to też się cieszę.  
– Nie kpij.  
– Nie kpię. Nie mam na to ochoty. Tym bardziej że morderca nie tylko go oskórował.  
– A co?  
Gawiński wypuścił dym, zdmuchując okruchy.  
– Kiedy ten człowiek jeszcze żył, parzył go we wrzątku.

Deryło miał dość taksówek. Z zakładu medycyny przeszedł piechotą do centrum. Na placu Zamkowym odbywał się noworoczny jarmark i mnóstwo ludzi kręciło się pomiędzy drewnianymi budkami. Lekki mróz i ostre słońce zwiększały apetyty. Z daleka czuć było zapach odgrzewanego bigosu, rozchodzącego się zapewne szybciej niż woda po solidnej imprezie.

Aby nie przeciskać się przez tłum, skręcił w Cyruliczą. Lubił tę część Lublina. Dawna żydowska dzielnica, po wojnie zamieniona w siedlisko meneli i awantur. Od kilku lat cywilizowała się, stanowiąc coraz przyjemniejszy zaułek w pobliżu starówki. Za parę lat powinna stać się pełnoprawną częścią kulturalno-rozrywkowego centrum. Taki był plan ratusza.

Tym razem nie zwrócił nawet uwagi na zabytkowe frontony kamienic ani nie skrzywił się na widok nowych, ohydnych szyldów. Szedł jak w transie. Burza myśli szalała mu w głowie. Zatrzymał się przy zdewastowanej bramie prowadzącej na podwórko. Z ulgą zauważył, że na parterze pali się światło. Studio tatuażu przyciągało klientów nawet w Nowy Rok. Zapewne chcieli wytuszczać na sobie wszystkie postanowienia.

Wszedł do środka, wdychając zapach środków czystości. Drzwi do jednego z pomieszczeń były otwarte. Już w progu zauważył, że na fotelu siedzi krępa trzydziestolatka. Pochylał się nad nią niemal całkowicie wytatuowany chudzielec. Deryło miał z nim do czynienia wiele razy, aż w końcu ten został jego nieoficjalną wtyką z okolicznego półświatka. Kilka wzajemnych przysług i przymknięć oka scementowało pragmatyczną znajomość.

– Dżej Zi! – komisarz przywitał się, wchodząc do pomieszczenia.

Dżej Zi wcale nie nazywał się Dżej Zi, ale lubił, kiedy tak do niego mówiono. Albo wcale nie lubił, ale przyzwyczał się i tolerował tę ksywkę.

– Witaj, gliniarzu! Mówiłem, że kiedyś przyjdzie ochota na strzelenie sobie porządnej dziaby.

– Wołałbym nic z tego nie zrozumieć.

– Nie jest pan aż tak głupi.

Deryło skinął, żeby tatuażysta do niego podszedł. Wołał zachować pozory anonimowości.

– Potrzebuję informacji o pewnej substancji.

Dżej Zi zerknął w stronę kobiety i poprowadził komisarza na bok.

– O jaką substancję chodzi?

– Salwinoryna typu D.

– Salwa.

– Niech będzie salwa.

– Wyborna nowość. Prawdziwy hit, prosto z najczarniejszych laboratoriów Bronxu.

– Jak działa?

– *Who knows...*

Deryło spojrział na niego z ukosa. Dżej Zi tylko przez chwilę wytrzymał to spojrzenie.

– Okej, okej. Powiem, co słyszałem. Typ A daje porządne haluny. Typy B i C dorzucali



do mieszanek, ale podobno prawie nie kopały.

Zdawał sobie sprawę, że słowa „podobno” użył tylko z kurtuazji.

– A ja pytam o typ D.

– Ciekawa sprawa, jak powiedziałem, wielka nowość.

– Jak działająca?

Dżej Zi wykonał w powietrzu nieokreślony ruch maszynką do tatuażu.

– Murzyni powiedzieliby, że jeżeli chcesz posłusznej suczki, daj jej to do polizania.

– A jak powiedzieliby nie-Murzyni?

– Że to tępi nawet aryjską pewność siebie. Jeżeli zażyjesz salwę D, stajesz się posłuszny wszelkim zewnętrznym bodźcom. Myślisz, że to miłe i że tak wypada. Dochodzisz do wniosku, że na haju jesteś wyjątkowo chamski, więc musisz się dopasować do otoczenia.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Deryły. Wszystko zaczynało układać się w logiczną całość. Z odmętów podświadomości wypłynęła myśl, której nie chciał podchwycić. Tylko że jego wola nie miała tu żadnego znaczenia.

– Czy ten narkotyk może zwiększać podatność na manipulację?

Tatuażysta spojrział na niego zdziwiony.

– Pewnie tak – powiedział po chwili zastanowienia. – Ktoś go bierze, wmawiasz mu, że skok z wieżowca jest całkiem fajny, i masz trupa. O to chodzi?

– Być może.

– Poproszę więc inny zestaw pytań. A najlepiej telefon do przyjaciela.

– Przestań, do diabła, pajacować i się skup. Gdzie można to zdobyć?

Dżej Zi bezradnie cmoknął.

– Na rynku trudna sprawa, ale podobno całkiem łatwo uzyskać salwę samemu. O ile oczywiście ma się składniki.

– I laboratorium?

– *Jesus*. Wy, gliniarze, zawsze cholernie kombinujecie. A salwa to dość naturalny temat. Jak sprasowana baka albo takie tam... Wystarczy nasionka, światło i trochę dobrych chęci.

– Znasz kogoś, kto się tym zajmuje?

– Ej, ej, gliniarzu. Wiesz jaką mamy umowę.

– Pierdolę naszą umowę, odpowiadaj!

– Nie, nie znam.

Chudzielec odpowiedział bez mrugnięcia okiem. Deryło doskonale zdawał sobie sprawę, że nic z niego nie wydusi. Gdyby próbował, sam skończyłby z problemami. A teraz za wszelką cenę musiał utrzymać się w śledztwie. Poza tym, skoro narkotyk można było uzyskać na własną rękę, dane dilerów mogłyby tylko przysporzyć bezproduktywnej roboty.

Włożył rękę do kieszeni, ale nie znalazł w niej monety. Był pewny, że po wizycie u Gawińskiego przełożył ją do płaszcza. Błyskawicznym ruchem chwycił tatuażystę za ramię. Wygiął je mocno za plecami i popchnął mężczyznę w stronę ściany. Kobieta na fotelu odwróciła głowę. Przybrała typową pozę osoby, która nie chce nic widzieć, a jeszcze mniej chce wiedzieć.

– Ej, gliniarzu, wyluzuj. Co cię napadło?

– Oddawaj ją.

– O czym ty mówisz?

Deryło wygiął mu ramię jeszcze mocniej. Jakikolwiek dalszy ruch rozerwałby ścięgna. Dżej Zi zawył z bólu.

– Jest w kieszeni – wyjęczał.

– Której?

– Prawej.

Komisarz, nie zwalniając uchwytu, wolną dłonią wyszukał monetę.

– Chciałem luknąć, co to za koin.

– Chciałeś ukraść ten... koin.

– To tylko wygłupy, daję słowo.

Deryło go puścił.

– To też tylko wygłupy.

– Au!

Dżej Zi złapał się za wygięte ramię i intensywnie je rozmasował.

– To słabe podziękowanie za newsy.

– Mogłem tu przyjść z narkotykowymi. Wtedy porozmawialibyśmy o wiele uprzejmiej na komisariacie.

– Jestem czysty.

Deryło obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i skierował się w stronę wyjścia.

– Może chcesz jakiś tatuaż dla gliniarza? CHWDP wychodzi z mody.

Nie odpowiedział. Pchnął drzwi i wyszedł na ulicę.

Przez kolejne godziny włóczył się po starówce. Starał się zebrać myśli, w chaosie wymieszane jak podroby w konserwie. Dotychczas zebrane informacje kotłowały się i zaganiały rozsądek w ślepe zaułki. Łudził się, że otrzyma jakieś wieści z komisariatu. Tymczasem telefon uparcie milczał. Miał zadzwonić do Ewy, lecz w ostatniej chwili zrezygnował. Może odpoczywały z Wiktoria? Może są z psychiatrą? Poranna rozmowa nieco go uspokoiła. Chociaż na jednym polu miał poczucie drobnego sukcesu. Drobniateńkiego.

Mimochodem pomyślał o dziewczynie z klubu. Przedstawiła się jako Patrycja, ale miał wątpliwości co do prawdziwości tego imienia. Właściwie nic o niej nie wiedział. Zastraszona gówniara, która za pieniądze była gotowa na wszystko. Jedyna niedoszła ofiara Cztery Iksa.

Około siedemnastej poczuł, że jest strasznie głodny. Wszystkie myśli zaczęły krążyć wokół aromatów, a spojrzenie – błędzić za szyldami otwartych restauracji. Poza tym był zmarznięty na kość. Skuszony subtelnym wystrojem, wstąpił do kameralnego węgierskiego lokalu. Karta dań przypominała loteryjne połączenia liter, więc zdał się na podpowiedzi kelnera. Po chwili wiedział, że dobrze zrobił. Halászlé, ponoć narodowa zupa Madziarów, była doskonała. Jeszcze lepszym wyborem okazał się borjúpaprikás, czyli paprykarz cielęcy, podany z gorącymi kluseczkami. Do tego, skoro nie miał auta, mógł się uraczyć palinką. Idealnie przepłukała gardło, pobudzając wreszcie myśli i ciało. Momentalnie osuszyła nawet skarpetki.

W nieco lepszym humorze postanowił wrócić do domu piechotą. Rozgrzany, na delikatnym rauszu, miał przed sobą czterdzieści minut spaceru. Brnąć w śniegu – maksymalnie pięćdziesiąt. Dotarł po dobrej godzinie.

Było już zupełnie ciemno. Nie zapalając światła, rozpiął teczkę i wyszukał papierowe opakowanie. Była w niej zawinięta płyta przegrana przez Gadżeta. Wyciągnął ją i po omacku wsunął do odtwarzacza DVD. Nim sprzęt się uruchomił, przyniósł whisky. Litrowa butelka Jacka Daniel'sa była w jednej trzeciej opróżniona. Napełnił całą szklanekę i rezygnując z lodu, wybrał przycisk odtwarzania.

Nie interesowało go nagranie egzorcyzmów. Cztery Iks zamieścił je jako ozdobę swojej pracy, symboliczny prezent dla adwersarza. Przewinął, aż na ekranie wyświetliła się zasłonięta białą maską twarz. Starał się odnaleźć jakikolwiek istotny szczegół, lecz tło pozostawało niezmiennie czarne. Zapewne zakryte kocem lustro lub zwykła ściana. Nie mógł nawet dostrzec jej faktury.

Sięgnął po leżącą na stoliku kartkę papieru i odruchowo zaczął układać z niej origami, nie bacząc na dokładność i zagięcia. W przerwach pomiędzy pociągnięciami whisky musiał czymś zająć dłonie.

Skupił uwagę na utkwionych w miejscu oczu kawałkach lustra weneckiego. Odbijało się w nich jedynie oko kamery. Przynajmniej tyle podpowiadała mu wyobraźnia. Kiedy zamaskowana postać odezwała się, niemożliwe było dostrzeżenie ani jej ust, ani zębów. Głos został zniekształcony jakimś urządzeniem albo w procesie obróbki. To pewnie było do ustalenia.

*Niepotrzebne mi główne wejścia.*

Deryło, zastanawiając się nad tymi słowami, dopił whisky i znów sobie polał. Czy możliwe, żeby Cztery Iks chciał, aby go złapano? Czy mógł wysłać komunikat, dając wskazówkę, jak go dorwać? W liście znalezionym w kamienicy było to zbyt widoczne, w nagraniu jedynie wyczuwał taką możliwość. Ewentualne sygnały należało raczej rozpatrywać jako wabik do zastawionej z premedytacją pułapki.

*Kiedy mówię ja, myśli pan o księdzu, komisarzu. Ale czy to właściwa dedukcja?*

Podła sugestia. Mącenie obrazów i symboliki. Późniejsze wywody o ludzkiej duszy nie miały żadnego znaczenia. Mogły je mieć dla chorego umysłu, ale Deryło nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Sekwencje wydzielone przez Gadżeta stanowiły osobisty przytyk, ale nie dawały żadnego tropu. Podkreślały, jak daleko w tyle pozostało śledztwo.

Deryło zatrzymał nagranie. Przewinął je do tyłu i podgłośnił telewizor. Słowa zamaskowanej postaci ryknęły z całą mocą. W ich tle dał się słyszeć niewyraźny dźwięk przypominający szum. Trwał zaledwie kilka sekund, ale komisarz nie miał wątpliwości, że był to ten sam odgłos, który słyszał podczas rozmowy odbytej w helikopterze. Jeszcze raz cofnął nagranie. Być może nie miało to żadnego znaczenia, ale odtworzył ten fragment kilkakrotnie. Wreszcie, zrezygnowany, ściszył głośnik.

Wygnieciony po ciemku żuraw natychmiast zamienił się w zmiętą kulkę. Deryło sięgnął po kolejną kartkę i ponownie uzupełnił szklankę. Tym razem wypił jej zawartość jednym haustem. Pamiętał, że nagranie dobiega końca.

*Czy myśli pan komisarzu, że jej dusza nadal należy do tej samej osoby?*

Pchnął pustą szklankę tak, że zawirosowała na rancie stolika i rozłukła się o podłogę.

– Ty chuju! – wykrzyczał w stronę telewizora.

2 STYCZNIA

Intensywnie zamrugał. Kształty pokoju wyostrzyły się dopiero po chwili. Wypity alkohol pozostawił kwaśny posmak w ustach i tępy ból głowy. Potęgowało go irytujące brzęczenie, które wprawiało w wibrację całe łóżko. Co, do cholery? Podciągnął się ku oparciu i zerwał z siebie kołdrę. Moment dezorientacji powoli mijał. Źródło hałasu znajdowało się pomiędzy stalową ramą łóżka a materacem. Komórka. Dzwoniąca od kilku sekund komórka.

Wyszukał ją i odebrał, starając się mówić jak najmniej bełkotliwie. Zgodnie z raportem technika hamulce w jego samochodzie zostały celowo uszkodzone przy użyciu amatorskiego sprzętu. Poza tym auto było już gotowe do jazdy. W przeciwieństwie do właściciela. Deryło rozłączył się i otarł twarz dłońmi. Wiadomość nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia, spodziewał się i jednego, i drugiego.

Wziął długi lodowaty prysznic. Bicze zimnej wody wybijały z jego ciała kolce alkoholowej trucizny. Wracał wewnętrzny niepokój i ostry osąd sytuacji. Kiedy niedługo później wparował na komisariat, stanowił uosobienie polskiej trzeźwości. Wkurwienie na świat, na ludzi, a przy okazji na siebie samego. Odburknął coś posterunkowej Nowak i zapytał o Brzeskiego. Aspirant ponoć wrócił w pilnej sprawie do domu. Deryło nie zamierzał się zastanawiać, co to za pilne sprawy, ale odprawił Nowak do papierkowej roboty. Chciał, żeby napisała raport, który będzie mógł dać Bickiemu. Typowa psychologia na podwładnych.

Właśnie szykował się do zaparzenia kawy, gdy zadzwonił wewnętrzny telefon. Sierżant Sikora szukał go ponoć już od ponad godziny, chcąc zaprosić do pokoju komputerowego. Zapewniał, że tylko tam może właściwie przekazać informacje. Lizodupny ton miał podkreślić szczerłość słów.

Klnąc w duchu, zrezygnował z porannej kawy. Żołądek mógłby nie wytrzymać mocnej mieszanki. Przeszedł korytarzem i dalej schodami na niski parter. W niewielkiej sali zastał Sikorę pochylonego przy monitorze komputera. Jego wielka, puciołowata twarz była wręcz rozpalona od wpatrywania się w ekran.

– Jeden z patroli zauważył, że naruszono policyjne plomby w tej cholernej kamienicy – sierżant odezwał się, nie odrywając wzroku od pulpitu.

– I to pewnie kilka dni temu.

Deryło przypomniał sobie, że zerwał taśmę, ale nie pamiętał o żadnej plombie. Mimo wszystko wywołany temat wzbudził w nim zaciekawienie.

– Bicki kazał przejrzeć monitoring. Niech pan zgadnie komisarzu, kogo na nim znalazłem?

Nie odezwał się.

– Jeździ pan ceszóstką, prawda?

– Czy to pieprzone przesłuchanie?

Sikora uniósł usprawiedliwiająco dłonie.

– Tak, to był pan – mruknął, splatając ręce. – Nie wiem, co pan tam robił, ale wytłumaczy

się pan. Śledztwem, ciekawością, czymkolwiek.

– Oficjalnie byłem wtedy na zwolnieniu.

– Wydaje mi się, że nikt nawet na to nie zwróci uwagi. Jest coś znacznie bardziej interesującego.

– Mianowicie?

– Po pańskiej wizycie był tam ktoś jeszcze.

– I co?

– Proszę zobaczyć, komisarzy.

Sikora uruchomił program. W górnym rogu ekranu wyświetliła się godzina nagrania. Była dwudziesta trzecia osiem, dwudziestego dziewiątego grudnia. Kamera, z której pochodził materiał, poruszała się, monitorując fragment zakrętu ulic Królewskiej i Wyszyńskiego. Deryło przypuszczał, że została zamontowana na dzwonnicy katedry. W trybie nocnym miała dość niezłą jakość, ale przeciętne rozjaśnienie.

– To automatyczna czy sterowana przez operatora?

– Niestety automatyczna. Dlatego nie wiemy, skąd ten ktoś przyszedł ani jak wyglądał.

Na potwierdzenie słów sierżanta na monitorze pojawiła się postać podchodząca do drzwi kamienicy. Kilka sekund wcześniej poruszałyby się *en face* do kamery. Jednakże z obecnego kąta uchwyciono jedynie niewyraźny profil. Jakakolwiek identyfikacja byłaby i tak utrudniona przez postawiony kołnierz płaszcza i nisko opuszczony kapelusz. Sylwetka wśliznęła się do środka budynku. Sikora zatrzymał nagranie.

– Nie złapano momentu, kiedy wychodzi? – Deryło wyprostował się, odsuwając od monitora.

– Nie. Musiał to zrobić akurat wtedy, gdy kamera objeżdżała inny fragment okolicy.

– Albo zostać w środku...

Sierżant przetarł zaczerwienione oczy.

– Poprosiłem straż miejską, żeby przejrzyli zapisy z kamer zainstalowanych w pobliżu.

Ale na razie cisza.

– Chcę to zobaczyć jeszcze raz.

Na ekranie ponownie wyświetlił się zapis z monitoringu. Obraz powoli przesunął się, najpierw obejmując fragment Królewskiej, a po kilkunastu sekundach Wyszyńskiego. Postać w płaszczu rozglądała się ukradkiem, stojąc przed wejściem do kamienicy. Nagle Deryło dostrzegł pewien szczegół.

– Zatrzymajcie nagranie!

Sikora posłusznie wykonał polecenie.

– Cofnijcie o dwie czy trzy sekundy. Jeszcze trochę. Wystarczy.

Materiał został zapauzowany dokładnie w momencie, kiedy niezidentyfikowana postać wyciągała dłoń, aby nacisnąć klamkę.

– Na co pan zwrócił uwagę, komisarzy?

– Powiększcie ten fragment.

Deryło zabębnił w punkt na monitorze. Sikora przybliżył, obniżając jednocześnie jakość nagrania.

– Chodzi panu o to, że nie miał rękawiczek? Na tej klamce nikt nie sprawdzał śladów, poza tym warunki pogodowe...

– Interesuje mnie to, co ma na nadgarstku.

– Przecież to jakaś bransoletka.

– Mam nadzieję, że nie.

– Nie?

– Obstawiam, że to hamilton ventura.

– Zegarek?

– Nietypowy, prawda?

Przedmiot miał trójkątny kształt i szeroki pasek. Sprawiał wrażenie nietuzinkowej ozdoby, ale mógł to być rzeczywiście zegarek. Jakość nagrania nie pozwalała na dokładniejszą analizę. Sikora westchnął.

– W takim razie musimy tylko znaleźć kogoś, kto taki nosi.

Deryło nie zwrócił uwagi na ironiczny ton jego głosu. Przygłodził włosy, oszołomiony swoim spostrzeżeniem.

– Chyba znam kogoś takiego.

\*

Marek wciąż znajdował się w policyjnej izbie zatrzymań. Uparcie nie chciał zdradzić swojego nazwiska, więc konieczne było przeprowadzenie szeregu czynności. Analiza kart daktyloskopijnych nie przyniosła efektu, wobec czego prokurator rozważał skierowanie wniosku o tymczasowe aresztowanie. Miał jeszcze sporo czasu, który pozostawił zatrzymanemu do namysłu.

Mężczyzna siedział w trzyosobowej celi, pozbawionej jakichkolwiek wygod. Znajdowały się w niej jedynie proste łóżka i symboliczny kącik sanitarny. Był sam. Starał się uspokoić oddech i skupić spojrzenie w jednym miejscu. Drżały mu ręce i oblał go zimny pot. Chyba powinien zdradzić im swoje nazwisko. Nie było warto spędzenia czasu w odosobnieniu i na trzeźwym zjeździe. Bez witaminek dorwie go w końcu depresja.

Akurat kiedy się podniósł z pryczy, rozległ się trzask rozryglowanego zamka. Po chwili brzęknęła kolejna zasuwka i drzwi się otworzyły. Do środka w asyście strażnika wszedł komisarz Deryło.

– Zostawcie nas samych.

Odczekał, aż zasuwka ponownie trzaśnie, i wyciągnął dłoń w stronę zatrzymanego. Ten nieśmiało wymienił z nim uścisk.

– Chcę, żebyś zobaczył czyjeś zdjęcie.

– Czyje?

– Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

Marek cofnął się w głąb celi, jakby nagle stracił zainteresowanie rozmową.

– Nie lubię się mieszać w nie swoje sprawy.

– Chyba nie masz wyboru.

– Bo co?

Deryło wiedział, że z osobą tego pokroju pójdzie mu łatwiej niż w areszcie śledczym. Ani przez moment nie wahał się skłamać.

– Jeżeli się przyjrzysz, będę miał w dupie, dlaczego nie podajesz nazwiska. Wyjdiesz jeszcze dzisiaj.

Marek zamarł w bezruchu, wreszcie energicznie skinął głową.

– Mamy układ?

– Zgadza się.

– No dobrze. Proszę mi go pokazać.

Komisarz wyjął komórkę i wyszukał w internecie odpowiednią stronę. Usatysfakcjonowany, wyświetlił umieszczone na niej zdjęcie. Tak jak się spodziewał, było bardzo dobrej jakości. Podał telefon Markowi.

– Czy to on?

Mężczyzna obrócił aparat w drżącej dłoni. Przez chwilę niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w jego ekran.

– Mówiłem, że nie widziałem twarzy.

– Mówiłeś, że jej nie pamiętasz.

– Tak, ale...

Skrzywił się. Jeszcze raz popatrzył na wyświetlacz telefonu. Deryło nachylił się tuż nad nim, zaciągając się kwaśnym zapachem potu i brudu.

– To on? – zapytał z naciskiem.

Marek skinął głową. Powoli, ale zdecydowanie.

– Świetnie.

Komisarz wziął od niego aparat i wyłączył zakładkę z witryną kancelarii mecenasa Obary.



Wiktor Puszke sięgnął po tackę z jedzeniem. Ziemniaki polane żółtawą papką wyglądały jak gnijące lody waniliowe. Starta marchewka przypominała wióry, a kompot był wodą ledwie muśniętą kroplą czerwieni. Do tego serwowano plastikowy kieliszek z kilkoma tabletkami, które najwyraźniej miały robić za deser. Całość zapewne niewiele odbiegała od posiłków wydawanych osadzonym w Bastylii. Albo w więzieniach brazylijskich.

Puszke minął strażnika i przeszedł w stronę stołów. Przy pierwszym z nich siedziało dwóch mężczyzn, pozostałe miejsca były wolne. Kiedy się zbliżył, równocześnie odsunęli swoje tace, zastawiając cały blat. Obrzucili go wymownymi spojrzeniami. Rozumiejąc sugestię, nawet się nie zatrzymał.

Skierował się w głąb sali, gdzie znajdowało się jeszcze niewielu pacjentów. Spuszczając wzrok, przelawrował między rzędami krzeseł, wreszcie zatrzymał się przy stole pod oknem. Siedzący przy nim mężczyzna ledwie na niego zerknął. Po chwili skinął głową na wolne miejsce i wrócił do jedzenia. Miał młodą, ale nabrzmiałą twarz alkoholika. Przyprószone siwizną włosy sprawiały, że wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Gdzieś z karku aż na jego policzek wpęłał wąż. Tatuaz z rzędu błędów nastoletniości niż przemyślanych inwestycji.

Wiktor usiadł i sięgnął po sztućce. Nie był głodny. Przez cały czas miał wrażenie, jakby jego żołądek wypełniały ciężkie kamienie. Kiedy pierwszego dnia odstawił praktycznie nieruszone jedzenie, lekarz zagroził mu przymusowym karmieniem, od razu brutalnie pokazując, że jest nie tylko pacjentem, ale i podejrzanym. „Darmowe żarło nie smakuje?” Sorry, ale nie wybierał tej restauracji.

– Mówią, że pomagales temu mordercy – mruknął mężczyzna z tatuazem.

Wiktor nie odezwał się. Nic dziwnego, że na obiad podawano papkę. Plastikowy nóż nie przekroiłyby nawet rozgotowanego mięsa.

– Cztery Iksowi – dodał mężczyzna. – Widziałem reportaże w telewizji. Temu, co porywał i mordował kobiety.

– Chcą mnie w to zrobić.

– Niby kto?

– Nie wiem. Prokurator, sąd, policja...

– Nie musisz ściemniać. – Mężczyzna machnął w stronę przechodzącego strażnika. – To oni są tu twoimi wrogami. Reszta trzyma się razem.

Wiktor przełknął. Danie było ledwie zjadliwe.

– Nie ściemniam. Naprawdę trafiłem na gówno w gównianym czasie.

– W takim razie nie masz się czym przejmować.

– Mój adwokat mówi, żebym się nie martwił.

– Akurat oni wszyscy tak mówią.

– Tym mnie nie pocieszyłeś.

Mężczyzna odsunął od siebie tackę i otarł dłonią usta.

– Homer.  
Podał Wiktorowi rękę ponad stołem.  
– Nie, nie myślę, że jestem Homerem. – Puścił mu oko. – Naprawdę mam tak na nazwisko.  
– Wiktor. Wiktor Puszcze.  
– Jak Bond. James Bond.  
– Słowo daję, że nie mam też rozdwojenia jaźni.  
– Wszyscy coś mamy.  
– Ja nie.  
– A jednak z jakiegoś powodu tu jesteś. Tak samo jak ja i ci wszyscy kurewsko pokręcani ludzie. – Homer rozejrzał się po sali. Mówił szeptem, niemal nie poruszając ustami. – Jedni udają normalnych, inni nawet nie starają się udawać, jak bardzo są popierdoleni. Ale prawda jest taka, że większość ma świsia.  
– Od dawna tu jesteś?  
– Z kilkoma przerwami prawie od roku. Opracowałem system, jak załapać się na terapię dla osadzonych w chronicznej depresji.  
Wiktor chrząknął.  
– Ja nie planuję siedzieć tu dłużej niż cztery tygodnie – obwieścił zdecydowanym tonem.  
– Na tyle skierował mnie sąd i potem wiśta wio. Spadam stąd.  
– I wierzysz, że tak będzie?  
– Oby. Kiedy tylko stąd wyjdę, napiszę książkę. Ponoć pisząc, najlepiej poradzę sobie z uporządkowaniem tego, co się wydarzyło.  
Homer spojrzał na niego z powątpiewaniem.  
– Myślisz, że umiałbyś to zrobić?  
– Mam w głowie setki myśli, które muszę jedynie przelać na papier. To chyba nietrudne.  
– Dla mnie chujowe.  
– Z twoim nazwiskiem powinieneś próbować.  
– Kiedyś chciałem napisać list do matki. – Homer upił łyk kompotu. – Zasiadłem do tego, jakbym naprawdę miał napisać *Eneidę* czy jak to tam...  
– *Odyseję*.  
– Może i *Odyseję*. W każdym razie solidnie napociłem się nad każdym kurewskim słowem. Zdanie po zdaniu składałem ten list, chcąc przekazać, co siedzi mi w trzewiach. Tak to się mówi? W trzewiach? Jak doszedłem do trzeciego akapitu, wzięły mnie takie emocje, że aż się rozpląkałem. Przysięgam ci, ryczałem jak baba, która poszła na wyprzedaż i zapomniała portfela. Dopisałem jeszcze dwa akapity i wiesz co? Dopiero jak skończyłem, zorientowałem się, że to wszystko jest bez sensu. Zupełna pierdolona strata czasu.  
– Dlaczego?  
– Bo chwilę przedtem zamordowałem swoją matkę!  
Homer roześmiał się, odstawiając sztućce. Wyjął palcami resztkę jedzenia z zębów i otarł je o tacę.  
– Żartuję. – Mrugnął do Wiktora. – To był żart. Rozumiesz?  
Młasnął i dalej śmiał się, pochylając nad stołem. Tym razem łyzy naprawdę zaskrzyły w kącikach jego oczu. Wiktor również się uśmiechnął. Po raz pierwszy od wielu dni poczuł lekkość w klatce piersiowej. Nadzieja, że wszystko będzie dobrze i że to szaleństwo się skończy, przybierała realne kształty.  
Kilku pacjentów, klnąc, przepychało się za jego plecami. Chciał zrobić im miejsce, ale był przysunięty do samego stołu. Nagle poczuł lodowate zimno rozlewające się po gardle

i spływające po przełyku. Zupełnie jakby zbyt łąpczywie przełknął gałkę świeżo podanych lodów. Ale przecież nie jadł żadnych lodów.

Spojrzał na niemal opróżniony talerz i wydał z siebie nieme charknięcie. Resztki jedzenia obryzgiwały spazmatyczne, regularne wyrzuty szkarłatnego płynu. Była to krew tryskająca prosto z jego tętnicy.

Przemysław Obara nie było w kancelarii, chociaż tego dnia nie miał wyznaczonej żadnej rozprawy. Niezbyt obyta praktykantka poinformowała Deryłę, że szef powinien się wkrótce pojawić. I tyle. Bez jakichkolwiek konkretów. Nie wiedziała, gdzie Obara przebywa, czy był tego dnia w biurze, nic. Brzmiało to dziwnie, ale mogło być prawdą.

Bicki, ukontentowany obrotem spraw, nakazał obserwować mieszkanie adwokata. Zaczynał dobierać się do jego rodziny i znajomych. Chciał wiedzieć wszystko, a najlepiej jeszcze więcej. Wiadomość o śmierci Wiktora Puszkęgo dotarła do niego, kiedy wysłuchiwał raportu komisarza.

– Co tu się, kurwa, wyprawia? – Rzucił słuchawkę telefonu na widełki. – Pierdolony dziki wschód!

Deryło powstrzymał się od dopytywania o przyczynę takiej reakcji. Słusznie, bo inspektor po chwili kontynuował swoją litanię przekleństw.

– Czy tylko w tym śledztwie wszystko się jebie, czy takie tu macie standardy? Wiedziałem, że wdeptuję w gówno, ale to wypchane gównem szambo! Najpierw jeden się wiesza w celi, a teraz drugiemu podrzynają gardło u czubków. Kto kolejny? A nie, zapomniałem! Nie mamy w tej sprawie już nikogo.

Komisarz założył ręce za plecy. Nie trzeba było skomplikowanej dedukcji, żeby zrozumieć, o kim mówił Bicki. Był w stanie przyjąć, że te dwa trupy to niefortunny zbieg okoliczności. Ale z drugiej strony...

– I co pan na to, komisarzu? Luz-blues, codzienność, do kurwy nędzy?  
 – Obstawiam, że tym razem sprawcę zatrzymano na miejscu.  
 – Co za błyskotliwy wniosek!  
 – Kto to jest?  
 – Jakiś pojeb, który siedzi w ośrodku od lat. – Bicki nerwowo przygładził włosy. – Do tego niemowa.

– I takich można przesłuchać.  
 – Wie pan, że gówno z tego będzie.  
 – Trzeba sprawdzić monitoring, dowiedzieć się, kto miał z nim kontakt i czy przypadkiem w ośrodku nie pojawił się ostatnio nowy ksiądz. – Deryło razem z koncepcjami prostował palce.  
 – Jeżeli to on, przypuszczam, że działał tego samego dnia co w areszcie.

– My nie robimy niczego innego, tylko przypuszczamy. Akt oskarżenia też ma być pieprzonym przypuszczeniem? I co mi pan machasz tą ręką?

Komisarz zacisnął pięść i schował dłoń do kieszeni. Obrócił między palcami monetę. Dlaczego ksiądz podejmowałby takie ryzyko? Wystarczyło, żeby mimo charakterystyki rozpoznał go któryś ze strażników. Albo żeby zakwestionowano sfalszowane papiery. Kpił z nich, pokazując satanistycznego fucka. Jakkolwiek by to wyglądało.

– Kos mógł się widzieć z kimś innym – mruknął, zamyślony.

– Mianowicie?

– Z adwokatem Puszkęgo. Mamy nagranie, jak ten wchodzi do kamienicy. Mamy też świadka, że był na terenie tej hali...

Bicki powoli się uspokajał. Wypieki zniknęły z jego pomarszczonej twarzy.

– Trzeba to sprawdzić – zdecydował cesarskim tonem. – Monitoring z aresztu potwierdził, że Wolskiego odwiedził Dycz. Po południu mamy mieć jego różne portrety, może ktoś go gdzieś widział.

– W tym przypadku mógł się posłużyć kimś innym.

– Albo to całkiem zabawny przypadek, że świr zabija świra.

Deryło zdążył jedynie skinąć głową, kiedy zadzwonił telefon. Inspektor natychmiast sięgnął po słuchawkę. Jego rysy na chwilę napięły się, ale zaraz złagodniały. W kącikach ust pojawił się nawet przelotny uśmiech. Podziękował za informację i się rozłączył. Odwrócił się w stronę okna.

– Mają tego adwokata. – Nie ukrywał podekscytowania. – Niedługo będziemy wiedzieć znacznie więcej.

Obara cały się trząsł. Był blady, przygarbiony i zgaszony jak papieros bez filtra. Ku rozczarowaniu Deryły na ręce miał tani japoński zegarek. Naprzeciw niego siedzieli Brzeski i Sikora. Obaj niegdyś zeznawali jako świadkowie w sprawie, którą prowadził, i chcieli to wykorzystać. Psychologiczna pobieżna znajomość mogła się przydać. Tworzyła podwaliny porozumienia. Obara zdawał się jednak zupełnie ich nie pamiętać. Nerwowo zerkał w stronę matowej szyby, wiedząc, że stoją za nią inni policjanci. Rzeczywiście byli tam Deryło i Bicki, gotowi w każdej chwili interweniować. Każdy na swój sposób.

Brzeski przyjął agresywną pozę. Komisarz nie drażył przyczyn jego porannej nieobecności, ale domyślał się rodzinnych problemów aspiranta. Mimo tego zaskoczył go szorstki, wręcz chropawy ton jego głosu.

– Obaj pańscy klienci związani ze sprawą nie żyją.

Adwokat gwałtownie się wyprostował.

– Co takiego? – Wydawał się głęboko zdziwiony. – Wrabiacie mnie? Rozmawiałem rano z Wiktorem Puzkiem i miał się całkiem dobrze.

– W takim razie nie można tego powiedzieć o pańskiej sytuacji.

Obara się skrzywił, jakby wpakowano mu do ust cytrynę.

– Co się z nim stało?

– Jeden z osadzonych podciął mu gardło. Wykrwawił się, nim ktokolwiek zdążył kiwnąć palcem.

– Boże...

Brzeski nie zamierzał dać mu czasu do namysłu.

– Co pan robił w kamienicy naprzeciwko katedry? – zapytał zniecierpliwionym tonem. – Nie muszę chyba podawać adresu.

– Słucham?

– Myślę, że dobrze pan usłyszał, mecenasie.

– To jakaś farsa.

Adwokat zacisnął usta, ale Brzeski jedynie z irytacją przyglądał się temu przeglądowi aktorskich min.

– Chodzi mi konkretnie o dwudziestego dziewiątego grudnia. Kilka minut po jedenastej w nocy.

– Pewnie byłem wtedy z żoną w łóżku...

– A jednak – aspirant zabębnił palcami w blat stołu – pańska żona twierdzi, że był pan wtedy na polowaniu. Przynajmniej tak jej pan powiedział.

Obara pstryknął palcami.

– O właśnie, pomyliły mi się dni. Pojechałem pod Lubartów.

– Z kim?

– Sam. W okresie świąteczno-noworocznym trudno znaleźć kompana.

Do przesłuchania włączył się Sikora. Najpierw łagodnie pochylił się nad stołem, wreszcie złapał spojrzenie adwokata.

– Upolował pan coś? – Jego ton był znacznie delikatniejszy niż Brzeskiego. – Ostatnio była pełnia.

– Nie... Akurat nie...

– To chyba się rzadko zdarza.

– Czy ja wiem.

– Będziemy musieli sprawdzić monitoring miejski. Którędy pan jechał?

Obara nerwowo rozejrzył się po pomieszczeniu. Nim zdążył odpowiedzieć, do akcji ponownie wkroczył Brzeski.

– Posiada pan zegarek marki Hamilton Ventura?

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

– Posiada pan taki zegarek czy nie?

– Naprawdę mam wiele zegarków, nie pamiętam wszystkich.

Aspirant uśmiechnął się sarkastycznie.

– Pokażę coś panu.

Wziął leżący obok siebie pilot i kliknął w stronę zawieszzonego monitora. Po chwili wyświetliło się na nim nagranie zakrętu Królewskiej i Wyszyńskiego. Postać w płaszczu pojawiła się w boku kadru. Aspirant wcisnął pauzę.

– Rozpoznaje pan tę osobę?

Obara zrobił się cały purpurowy. Żyła na jego skroni rytmicznie pulsowała.

– Nie.

– Jest pan przekonany?

– Przecież już powiedziałem.

– To proszę zobaczyć.

Brzeski puścił dalszy ciąg filmu. Zatrzymał go w chwili, kiedy mężczyzna wyciągał rękę, aby pchnąć drzwi.

– Widzi pan, co ta osoba nosi na przegubie dłoni?

– Pan żartuje. Z tą jakością nagrania?

– Nie żartuję. I doskonale pan wie, że nasi technicy w ciągu kilku dni zrobią z tego cholerne full HD.

– To bransoletka?

Brzeski gwałtownie poderwał się z miejsca. Uderzył otwartą dłonią w blat stołu.

– Do cholery, mecenasie! Zaraz przeszukamy pańskie mieszkanie i jak na niego trafimy, to będzie pan zajebiście udupiony. Prokurator zaraz klepnie wniosek i trzy miesiące w areszcie ma pan jak w banku.

Adwokat wymienił z nim długie spojrzenie. Siłowali się, sprawdzając, kto pierwszy spuści wzrok. Nagle z Obary jakby zeszło całe powietrze. Całkowicie zapadł się w sobie i ciężko oparł o poręcz krzesła.

– Wydaje mi się, że mam takiego hamiltona.

– Wiemy też, że był pan na terenie Ursusa.

– Mój Boże...

– Zaraz pobierzemy pańskie odciski palców i porównamy je z tymi ze znalezionych tam rzeczy.

Obara utkwiał spojrzenie w suficie. Pokiwał głową, jakby podjął jakąś decyzję.

– No dobra, zaraz wszystko wytłumaczę...

Deryło wolałby się przestyszeć. Nie był jednak ani przygłuchy, ani szajbnięty. Przynajmniej miał taką nadzieję. Zeznania Obary niestety trzymały się kupy. Próba wrobienia nieżyjącego podejrzanego i usprawiedliwienia zachowania własnych klientów była idiotyczna, ale możliwa. Spreparowane dowody mogły załatwić Wiktorowi Puskemu i Robertowi Wolskiemu niższe wyroki. A Obarze sporą popularność. Chciwość sukcesu przewyższyła ryzyko zaprzepaszczenia obiecującej kariery.

– Nie ruszyliśmy się z miejsca – Brzeski odezwał się, kiedy zeszli na parter. – Jak ostatni debile przez dwa dni ładowaliśmy się w ślepy zaułek.

Uleciała z niego nerwowość przesłuchania, po której pozostało jedynie ponure zagubienie. Zawsze sprawiał wrażenie delikatnego chłopca, ale tym razem wydawał się zupełnie rozbity. Toczyła go podstępna choroba.

– Musimy jeszcze raz zastanowić się nad tym, co mamy – ciągnął mechanicznym głosem. – Musi być jakiś ślad, jakiś błąd tego skurwysyna.

– Bicki chce zwołać popołudniową naradę.

– Nie pchniemy niczego naradami. On chce się po prostu wyżyć.

– Najwidoczniej nie spodobał mu się Lublin – zakpił Deryło. – Jest kawałem drania, ale robi, co może.

– Wszyscy przecież robimy. I co, do diabła, z tego?

Deryło nie mógł słuchać wisielczego tonu aspiranta. Fakt, byli w dupie, która zasysała ich jak czarna dziura, ale mówienie o tym niczego nie zmieniało. Brzmiało niczym powtarzanie przez stulatkę, że chciałby być młody. Pobożne życzenia.

– Co się u ciebie dzieje? – zapytał bezceremonialnie. – Potrzebujesz pogadać?

– O czym, komisarzy?

– Słuchaj. – Wziął Brzeskiego pod ramię i poprowadził korytarzem. – Nie jestem ślepy, żeby nie zauważyć, że coś jest nie tak. Nie chcę się wpieprzać, to nie moja sprawa, ale...

Aspirant wbił wzrok w podłogę.



- Daję sobie radę.
- Skoro to widzę, to nie do końca.
- Po prostu rano musiałem na chwilę wyjść coś załatwić.
- Jezus Maria, nie o to mi chodzi!

Brzeski zwolnił kroku.

- To tylko chwilowe problemy z żoną – bąknął. – Nic wielkiego.
- Problemów z żoną nie można nazywać tylko problemami. To zawsze hekatomb.
- Święta racja, ale staram się to zakończyć.

Słyszając znaczące chrząknięcie komisarza, natychmiast się wytłumaczył.

- Nie, broń Boże, nie małżeństwo. Mówię o problemach.

– Gdybym mógł pomóc... – Deryło uchwycił jego niechętnie spojrzenie. – No nic, teraz wracajmy do roboty. Pojadę ustalić, co się stało u czubków. Ty przejrzyj taśmy z aresztu. Reszta niech jeszcze raz przepokopie od początku zebrane dowody. Wszystko po kolei.

Klepnął Brzeskiego w ramię i skierował się do wyjścia. W myślach zganił się za włączenie w prywatne życie podwładnego. Może byli dobrymi znajomymi, a nawet kumplami, ale na pewno nie przyjaciółmi. Dopóki Brzeski nie przenosił prywatnych brudów na wydolność w pracy, powinien to olać. Doskonale wiedział, że nie zrobił tego tylko dlatego, że ciągle myślał o swojej rodzinie. Patologicznie problemy innych dawały mu poczucie normalności. Tego, że nie targał na barkach ciężaru nie do utrzymania.

Rano wymienił z żoną kilka esemesów. Miał nieustanne poczucie, że powinien do niej zadzwonić, ale coś go powstrzymywało. Nie chciał się przyznać, że się boi. Boi się tego, że znowu coś mogłoby iść nie po jego myśli. Łudząc się pozornym spokojem, wreszcie mógł się skupić na swojej robocie. Może sam chciał pogadać? Odwrócił się, ale na korytarzu nie było już Brzeskiego. I dobrze.

Zapiął płaszcz i wyszedł na zewnątrz. Ostre słońce odbijało się od śniegu, którego niesione wiatrem drobinki skrzyły się w powietrzu. W takie dni zima nabierała uroku. Uważał, żeby nie wyróżnić na oblodzonym chodniku. Ciec pewnie siedział w kanciapie i tankował coś na rozgrzewkę. Zszedł na ulicę.

Na parkingu stała wielka śmieciarka, mrugając światłami awaryjnymi. W tym momencie coś sobie uświadomił. Skojarzenie, które trzymał w tyle głowy, gwałtownie rozjaśniło umysł. Jak ostre słońce drobinki śniegu.

- Szlag! – zaklął, pędząc w stronę policyjnego parkingu.

Samochód Deryły był już w pełni sprawny. Pobrano sporo śladów, które w większości należały zapewne do komisarza i jego żony. Skoro nie stanowił dowodu, mógł go bez problemu odebrać. Starał się zapamiętać, żeby postawić technikom porządną flaszkę za wymianę felgi na koszt podatnika. Wgnieceniami na razie nie zamierzał się przejmować.

Szybko ustalił adres Byrcza i jak szalony popędził lubelskimi ulicami. Musiał działać sam. Gdyby jego domysły okazały się chybione, Bicki bez wątplenia odsunąłby go od sprawy. Cierpliwość naczelnika też miała swoje granice, a poza tym nie zamierzał stawać w nieskończoność w jego obronie. Tym razem Deryło strzelał całkowicie w ciemno. Skojarzenie mogło być chybione, opierał się jedynie na instynktownie podłapanym tropie rzuconym właśnie przez Byrcza. Nie. Nie zachowywał się racjonalnie.

Wieżowiec, przy którym zaparkował, był jednym z najwyższych w mieście. Powstał u schyłku lat dziewięćdziesiątych jako jedna ze sztandarowych inwestycji znanego dewelopera. W trakcie budowy spółka splajtowała i został wykończony tanim kosztem przez lokalnego biznesmena. Zamiast apartamentowca powstał dwunastopiętrowy klocek, niewiele odbiegający od punktowców z lat siedemdziesiątych. Jediną różnicą były całkowicie przeszklone klatki schodowe i dach przypominający zwieńczenie ogromnej pagody.

Do budynku prowadziły dwa wejścia. To od frontu znajdowało się pod nowoczesną wiatą, drugie dawało dostęp do mieszkań usytuowanych od strony małego parku. Deryło skierował się w stronę głównego wejścia. Energicznie wbiegł po kilku stopniach i zatrzymał się przed drzwiami. Oczywiście były zamknięte. Nerwowo szarpnął klamkę, ale nic to nie dało. Na chybił trafił nacisnął guzik domofonu.

Po chwili usłyszał zirytowany głos kobiety. Najwyraźniej nie lubiła niespodziewanych gości.

– Słucham?

– Deryło, policja, proszę otworzyć.

Zapadła chwila ciszy. Zdawał sobie sprawę, że na takie słowa większość ludzi dokonywała błyskawicznego rachunku sumienia.

– Muszę wejść na klatkę – dodał z naciskiem.

Rozległo się brzęczenie i odgłos odkładanej słuchawki. Pchnął drzwi.

Przedsiemek klatki schodowej zawieszony był obwieszczeniami zarządu budynku. Zakazy palenia, zakazy śmiecenia, numery alarmowe, prawdziwa litania obowiązków i pouczeń. Posadzka z lastryko lśniła, zdradzając pochodzenie smrodu pasty polerskiej. Wysprzątanie całego budynku musiało kosztować mnóstwo roboty.

Deryło z zadowoleniem dostrzegł drzwi z wielkim szyldem wskazującym, że znajduje się za nimi biuro administratora. Oczywiście na domofonie nie było o takowym żadnej informacji. Dni i godziny przyjęć wydrukowano pogrubioną czcionką. Nie zgłębiając wzmianki o przerwie, bez pukania nacisnął klamkę.

Wszedł do maleńkiego pomieszczenia, w którym poza gąszczem juk i metalową szafką znajdowało się jedynie biurko. Kobieta w nieokreślonym wieku wychyliła się zza monitora.

– Słucham? – usłyszał ten sam głos, który dobiegł go przez domofon. Najwyraźniej przypadkowo wybrał wtedy numer administracji.

– Komisarz Deryło, policja.

– Tak, domyśliłam się. Chciał pan wejść na klatkę.

– Muszę porozmawiać z zarządcą budynku.

Kobieta głośno westchnęła i poprawiła okulary.

– Właśnie pan rozmawia.

Deryło wyminął jukę i podszedł do biurka. Z bliska mógł stwierdzić, że jego rozmówczyni ma około czterdziestu lat, trójkątną twarz i bujny biust. Musiała dostrzec jego spojrzenie, bo odruchowo sięgnęła do ostatniego guzika pudrowego sweterka – Ile zsyków na śmieci jest w budynku?

Kobieta podniosła ze zdziwieniem brwi.

– Dwa – odezwała się po chwili. – Każdy dla oddzielnego pionu.

– Którędy przebiegają?

– Przy windach. Powie mi pan, o co chodzi?

W podstawówce Deryło przyjaźnił się z chłopakiem mieszkającym w punktowcu na LSM-ie. Dla kogoś, kto spędził całe życie w niewielkim bloku, wieżowce stanowiły zaczarowany świat. Setki mieszkań, wielkie piwnice, a do tego ciemne zakamarki były doskonałym tłem dla niekończących się zabaw. Przypominające drzwiczki do pieca zrzutnie na śmieci stawały się ich idealnym rekwizytem. Odgłos spuszcanych w ich czeluściach worków utkwiał na dnie świadomości komisarza. Wystarczyło wyłowić go z nagrania wideo i tła rozmowy. Tylko jakim cudem mógł go usłyszeć, skoro Cztery Iks dzwonił z budki telefonicznej? Na szukanie odpowiedzi miał jeszcze czas. Teraz musiał działać.

– Czy w budynku są jakieś pomieszczenia techniczne? Magazyny, suszarnie albo coś podobnego?

– Tak, w piwnicy i na strychu.

– Proszę mi je pokazać.

Administratorka niechętnie wstała zza biurka i sięgnęła po pęk kluczy schowany w szufladzie. Była zgrabniejsza, niż się spodziewał. Bez słowa minęła komisarza i wyszła na korytarz.

– Idzie pan?

Deryło poszedł za nią w stronę głównego holu. Dwie przeszklone windy stanowiły najnowocześniejszy element budynku. Jeszcze bardziej zadęty niż pagodowy dach.

– Zjeżdżają do piwnicy?

– Na podziemny parking. Tam jest też suszarnia i pomieszczenie gospodarcze, mieszkańcy trzymają w nich stare meble, doniczki, ogólnie bałagan.

Przywołana na górę winda poruszyła się z wyraźnym rżeniem. Jej odgłos z pewnością zagłuszyłby dźwięk wyrzucanych śmieci. Co więcej, byłby częstszy i łatwiejszy do wychwycenia. Pomieszczenie przy parkingu odpadało, skoro często go używano. Deryło nacisnął guzik przy rozsuwanych drzwiach.

– Pojedźmy na górę.

Kobieta głośno westchnęła. Nie ukrywała, że oderwanie jej od siedzenia przy komputerze jest barbarzyńskim zawracaniem głowy. Przejawem opresyjności państwa i jego aparatu. Kiedy weszli do windy, ostentacyjnie odwróciła się w stronę lustra. Deryło zwrócił uwagę na czarną puszkę kamery.

– Jest jeszcze gdzieś w tym budynku monitoring?

– Nie.

Było to jedyne, co administratorka wypowiedziała przez kilkadziesiąt sekund, nim dojechali na ostatnie piętro. Znajdowały się tam dwa mieszkania, najwyraźniej o sporej powierzchni. Obok szybu windy zamontowany był zsyp na śmieci. Zaraz za nim pięło się kilkanaście schodków prowadzących na strych. Wyżej było już tylko chińskie sklepienie.

Deryło ruszył na górę.

– Tam nie ma niczego ciekawego. – Kobieta z ociąganiem poszła za nim.

– Gospodarcza klatka, której nikt nie używa.

Komisarz przyspieszył kroku.

– Czegoś takiego właśnie szukam.

– I nikt z tego nie korzysta?

– Nie. Pierwotnie miał się tu znajdować poddaszowy penthouse, ale inwestorowi nie starczyło środków.

Mimo że na najwyższym poziomie nie było mieszkań, zainstalowano tu klapę do zsypu. Tuż obok tkwiły dyktowe drzwi. Do tego miejsca nie dochodził najdrobniejszy odgłos poruszającej się windy. Deryło nacisnął klamkę, ale zamek nie ustąpił.

– Może pani otworzyć?

– Chwileczkę...

Kobieta przebrała pęk kluczy i bezradnie rozłożyła ręce.

– Dziwne, wydawało mi się, że do tych drzwi nie było rygla.

Spróbowała wsunąć kilka kluczy po kolei, ale żaden nie pasował. Deryło przyjrzał się mechanizmowi. Był to prosty, ale solidny zamek. W przeciwieństwie do kruchych, niepozornych drzwi. Miał przecucie, że trafił we właściwe miejsce. Dreszczyk adrenaliny stłumił pieczenie w boku. Nie zamierzał czekać na ślusarza albo jednostkę z taranem. Było za wcześnie, żeby zawiadomić Bickiego.

– Proszę się odsunąć.

Kiedy administratorka odeszła na bok, z impetem uderzył barkiem w drzwi. Poczul, że odginają się od framugi, ale zamek nie ustąpił.

– Co pan!

– Na koszt podatnika.

Przy drugim i trzecim uderzeniu dykta zatrzeszczała, wciąż jednak wytrzymując natarcie. Deryło poczuł ból barku. Nie nadawał się do tej roboty jak dawniej. Niech społeczeństwo się dalej buntuje, że mundurówce przysługują wcześniejsze emerytury. Recydywistów będą ścigać zastępy na wózkach inwalidzkich.

Odsapnął, lekceważąc ganiące spojrzenie kobiety.

– Niech to szlag!

Chcąc oszczędzić bark, kilka razy kopnął w okolice klamki. Nagle języczek zamka obluzował się i wygiął, pozostawiając drzwi lekko uchylone. Teraz wystarczyło jedynie mocniejsze pchnięcie. Dwa lżejsze kopniaki dokonały dzieła. Dykta rozerwała się, a elementy mechanizmu z brzęknięciem upadły na podłogę.

Administratorka aż drgnęła. W jednej chwili uleciała z niej złość za wandalizm komisarza, a zastąpiła ją zwykła ciekawość. Przepchnęła się w stronę wejścia, ale Deryło ją zatrzymał.

– Ja wchodzę, a pani zostaje na zewnątrz. Rozumiemy się?

Skinęła głową, starając się zerknąć ponad jego ramieniem.

Czujnym krokiem, napinając wszystkie mięśnie, wśliznął się do środka. W pomieszczeniu znajdowało się jedynie prostokątne okno pod samą więźbą dachową. Wpuszczało niewiele

światła, ale od razu zobaczył leżący w rogu materac. Przykryty był grubym wełnianym kocem. Tuż obok niego stała niewielka plastikowa miska. Mimo że była opróżniona, od razu zrozumiał, że służyła za nocnik.

Pośrodku na statywie umieszczono niewielką kamerę cyfrową, której czerwona lampka wskazywała stan uśpienia. Bingo. Ściana naprzeciw została zakryta czarnym materiałem, przymocowanym grubą taśmą. To tu zostało nakręcone nagranie, które znalazł w kamienicy.

Deryło nerwowo przełknął ślinę. Czuł, że pot oblepia mu ręce, a serce pompuje krew ze zdwojoną siłą.

– Co to jest, u licha?

Niemal podskoczył na odgłos słów tuż za sobą. Administratorka oczywiście weszła za nim do środka.

– Proszę natychmiast stąd wyjść. – Odwrócił się do niej i skinął w stronę drzwi. – To miejsce musi zostać zabezpieczone.

– Ale...

– Natychmiast!

Delikatnie popchnął kobietę w stronę korytarza. Kręcąc głową, niechętnie wyszła.

Deryło zerknął na betonowe ściany i ostrożnie odkleił czarny materiał. Dopiero po chwili zauważył wąskie drzwi w samym rogu pomieszczenia. Zaczepnął powietrza i przez rękaw płaszcza nacisnął klamkę. Nie były zamknięte, nie miały nawet zamka. Po drugiej stronie znajdowało się awaryjne dojście do wind i drabina pożarowa. Doskonała możliwość ucieczki. Kanał zsypu śmieci przylegał bezpośrednio do ściany, tłumacząc intensywność odgłosu i niesionego echa.

Cofnął się do pomieszczenia. Poza dostrzeżonymi wcześniej przedmiotami wydawało się zupełnie puste. Technicy powinni mieć niewiele roboty. Pochylił się nad materacem, kiedy usłyszał szurnięcie przy wejściu. W progu znowu pojawiła się administratorka. Miał ochotę zerwać się i przykuć ją do kaloryfera na korytarzu. Najlepiej z biustem dociśniętym do jego żeberek.

– Ktoś idzie – szepnęła konspiracyjnie. – Pewnie jakiś sąsiad usłyszał hałas i...

Deryło błyskawicznie się podniósł. Szybko ruszył w stronę kobiety, która chciała uchylić szerzej drzwi. Niefortunnie resztkę zamka wysunęła się i z łoskotem upadła na posadzkę. Niemal w tej samej chwili usłyszał odgłos szybkich kroków na klatce.

– Cholera!

Rzucił się do schodów, ale już nikogo na nich nie było. Rozległo się piknięcie rozsuwających się drzwi windy na piętrze poniżej. Deryło, przytrzymując się poręczy, przeskakiwał po kilka schodków. W chwili gdy znalazł się na właściwej kondygnacji, winda ruszyła. Kantem dłoni uderzył o przycisk przywoływania, ale już nie mógł jej zatrzymać. Przeszkłona kapsuła zjeżdżała na dół.

Na ułamek sekundy wstrzymał oddech. Jego spojrzenie spotkało się z przenikliwym wzrokiem Józefa Dycza. Mężczyzna był ucharakteryzowany, ale Deryło poznał go od razu.

Z wzajemnością.

Ewa Deryło otworzyła drzwi do mieszkania. Zawsze lubiła jego zapach. Będąc w nim na co dzień, nie czuła go, ale kiedy wracała po kilku dniach nieobecności, niezmiennie napawał ją spokojem. Postawiła torbę na podłodze i starannie przekręciła wszystkie zamki. Upewniła się, że drzwi są zaryglowane. Antywłamaniowa gerda dawała zasadne poczucie bezpieczeństwa. Już przed laty jej mąż bez mrugnięcia okiem wydał na nią dwie swoje pensje.

Miały wrócić dopiero następnego dnia, ale profesor Wilewicz zaoferował im podwózkę. Eryk nie odbierał telefonu, więc sama podjęła decyzję. Wiedziała, że będzie robił jej wymówki, lecz w końcu zrozumie. Zawsze był uparty i nadmiernie troskliwy. Jakoś sobie poradzą. Co więcej, psychiatra zaproponował Wiktorii dalszą terapię, którą powinna niezwłocznie kontynuować. Obiecały mu, że nigdzie nie będą wychodzić i pozostaną czujne. Mimo tego odprowadził je prawie pod same drzwi.

– Obstawiam, że lodówka jest zupełnie wymieciona. – Ewa uśmiechnęła się do córki. – Najwyżej zamówimy pizzę.

– Nie jestem głodna.

Co prawda, na trasie zatrzymali się na szybki obiad, ale lakoniczna odpowiedź Wiktorii wzbudziła w niej niepokój.

– Na pewno? Nic a nic?

– Nie, ani trochę. Może później.

– Musisz trzymać formę.

– Mamo, naprawdę, nie martw się. – Wiktoria przepchnęła swoją walizkę w stronę pokoju. – Po trzech godzinach jazdy żarcie wróciło mi prawie do gardła.

Chyba niepotrzebnie doszukiwała się podtekstu w nieistotnych szczegółach. Ukradkiem odetchnęła. W tym momencie zobaczyła rozbitą szklankę na podłodze w salonie. Wokół niej utworzył się mokry zaciek. Eryk od lat pijał naprawdę okazjonalnie. Po alkohol sięgał jedynie przy większych uroczystościach lub kiedy miał paskudny dzień w robocie. Używał przy tym dosadniejszych słów. Nigdy jednak nie zrobił takiego pobjowiska, jakie panowało teraz wokół. Zmięty koc, niedbale odstawiona butelka, rozbita szklanka i telewizor przełączony w stan czuwania. Jak na pretendującego pedanta prawdziwe pandemonium.

Podeszła do odtwarzacza DVD i wyjęła płytę. Była niepodpisana, ale domyśliła się, że wiąże się z prowadzonym śledztwem. Nie chciała jej widzieć. Pospiesznie wsunęła ją do obwoluty i wrzuciła na samo dno szuflady.

– Mamo, co robisz?

Drgnęła. Poczuła się jak włamywacz we własnym domu.

Powoli podniosła się i zebrała największe fragmenty szkła. Szklanka rozpadła się na kilka części.

– Wygląda na to, że ojciec potrzebuje nas bardziej, niż sądziłam.

Wiktoria pomogła jej wybrać mniejsze okruchy i zaniósł je do kuchni.

– Niewiele kojarzę z tego wieczoru, kiedy przyjechał do Ełku. Ale pamiętam, że nigdy nie widziałam go tak zestresowanego.

Ewa uświadomiła sobie, że nie zwróciła nawet na to uwagi. Była zbyt przejęta córką, żeby okazać odrobinę wsparcia mężowi.

Energicznie otworzyła lodówkę i wydała z siebie okrzyk odrazy. Zostawione niemalże w całości wigilijne potrawy były prawie nieruszone. Zaczynały śmierdzieć, mieszając się z innymi aromatami. Nie ubyło praktycznie niczego poza sałatką jarzynową, którą Deryło przełożył do miseczki.

– Trzeba tu zrobić porządek...

– Zaraz ci pomogę.

Wiktoria zdjęła płaszcz i powiesiła go do szafy.

– Poradzę sobie.

– Mamo...

– To zajmie chwilę.

– O nie, nie traktuj mnie jak niepełnosprawnej!

– Wcale tego nie robię, ale...

– Ale? Ale co?

Ewa w porę ugryzła się w język. Tak prowadzona rozmowa mogła doprowadzić jedynie do kłótni.

– Ale tu naprawdę nie ma dużo roboty – powiedziała łagodnie.

– Nie to miałaś na myśli. Skaczesz nade mną jak nad upośledzoną.

– Co za piękne porównanie.

– Bo tak jest! Wiem, że się martwisz, ale to już cholerna przesada.

Wymianę zdań przerwał dzwonek telefonu. Krótki i drapieżny. Już dawno miały zlikwidować numer stacjonarny, ale Deryło ciągle się sprzeciwiał. Traktował go jako element archaicznego świata, z którym nie chciał się pożegnać. Mimo wszystko został zastrzeżony i niemalże nigdy z niego nie korzystali. Akwizytorzy nie mieli do niego żadnego dostępu.

Wiktoria spojrzała na matkę.

– Odbiorę.

Ruszyła w stronę przedpokoju, ale Ewa ją powstrzymała.

– Nie. Zostaw to!

– Dlaczego? Przecież to tylko telefon?

– Po prostu nie odbieraj. Proszę cię o to.

Dzwonek przypominał jej okropne rżenie.



Deryło z całej siły walnął w guzik przywołujący windę, ale była to tylko strata czasu. Kabina nieuchronnie zjeżdżała na dół. Rzucił się w stronę schodów i przeskoczył je w kilku susach. Kątem oka zerknął na cyfrowy wyświetlacz. Był o jedno piętro za wolny. Ślizgając się i dysząc z wysiłku, pędził klatką schodową. Przy każdym poziomie winda oddalała się coraz bardziej. Kiedy wypluwając płuca, znalazł się na trzecim piętrze, wyświetlacz wskazywał parter.

– Kurwa!

Podbiegł do okna. Szybko znalazł to, z którego widoczne było wejście do budynku. Nikogo przy nim nie było. W nieodległym parku kilkoro dzieci lepiło bałwana. Osiedlowy sprzątac rozsypywał z taczki piasek, znacząc nim żółte ślady w śniegu. Józef Dycz najwyraźniej nie wyszedł z wieżowca. Albo wymknął się inną drogą.

Wyszarpał z kieszeni komórkę. Zlekceważył powiadomienie o nieodebranych połączeniach i wybrał pole klawiatury. Lepkie od potu palce ślizgały się po ekranie, wybierając niechciane numery. Dopiero za trzecim razem wstukał poprawny.

– Tu, Deryło! – Nie panował nad tonem swojego głosu. – Poszukiwany Józef Dycz jest w okolicy kwartału Kraśnicka–Nałęczowska. Być może w wieżowcu Vikarius. Ściągnijcie tu wszystkich!

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Zerknął w stronę wyświetlacza windy. Poziom zero zamienił się w minus jeden. Czy to możliwe, żeby ksiądz zjechał na podziemny parking?

Przestępując z nogi na nogę, obserwował jeszcze przez chwilę wejście. Jeżeli obie klatki miały połączenie, na pewno to wykorzystał. Z okna nie było widać przejścia do budynku od strony parku. Deryło nerwowo spojrzał na wyświetlacz. Winda nadal pozostawała na najniższym poziomie.

Zrezygnowany, zbiegł po schodach. Kiedy minął parter, jeszcze raz rozejrzał się po holu. Nie było w nim nikogo. O tej porze większość mieszkańców musiała być jeszcze w pracy. Przez chwilę nasłuchiwał, ale dobiegł go jedynie monotony dźwięk wiadomości radiowych. Starając się poruszać możliwie najciszej, zszedł na parking. Był stosunkowo niewielki, zapewne miejsca przypisano jedynie do niewielkiej części mieszkań. W tym momencie znajdowało się na nim co najwyżej dwadzieścia pojazdów.

Ostrożnie obszedł wielkiego chryslera i przystanął. W sztucznym, intensywnym świetle rozmywały się wszystkie cienie. Położył się na ziemi i popatrzył pod najbliższymi autami. Pusto.

Nagle usłyszał ciche trzepotanie. Nie mógł rozpoznać źródła dźwięku, ale dobiegał z części przysłoniętej rzędem filarów. Obszedł je, idąc wzdłuż ściany, i przystanął, nasłuchując. Trzepotanie się powtórzyło. Wstrzymywane powietrze piekło go w płucach. Gwałtownym

zrywem wypadł z za betonowej kolumny i znalazł się za starą dwukołową przyczepką. Była okryta niebieską plandeką, której zaczepy zostały z jednej strony rozpięte.

Dzieliło go od niej kilka kroków. Przekradł się wzdłuż jej boku, ciągle nasłuchując. Przyczepka nie została połączona z żadnym pojazdem, więc zatrzymał się u jej frontu.

Nagle plandeka znów zatrzepotała i coś wysunęło się spod jej powłoki. Szybko i nieoczekiwanie.

Kot. Pieprzony kot.

Mróz powoli studził jego emocje. Z dłońmi założonymi pod pachami stał obok radiowozu. Pojazd techników zaparkowano kilka metrów dalej, niemal przy samej klatce wejściowej. Dziesiątki policjantów przeczesywały okolicę, kolejnych kilkunastu znajdowało się w wieżowcu. Jak dotąd bez żadnych rezultatów. W okolicy zebrało się już wielu gapiów i pierwsi dziennikarze.

Brzeski z daleka skinął do niego głową. Po raz kolejny inspektor przydzielił ich do zabezpieczenia terenu. Nie mieli jeszcze czasu porozmawiać, ale Deryło spodziewał się solidnej awantury.

Aspirant podszedł do policyjnego opla.

– Wydzwaniałem do komisarza od godziny. Nawet na numer domowy.

– Co było tak pilnego?

– Bicki wysłał kogoś do ośrodka psychiatrycznego. Chciałem poinformować, że nie ma sensu tam jechać. Pomyślałem, że mógł pan po coś skoczyć jeszcze do mieszkania, na przykład po zapomniany telefon czy coś...

– Wybacz, ale nie miałem czasu się nim zajmować.

– Załatwić panu kawę?

– Chcesz, żebym padł na zawał? Nie nadaję się już do biegania po kilkunastu piętrach. Za coś takiego powinienem dostać od razu rentę. – Deryło głośno sapnął i machnął z rezygnacją ręką. – No dobra, dawaj tę kawę.

Brzeski obrócił dosłownie w ciągu kilku sekund. Podał komisarzowi kubek gorącego napoju. Według wszelkiego prawdopodobieństwa technicy mieli w swoim wozie ekspres, a on utrzymywał z nimi głębsze relacje. Odezwał się do Deryły, obserwując teren wokół budynku.

– Jak pan, u licha, tu trafił?

– Nie tylko ten skurwiel ma dobry słuch.

Brzeski nie rozumiał. Popatrzył na komisarza, spodziewając się dalszych wyjaśnień.

– Długo nie mogłem skojarzyć, co za odgłos słyszałem w tle rozmowy.

Nie mógł mu powiedzieć o kasecie wideo. Dręczyły go wyrzuty sumienia, że utajnił jeden z dowodów, ale po prostu nie mógł tego zrobić. Śledztwo nie mogło dotknąć po raz kolejny jego prywatnego życia.

Od dalszych wyjaśnień, przynajmniej chwilowo, zwolnił go dźwięk krótkofalówki. Technicy na bieżąco meldowali o swoich postępach. Był to jeden z nowatorskich wymysłów Bickiego, mający usprawnić współdziałanie służb. Szpanerski gadżet.

– Pod materacem znaleźliśmy urządzenie przekierowujące – zaskrzeczał młody głos. – To fabryczny ATK, pięćdziesiątka dwójka.

Deryło otworzył szerzej drzwi do radiowozu i sięgnął po nadajnik.

– Nic mi to nie mówi – rzucił oschle. – Można jaśniej?

– Używa się go do podmieniania sygnału telefonicznego. Wystarczy złapanie wolnego

łącza i można się podpiąć pod dowolny numer.

To ciekawe.

– Czyli dzwoniąc z komórki, można podszyć się pod numer budki telefonicznej? – dopytał. – O to chodzi?

– Jeśli jakąś pan znajdzie.

A więc miał odpowiedź na kolejne pytanie. Skoro urządzenie było, jak to ujął technik, „fabryczne”, to pewnie z łatwością można je było ściągnąć z Chin. O dziwo, wszystko, co nie było bronią i narkotykami, bez problemu przechodziło przez granicę. No chyba że chodziło o skóry zwierząt chronionych przez Unię. Te znaczyły tyle ile skrzynka nitrogliceryny.

Wsiadł do auta i upił łyk kawy. Nie zamknął drzwi, wciąż rozpalony emocjami. Brzeski stał przy radiowozie niczym wykuty z brązu posąg. Wpatrywał się w bryłę wieżowca, jakby chciał ją przejrzeć na wylot. Deryło zastukał palcem w szybę.

– Powiedziałaś, że ktoś był w ośrodku psychiatrycznym.

Aspirant nawet się nie odwrócił.

– Tak – prawie krzyczał, żeby komisarz mógł go usłyszeć. – Wszystko poszło jak najgorzej. Świr, który pocałował Wiktora Puszkę, jest niemową odklejonym od rzeczywistości.

– A nagrania monitoringu?

– Ciągłe czekamy. Dyrektor nie wiedział też nic o ewentualnych wizytach księdza. Nie są rejestrowane tak rygorystycznie jak w areszcie.

– Czyli lipa.

Deryło wsunął kubek kawy do samochodowego uchwytu. Chyba naprawdę nie powinien jej pić. Mimo kostniejących palców rąk czuł, że jego plecy oblewa gorący pot. Rozpiął górny guzik koszuli i dotknął lodowatą dłonią karku. Przyniosło to chwilową ulgę.

Krótkofalówka znowu zaszumiała.

– Mamy coś ciekawego – odezwał się ten sam głos co poprzednio. – Jest tam pan, komisarzu?

– Jestem. Mam, do cholery, zgadywać?

– Za chwilę ktoś do pana zejdzie. Niech pan zaczeka w radiowozie.

Jakby się miał gdziekolwiek stąd ruszać. Nie zdążył tego powiedzieć, bo technik się rozłączył.

Schowal ręce do kieszeni i otarł z nich pot. Dotknięcie srebrnej monety tym razem nie przyniosło żadnego ukojenia. Mechanicznie wziął ją w dłoń, ale nie obrócił pomiędzy palcami. Te były jak kołki.

Tępo wpatrywał się w drzwi wejściowe. Dwójka posterunkowych perswadowała jakiemuś dziennikarzowi, że nie może dostać się do środka. Kamerzysta z pełną determinacją filmował zajście. A nuż zdobędzie haki, by zmontować sensacyjny materiał.

Po chwili drzwi otworzyły się i z klatki wyszedł technik w stroju roboczym. Miał jedynie zsunięty kaptur. Zlekceważył wyciągany w jego kierunku mikrofon i potruczał do radiowozu. Deryło go nie znał. W ogóle słabo kojarzył najświeższy narybek, nie wspominając o kryminalistykach.

– Panie komisarzu. – Mężczyzna minął Brzeskiego i zatrzymał się tuż przy drzwiach radiowozu. – Chciałem to niezwłocznie pokazać.

Podał Deryle zabezpieczoną folią kartkę papieru. Znajdowało się na niej kilka napisanych odręcznie linijek. Komisarz pospieszenie przeleciał po nich wzrokiem.

Wszystko jest takie samo, ale nie to samo. Wszystko jest na odwrót. Czy to się nie wyklucza, mój drogi Komisarzu? Za sobą samym stoję już nie ja sam, ale odbicie moje. Cóż za poezja. Zupełnie jak w lustrze, prawda? Pamięta Pan swoje odbicie w zwierciadłach weneckich? Nie różniło się

niczym od odbicia w pozostałych taflach szkła. A jednak było inne. A jednak miało drugą stronę. Jak to wspaniale ujął Lewis Carroll, „po drugiej stronie lustra”. Może Pan nie wierzyć, ale właśnie to miał na myśli. List był najwyraźniej niedokończony. Napisano go ciasnym, drobnym pismem, jakby chcąc wykorzystać możliwie najwięcej miejsca, tymczasem ponad połowa kartki pozostała pusta. Nie było także podpisu.

– Co pan o tym sądzi, komisarzy?

– Nie wiem. Po prostu, kurwa, nie wiem.

Przekleństwa coraz płynniej przechodziły mu przez gardło.

Inspektor Bicki okazał się zadziwiającym pragmatykiem. Zamiast zrobić Deryle jakiegokolwiek wyrzuty z powodu samodzielnie podjętych działań, odniósł się do niego pobłażliwie. W miejsce popołudniowej narady zwołał jednak konferencję prasową, chcąc oznajmić, jak blisko schwywania Cztery Iksa znalazły się służby. Odpowiednio podane informacje powinny nieco uspokoić opinię publiczną. Przede wszystkim mógł pokazać, że policja nie próżnuje, a pod jego dowództwem wręcz odnosi sukcesy. Finalny tryumf musiał być jedynie kwestią czasu.

Wszystko zostało zorganizowane w błyskawicznym tempie. Poza inspektorem na konferencji miał brylować Malczewski. Komisarz oczywiście nie został na nią zaproszony. Cieszył się jednak, że jego kontakt ze złotoustym prokuratorem w ostatnich dniach niemalże się urwał. Naczelnik Knap swoim zwyczajem usunął się w cień. Nie dość, że jego funkcja była formalnie utajniona, to przezornie starał się nie wychylać. Dzięki temu całe polityczne naciski skupiały się o stopień niżej. Wymarzona sytuacja.

Deryło zaszył się w swoim gabinecie i oczekiwał na rozwój wydarzeń. Żałował, że kilka lat temu zrezygnował z zamontowania telewizora. Z chęcią popatrzyłby na pokaz bufonady obracającej fiasko w spektakularny sukces.

W zamyśleniu wyjął z szuflady ryzę kwadratowych kartek i po kolei zamieniał je w papierowe żurawie. Robił to automatycznie, niemalże nie patrząc na dłonie, przez co nawet jeżeli mu wychodziły, przypominały raczej pokraczne samolociki. To nie miało znaczenia. I tak każdy z nich trafiał zaraz do kosza.

Kiedy rozległo się pukanie, szybko przeciągnął palcem po krawędzi papieru. Niefortunne zagięcie rozcięło opuszkę.

– Wejść.

Otarł krew o kartkę.

Brzeski sztywnym krokiem wparadował do gabinetu.

– Informatycy potwierdzili, że połączenie do komisarza zostało przekierowane – oznajmił bez ogródek. – Mają spróbować namierzyć właściwy telefon, ale obstawiam, że od dawna leży w jakimś śmietniku.

Deryło otarł piekące oczy i popatrzył na podwładnego. Aspirant wyglądał żałośnie. Był przygarbiony, a jego łagodne rysy twarzy wyostrzyły się, uwypuklając wewnętrzne napięcie.

– Jak chcesz, wracaj do domu. – Nawet nie skomentował podanej informacji. – Na razie znowu stoimy w miejscu.

– W tej norze zabezpieczono mnóstwo śladów.

– Odciski palców? Już je mieliśmy.

– Sprawdzamy monitoring okolicznych sklepów, inspektor ściągnął psy i zorganizował śmigłowce. Upubliczniliśmy jego aktualny wizerunek. To już coś.

Deryło uśmiechnął się ironicznie.

– Daj spokój. Jego już tam nie ma. Jak nie chcesz wracać do domu, to twoja sprawa, ale nie rób ze mnie naiwnego dziada.

– Sam pan to powiedział, komisarzu. – Brzeski podszedł do samego biurka. – Niech pan włączy dysk wydziałowy.

– Co tam niby jest?

– W znalezionej kamerze zainstalowano pamięć przenośną z nagranyymi dwoma filmikami. Przesłałem je na wewnętrzny serwer.

Deryło sięgnął po kolejną kartkę papieru, ale jej nie oderwał.

– Co na nich jest?

– Zdążyłem przejrzeć je tylko pobieżnie.

– I?

– Lepiej niech pan sam to zobaczy.

Deryło zniecierpliwionym ruchem przyciągnął klawiaturę. Po wigilijnej akcji i przyplwywie jego wkurwienia wyładowanego na tym, co miał pod ręką, ktoś musiał wstawić na miejsce klawisze. Albo podpiąć ją od innego komputera.

Wyszukał folder i uruchomił nagranie. Było dobrej jakości, lecz pozbawione dźwięku.

– Padły mi głośniki?

– Nie. – Brzeski nachylił się za jego plecami. – Już to sprawdzałem, film jest wyciszony.

Kamera została wycelowana w kierunku spętanego sędziwego człowieka. Obraz przybliżono, zajmował niemal cały kadr. Więzy uniemożliwiały starcowi jego opuszczenie. Nagle na wygięte plecy spadły razy wymierzone metalowym prętem. Nie było widać uderzającego, za to skulona sylwetka wiła się, cały czas pozostając na celowniku kamery. Nagranie trwało niecałe trzy minuty. Sprzęt został wyłączony, kiedy zmaltretowane, roztrzaskane ciało zastygło w bezruchu.

Deryło przez chwilę patrzył w ekran, wreszcie uruchomił drugi plik. Gdzieś w szufladzie miał upchniętą buteleczkę ginu. Powstrzymał się przed jej wyciągnięciem.

Również ten film był niemy. Kamera poruszała się, objeżdżając przytwierdzone do krzeseł zwłoki dwóch osób. Widok pozbawionego skóry ciała napawał obrzydzeniem. Wystawy organizowane na całym świecie przez Gunthera von Hagensa nagle nabierały waloru najestetyczniejszej sztuki. Gnijące zwały tłuszczu, poharatane mięśnie i przecięte ścięgna mogły wywołać mdłości u najbardziej odpornych. Gwałtowne ujęcie nabrzmiałej, opuchniętej twarzy topielca przypominało przełączenie hard porno na jedynie wulgarny film erotyczny.

Deryło wypuścił powietrze. Czarny ekran obwieścił koniec nagrania.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że przez cały czas nerwowo zaginał kartkę papieru. Była pokreślona wciąż sączącą się z jego palca krwią. Podobnie jak klawiatura.

Brzeski wyprostował się, opierając dłoń o blat biurka. Przez dłuższą chwilę nie zamienili nawet słowa.

Komisarz wyłączył program i wpatrywał się w ikony pulpitu. Stare raporty, które dawno powinien usunąć, kilka aplikacji, których nigdy nie użył, a na samym dole pasjans.

– Zidentyfikowaliśmy ofiary? – zapytał, kiedy ekran przełączył się w stan uśpienia.

Brzeski rozprostował palce i strzelił stawami.

– Oprócz tego bez skóry, jeszcze nie.

– Pewnie to świeże sprawy. Znamy konkretną datę nagrań?

– To pierwsze jest z wczoraj, a kolejne sprzed paru dni. Tak przynajmniej wynika z informacji o pliku, ale te mogły być modyfikowane. Informatycy już nad tym pracują.

– Nic nie zgrzyta ci w tych filmikach? Nie masz wrażenia, że...

Deryło zamyślił się. Przez chwilę spoglądał na swoje odbicie w wygaszonym ekranie.

– Chodzi panu o coś konkretnego, komisarzy?

– Może się mylę, ale... – zmiął kolejnego żurawia i wyrzucił go do śmietnika – tu nie ma żadnego przekazu. We wszystkich wcześniejszych listach albo nagraniach zawsze był konkretny podtekst.

Skrzywił się, zdając sobie sprawę, że użył słowa „nagrania” w liczbie mnogiej. Brzeski nie zwrócił na to jednak uwagi.

– Tu mamy tylko pocięty zapis dwóch morderstw. Bez żadnego komentarza, nawet bez dźwięku. Zwykle gównu, którym można szokować nastolatków.

– Pewnie jeszcze tego nie skończył.

– Być może, ale mam wrażenie, że ten materiał miał nigdy do nas nie trafić.



Musiał wszystko przyspieszyć. Zamyśl rozłożony na całe tygodnie należało zamknąć w ciągu kilku dni. Nie przejął się tym. Plany były po to, aby je modyfikować. Tak naprawdę czas nie miał żadnego znaczenia. Być może chodziło o symbol, ale czy przy tym, co robił, ktokolwiek zwróciłby na niego uwagę? Zupełnie jak żydowskie samospalenie w Auschwitz. W ogromie śmierci pozostałoby niewartym zapamiętania wybrykiem.

Do czwartego wieku za datę narodzin Chrystusa uważano dziewiętnasty kwiecień. Dopiero wtedy, aby przyciągnąć rzymskich heretyków, uznano, że Boże Narodzenie winno się świętować dwudziestego piątego grudnia. W dniu dotychczasowych obchodów narodzin Mitry, boga słońca. Wielkanoc, wspaniałe święto zmartwychwstania, obchodzona jest w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca, czyli w czternastym dniu miesiąca nisan według kalendarza hebrajskiego. Symbole zastępowano symbolami. Nie miały znaczenia.

Pokrzepiony tymi myślami, zatrzymał się na skraju drogi. Dalej był już tylko las. O tej porze przypominał czarną, upiorną masę poskręcanych kształtów. W pobliżu nie było latarni, a księżyc wyglądał jak cieniutkie ostrze sierpa zawieszony tuż nad horyzontem. Było ciemno.

Doskonale ciemno.

Zaparkował furgonetkę na uboczu, kilkanaście metrów dalej. Przed jej staranniejszym ukryciem powstrzymała go warstwa lodu. Wolał nie ryzykować. Strach często popychał ludzi do popełniania żalonych błędów. Ale on się nie bał.

Teraz wystarczyło być cierpliwym. Trybiki wprawione w ruch miały rozkręcić machinę zdarzeń. Sprawdził, czy każdy z czterech bełtów kuszy jest właściwie naciągnięty. Uśmiechnął się, patrząc na ten cudowny, morderczy wynalazek. Wolałby działać subtelniej, ale nie miał na to dość czasu.

Usłyszał śmiech i odgłos rozmowy. Pojedyncze dźwięki niósł delikatny, mroźny wiatr. Stał wśród drzew, całkowicie niewidoczny dla osób idących drogą. W czarnym stroju doskonale wtopił się w mrok.

Był mrokiem.

Po chwili śmiech stał się wyraźniejszy, a głoski zaczęły układać się w pełne słowa. Po kolejnej minucie zobaczył trzy sylwetki brnące w śniegu od strony domów. Formalnie znajdowali się w granicach miasta, ale w rzeczywistości nowe osiedle składało się jedynie z kilkunastu bliźniaków. Do tego w większości niezamieszkanym.

Rozpoznawał już głosy. Dwa męskie i dziewczęcy. Wszystkie młode, kilkunastoletnie. Uparcie powtarzał, że symbole nie mają znaczenia. Nie teraz, kiedy wreszcie mógł dokonać dzieła.

Odczekał, aż go miną, i bezszelestnie ruszył za rozchichotaną grupką. Upewnił się, że w okolicy nie ma nikogo innego. Chłopak i dziewczyna trzymali się za rękę, trzeci nastolatek szedł obok nich. Rozmawiali, co chwila rechocząc, jakby im za to płacono. Zwykli idioci marnujący życie na towarzyską obłudę.

Przyspieszył kroku, umyślnie wywołując skrzypienie śniegu. Najpierw przez ramię zerknął niższy chłopak. Coś szepnął i zaraz cała trójka zwolniła kroku, spoglądając za siebie. Wtedy uniósł kuszę i wycelował w ich stronę.

– Ej, gówniarze!

Ich śmiechy ucichły. W ułamku sekundy zabrał im radość. Zerknął w stronę furgonetki. Gdyby miał wolne dłonie, przyklasnąłby z radości, że wszystko idzie tak doskonale.

– Skręćcie powoli w tę ścieżkę.

Skinął kuszą w stronę przecinki w lesie.

Wyższy chłopak puścił dłoń dziewczyny i zadziornie zrobił krok w jego stronę.

– Bo co? Wystrzelasz nas z łuku?

Głupi mały gnojek nie potrafił nawet odróżnić łuku od kuszy. Chciał pajacować, popisując się przed dziewczyną i kumplem. Liczył, że to żarty, czy może w grupie czuł się bezpiecznie? Cukierek albo psikus?

On zawsze wybierał psikus.

Błyskawicznie zlustrował go wzrokiem. Szesnaście, może siedemnaście lat, spodnie z krokiem w kolanach, adidas w kolorze neonu nad wejściem do burdelu. Do tego jaskrawa kurtka z logiem znanej marki. Typowy przykład zdegenerowanego, współczesnego pokolenia. Jego kolega prezentował taki sam brak stylu, złagodzony jednak bardziej stonowanymi kolorami. Również na twarzy. Nie był tak dziarski albo był po prostu mądrzejszy.

– Tak, bo wystrzelałam was z łuku – wycedził. – Jazda, przede mną.

– Jeb się, człowieku. – Chłopak odwrócił się do reszty. – Chodźcie. Nie zwracajcie uwagi na tego świra.

Miał cztery załadowane bełty. Jeden był zbędny. Z wprawnością myśliwego uniósł kuszę i nacisnął właściwy spust. Świst rozgarnął mroźne powietrze.

– Kurwa!

Pajacujący gówniarz momentalnie upadł na ziemię. Na przemian chwycił stopę i tkwiący w niej bełt. Zawył z bólu.

– Stul pysk!

Pozostała dwójka cofnęła się, lecz nawet nie próbowała uciekać. Mądrze. Dziewczyna przyłożyła dłoń do ust, tłumiąc szloch. Było ciemno, ale wyglądała na bardzo zgrabną. Dopiero teraz zwrócił na to uwagę. Miała dopasowaną do ciała kurtkę, która podkreślała ukształtowany już biust. Seksowne biodra i długie, bardzo długie nogi.

Rozejrzał się, czy nikt nie nadchodzi. Powinien się pospieszyć.

– Bierzcie go pod ramiona i jazda przede mną. Spróbujcie krzyczeć, a roztrzaskam wam te baranie łby.

Podniósł kuszę. Wystarczyło, aby cała grupka nabrała motywacji do ruszania się. Na śniegu została plama krwi, ale nie przejmował się nią. Symbole nie miały przecież żadnego znaczenia.

– Wolne ręce załóżcie za plecami, chcę je widzieć. I uciszcie tego skomlącego wymoczka!

Od furgonetki dzieliło ich kilkanaście kroków. Sznury, kneble i chloroform znajdowały się na miejscu. Nie spodziewał się aż trójki pasażerów, ale na szczęście był przezorny. Wszystkiego wystarczy.

Deryło wyszedł z komisariatu stanowczo zbyt późno. Był wyczerpany, wypił zbyt wiele kaw, a przez jego głowę przetoczyło się za dużo myśli. Wyczerpał wszelkie limity. Mroźne powietrze, zamiast pobudzić, wbiło w jego twarz lodowate igiełki.

Analiza nagrań powinna zostać sporządzona do rana. Prześledzone zostaną najdrobniejsze szczegóły, każdy piksel i każda klatka. Może uda się ustalić coś ciekawego. Nadzieja matką głupich, ale ponoć umiera ostatnia. Jak stara gwardia i takie tam. Chłopięcy optymizm Brzeskiego udzielił mu się przynajmniej na chwilę. Na tyle, że zrezygnował z oglądania konferencji Bickiego. Wtedy dawka wpojonych frazesów i złudzeń mogłaby doprowadzić do wymiotów.

Otworzył drzwi i zamarł. W salonie paliło się światło. Usłyszał głos witającej go Ewy.

Dopiero po ułamku sekundy zrozumiał, co się stało. Bez słowa przeszedł do salonu i uśmiechnął się na widok żony i córki. Objął je tak, jak robili to wiele lat temu, kiedy Wiktoria była jeszcze małym dzieckiem. Stanęli niczym grupa siatkarzy szykujących się do ostatniego seta. Przyłgnęli do siebie jednak znacznie mocniej. Spokojni i szczęśliwi z powodu wzajemnej obecności.

– A jednak się nie wkurzył. – Pierwsza z objęć wywinęła się Wiktoria. – Mama była przekonana, że się wściekniesz.

– Niby za co?

Doskonale wiedział, co miała na myśli, ale nie chciał w to brnąć. Wreszcie puste mieszkanie się wypełniło i nie potrafiłby mieć z tego powodu pretensji. Chociaż wiedział, że w każdej sekundzie poza domem będzie się o nie martwił. Sprawa nie została skończona.

– Profesor zaoferował nam podwózkę do Lublina. – Ewa chwyciła go za dłoń. – A ty nie odbierałeś telefonu...

Jedynie się uśmiechnął.

– Słyszę to już enty raz. Człowiek odstawi komórkę i myślą, że umarł.

– Masz problem z dotykowym ekranem? – Ewa szturchnęła go zaczepnie.

– Przyznaj się.

– Żadnego. Po prostu nie wiem, jak wysunąć klawiaturę.

Roześmieli się. Szczerze i beztrzesko. Tak jakby nigdy nie prowadził tego cholernego

śledztwa, a Cztery Iks był jedynie opowieścią mającą na celu straszenie dzieci. Czarna wołga, Baba Jaga i tak dalej. Wiele by oddał, żeby tak było. Jeszcze więcej oddaliby bliscy zamordowanych. Ta ostatnia myśl stępiła jego chwilową radość. Myśl o ofiarach była jak bat najeżony gwoździami.

Wiktoria wróciła z kuchni z talerzem naleśników. W drugiej dłoni trzymała sztucce.

– Masz, jedz. – Podała mu. – Mama wykombinowała istne чудо.

– O! Na słodko?

Nie był głodny, ale naleśniki wyglądały naprawdę apetycznie. Najchętniej wypiłby do nich lampkę wina i zapadł w spokojny sen. Lampka wina, sen...

Przypomniawszy sobie o poprzednim wieczorze. Zerknął w stronę stolika, powiódł wzrokiem po zapranym dywanie, a potem skierował go na odtwarzacz DVD. Przebiegł go nieprzyjemny dreszcz.

– Schowałam ją. – Ewa dostrzegła grymas na jego twarzy. – Nie wiem, co tam jest, i przypuszczam, że ty też nie chcesz tego nam pokazać.

Skinął jedynie głową. Poczł wstyd z powodu chaosu, jaki zastał w mieszkaniu.

– Zjecie ze mną?

– Już jadłyśmy. Nie wiedziałyśmy, kiedy będziesz, a zrezygnowałam z jakichkolwiek prób namierzenia cię przez telefon.

– A właśnie. – Wyciągnął go i położył na stole. – Muszę się z nim pogodzić.

Szybko się przebrał i wrócił do salonu. Naleśniki były jeszcze ciepłe. Kawał dobrej kulinarnej roboty. Wreszcie koniec z monotonnym świątecznym żarciem, którego i tak w zasadzie nie tknął. Śledztwo działało jak terapia dietetyczna. Ukradkiem dotknął nieco zbyt wydatnego brzucha i zadowolony stwierdził, że chyba schudł. Pasek też mógłby przełożyć o jedną dziurkę ciaśniej.

Ewa wyciągnęła otwarte wino i podała mu dwa kieliszki.

– Spodziewam się, że dziś nie pijesz?

– Niestety.

Doceniał, że nie pyta go o robotę. Zupełnie okrężnym sposobem chciała tylko informacji, czy nadal pracuje. Napełnił kieliszki i podał je żonie i córce. Stuknęły się nimi, wznosząc toast za Nowy Rok. Deryło zamiast kieliszka uniósł w górę widelec. Po chwili pochłoniął ostatni kęs naleśników i podziękował. Popatrzył na córkę. Usiadła na kanapie i podwinęła nogi. Wyglądała na odprężoną. Zupełne przeciwieństwo stanu, jaki zastał w noc sylwestrową.

– Jak się czujesz?

– Tato...

– Po prostu pytam. Twój staruszek nie może się troszczyć o córcię?

– Jak będziecie mnie o to ciągle pytać, na pewno nie poczuję się lepiej.

– Potraktuj to jako dobrą odpowiedź.

Ewa upiła kolejny łyk i odstawiła kieliszek na podłogę.

– Profesor Wilewicz zaproponował kontynuację terapii. – Przynęła się do córki. – Oczywiście się zgodziłyśmy.

– Mamo, czy musimy o tym mówić?

– Chciałam tylko powiedzieć...

– Koniec – Deryło wtrącił się, ratując atmosferę. – Pod tym dachem żadnych rozmów o polityce i psychiatrach. W porządku? Przynajmniej do końca roku.

Nim zdążyły się zgodzić, jego telefon zawibrował. Jezu Chryste, to gorsze niż metalowy łańcuch. Nawet nie można w spokoju zjeść.

Nieznany numer. Normalnie by nie odebrał, ale... Z niechęcią przeciągnął zieloną

słuchawkę.

– Deryło, słucham?

– Mówi Patrycja Krzyska...

Serce momentalnie zadudniło mu w piersi. Co się, do cholery, stało?

– Wszystko w porządku?

– Tak, to znaczy nie... Nie wiem...

Łkała. Nie głośno, ale słyszał, że głos się jej łamie.

– Musimy się spotkać. Jak najszybciej.

– Co się stało?

Dziewczyna nie zwróciła uwagi na jego pytanie.

– Za pół godziny przy wieży ciśnień. Dobrze?

– Masz na myśli plac Wolności?

– Tak.

Szybko przeanalizował sytuację. O tej porze było tam jeszcze sporo ludzi, a miejski monitoring obejmował okolicę. Co prawda, do katedry było jedynie parę kroków, ale przecież Cztery Iks nie mógł tam wечно się czaić. Fatalne skojarzenie.

– Dobrze. Za pół godziny.

Patrycja się rozłączyła.

Tak, był upierdliwy. Co najmniej pięć razy powtórzył, żeby nie otwierały nikomu drzwi i zamknęły oba zamki. W końcu i tak sam to zrobił. Upewnił się, szarpiąc jak wariat za klamkę. Zabezpieczone tyły to podstawa natarcia.

Stawiając kołnierz płaszcza, wynurzył się z klatki. Z żalością popatrzył na wgnieciony bok auta. Przynajmniej silnik był sprawny, bulgocząc, dawał z siebie wszystko. Pługi zgarnęły śnieg, więc mógł sobie pofolgować. Przez dwa skrzyżowania przemknął ponad setką. Na innym zlekceważył czerwone światło. Przynajmniej w ten sposób mógł sobie wmówić, że zamiast się bronić, rzeczywiście naciera. Że ma coś w swoich rękach.

Położył telefon na siedzeniu pasażera i zerkał co chwilę na ekran. Włączył dzwonek, licząc, że szybciej zwróci jego uwagę niż wibracja. Mimo tego komórka uparcie milczała. Do centrum dojechał w niecały kwadrans. Zaparkował przy deptaku i pędem rzucił się w stronę Bramy Krakowskiej. Tworzył coraz to nowe scenariusze. Po chwili niczym wytrawny producent kolejno je odrzucał. Domysły nie miały jednak żadnego sensu.

Biegł. Środkiem deptaka prowadziła wykuta w lodzie, posypana piaskiem ścieżka. Mijał pojedynczych przechodniów rozchodzących się do klubów i restauracji. Przy ratuszu migotały pokryta świątecznymi ozdobami choinka i sanie świętego Mikołaja. Kilka par robiło sobie przy nich zdjęcia.

Odbił w prawo. Fasada pałacu Parysów skrzyła się, oświetlona sztyldami z naprzeciwka. Po chwili wypadł na niewielki skwer. Na jego środku znajdowała się nieczynna zimną fontanna, usytuowana w miejscu zburzonej po wojnie wieży ciśnień.

Błyskawicznie lustrował wszystkie przechodzące osoby. Kilka par, kilka grupek młodzieży zmierzających do okolicznych pubów, pojedyncze starsze osoby. Banda dzieciaków rzucających się śnieżkami. Nigdzie nie widział Patrycji. Przeszedł przez ulicę, wypatrując jej w okolicy Liceum Unii Lubelskiej. Też nic.

Zdenerwowany, zerknął na zegarek. Od rozmowy minęło już ponad pół godziny. Wyciągnął telefon, ale postanowił jeszcze chwilę poczekać. Skierował się w stronę Dolnej Marii Panny, lecz na stromej uliczce nie dostrzegł nikogo. Nawet żaden samochód nie próbował jej sforsować.

Z której strony miała nadejść? Skąd szła?

Powinien był ją odebrać z bezpiecznego miejsca. Może chciała przyjechać taksówką? Nie sądził. Komunikacją miejską? Oby tak było, chociaż miał dziwne przeczucie, że poruszała się niemal wyłącznie na piechotę. Powinien oddzwonić i zaoferować jej spotkanie tam, gdzie jest.

Jeszcze raz okrążył plac. Czterdzieści dwie minuty od rozmowy. Zmarzniętymi palcami odblokował komórkę i wyświetlił listę połączeń. Wybrał z niej ostatni numer.

W tym momencie poczuł szturchnięcie w ramię. Niemal wypuścił z dłoni telefon. Nim zdążył się obrócić, poczuł, że coś wsunięto mu do kieszeni. Kątem oka dostrzegł, że stanęła przy

nim Patrycja. Kosmyki ciemnych włosów opadały jej na policzek.

Totalnie zdiadział.

– Chodź za mną – szepnęła bez przywitania. – Nie ma czasu.

– Mogę wiedzieć, co się stało?

– Chodź.

Ponaglając go, ruszyła wzdłuż Bernardyńskiej. Schował komórkę i wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę papieru. Ukradkiem rozwinął ją i starając się złapać światło, odczytał kilka nabazgranych słów.

JEST TU. SŁUCHA. GRAJ. Chciał zapytać, co się dzieje, ale zrozumiał. Nawet jeżeli nie dopuszczał tej myśli. Dyskretnie rozejrzał się, lecz nie mógł wyłowić żadnej śledzącej ich postaci.

Patrycja nieco zwolniła kroku.

– Proszę mi oddać telefon – odezwała się drżącym głosem.

Przez chwilę miał nadzieję, że się przesłyszał.

– Telefon – dziewczyna powtórzyła z naciskiem. – Inaczej niczego się nie dowiesz.

Miał grać, więc odbił piłkę. Wyjął komórkę i oddał ją.

– Teraz broń.

– Nie mam.

– Jak to nie masz?

– Nie chodzę cały dzień uzbrojony.

– Proszę cię – głos Patrycji się łamał. – Jeżeli nie zrobisz tego, co mówię, zabije mnie.

Rozumiesz?

Ostentacyjnie odwinął połę płaszcza, pokazując, że nie ma pistoletu.

– Okej. Dziękuję.

– Gdzie mnie prowadzisz?

– Żadnych pytań. Proszę!

No tak, on *śluchał*. Zastanowił się, gdzie dziewczyna ma na sobie podsłuch. Cały czas grała tak, jak jej ktoś kazał. Sam nie znał reguł, ale musiał się dopasować. Wsunął dłonie do kieszeni, starając się wciąż obserwować okolicę. Nagle przystanął i nachylił się do buta. Udał, że rozwiązała mu się sznurówka. Ukradkiem zerknął w stronę, z której szli, ale nie dostrzegł nikogo podejrzanego. Chociaż... Wydało mu się, że jakiś cień przywarł do bramy nieodległej kamienicy. A może to tylko wyobraźnia?

– Chodź, nie mamy czasu. On mnie zabije!

Chciał ją jakoś pocieszyć, złapać za rękę albo objąć. Ile mogła mieć lat? Tyle co Wiktoria? Może nawet nie. Wstając, spojrzął jej w oczy. Wysiłił się na pokrzepiający uśmiech, ale raczej nie wyglądał on przekonująco. Dziewczyna obróciła się i znowu ruszyła szybkim krokiem. Minęli neogotycki budynek Zespołu Szkół Vetterów. Kilkadziesiąt metrów dalej poczuł delikatne kuksnięcie, wskazujące, że ma skręcić. Po jego lewej stronie rozpościerała się kilkumetrowa przerwa pomiędzy kamienicami, zabudowana pomazanym graffiti śmietnikiem. Tuż obok prowadziła wąska ścieżka. Przechodził tędy setki razy, ale nigdy nie zwrócił na nią uwagi. Wyczuł, że ziemia jest rozjeżdżona kołami samochodów. Musiały przeciskać się na centymetry.

Posłusznie skręcił.

Po chwili znaleźli się za główną linią kamienic. Minęli niewielki skwerek obsadzony kilkoma drzewami i skierowali się w stronę rozpadających się murowanych oficyn. Nagle zrozumiał, gdzie go prowadzi. Strzępki informacji zlały się w jedną całość.

Chciał wykrzyknąć swoją wściekłość, ale kazano mu się zamknąć.

I słuchać.



Zatrzymali się przed zmurszałymi drzwiami. Nowoczesna kłódka z szyfrowym zamkiem była otwarta. Patrycja zdjęła ją i weszli do ciemnego, śmierdzącego wilgocią korytarza. Na jego posadzce zebrał się lód.

– Nic nie widzę.

Nie rozróżniał nawet konturów pomieszczenia. Każdy krok mógł prowadzić w bezkresną otchłań, a i tak by jej nie zauważył.

– Chwila.

Patrycja stała tuż przy nim. Przez moment wsłuchiwał się w jej przyspieszony oddech i szelest kurtki. Jeszcze nie było za późno, żeby uciec. Ostatni moment, by spróbować zagrać na własnych zasadach. Jednak nie wiedział, co grozi za złamanie dotychczasowych reguł. Czy Cztery Iks mógł ich zabić? Szedł za nimi z pistoletem i chciał ich po prostu zastrzelić? Nie, to nie było w jego stylu. Przypomniał sobie maskę, którą ten sukinsyn założył jego córce. Pamiętał syknięcie kabli, w chwili gdy udało mu się ją uwolnić. To nie był rekwizyt, jak twierdził później. Zrobił to, aby zadać jej prawdziwe cierpienie.

Nagle światło latarki prześlizgnęło się po porośniętej mchem ścianie. Miał szczęście, że nie zrobił kilku kroków, bo metr przed nim zaczynały się prowadzące w dół strome schody. Złamany kark prawie gwarantowany. W najlepszym razie pogruchotane kości.

– Chodźmy, szybko.

Zeszli po kilkunastu stopniach i znaleźli się w niskim, murowanym korytarzu. Wiązka światła omiotła dziwny przedmiot. Wyglądał jak metalowy, podłużny stół na kółkach, ale do jego blatu przytwierdzono solidne mocowania.

Deryło wiedział, co to jest.

Skórzane pasy zwisające po bokach nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Łóżko, jakiego używano w szpitalach psychiatrycznych albo na izbie wytrzeźwień, służące do spacyfikowania najbardziej agresywnych gości. Domyślał się, do czego było potrzebne w tym miejscu.

– Boże...

Patrycja kierowała światło latarki przed siebie. W ciemności mógł sobie pozwolić na niedyskrecję. Nawet jeżeli byli obserwowani, w tym momencie pochłaniał ich zupełny mrok. Wziął ją pod ramię, starając się dodać otuchy. Dziewczyna drgnęła, ale się nie odsunęła.

Szli wolniej niż wcześniej. Najwyraźniej ją także naszły wątpliwości. Strach przed przyszłością zaczynał dominować nad strachem przed rzuconymi dawniej groźbami. Naturalny instynkt.

Deryło wyęczał słuch, chcąc wychwycić wszelkie odgłosy. Ich kroki niosły się echem umykającym w bezkresie ciemności. Odniósł wrażenie, że w głębi za nimi rozległo się skrzypnięcie. Czy Cztery Iks właśnie wszedł do korytarza? A może to tylko wiatr poruszył drzwiami?

Głęboko oddychał, powoli wypuszczając powietrze. Musiał zachować trzeźwość osądu. Po kilku minutach dotarli do załomu muru. Strop obniżał się, więc musiał iść lekko przygarbiony. Znajdowali się w kilkusetletnich piwnicach, być może pozostałych jeszcze po jakichś średniowiecznych zabudowaniach. Zdał sobie sprawę, że mimo wysokości były dość szerokie, aby przepchnąć przez nie szpitalne łóżko.

Po kolejnych kilkunastu krokach weszli do rozległego pomieszczenia. Światło latarki z trudem przebijało się przez gęsty mrok i prześlizgnęło po gołych ceglówkach. Przebrał dłonią w kieszeni, ale nie znalazł monety. Wychodząc w pośpiechu, musiał zostawić ją w drugich spodniach. To był zły znak.

Nagle wyczuł za sobą czyjąś obecność. Nie zdążył zareagować. Wdech mdłej substancji natychmiast powalił go na kolana.

Zamrugał. Czuł pulsowanie krwi w skroniach i ból w tyle głowy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Delikatne światło żarówki go raziło. Nie miał wcale ochoty otwierać oczu. Z chęcią znowu zapadłby w sen. Ulotna myśl przywiodła go jednak do rzeczywistości. A może był to jedynie gęsty, mdły odór, który wypełniał pomieszczenie. Całą siłą woli podniósł ciężkie jak głązy powieki.

Najpierw dostrzegł wilgotną ceglastą ścianę. Z przytwierdzonego do niej metalowego dybla ciągnął się łańcuch. Czuł, że jest przytwierdzony do jego stóp. Ręce miał wolne, ale w ich zasięgu rozciągała się jedynie kamienna posadzka.

Przewrócił się na drugi bok. To, co na filmie wydawało się ohydne, w rzeczywistości sprawiało jeszcze bardziej makabryczne wrażenie. Od razu rozpoznał stół i pochylony nad nim rząd zwłok. Topielca, osobę pozbawioną skóry i zakatowanego starca. Po ich lewej stronie siedziała trójka spętanych nastolatków. Musieli być odurzeni jakimiś środkami, ale wydawało mu się, że wszyscy oddychają. Na drugim krańcu dostrzegł Patrycję i kobietę, której twarz wydała mu się znajoma. Magdalena Szus. Tak, pamiętał ją. Siedziały obok siebie, starając się poruszyć, ale krzesła zostały przytwierdzone do podłoża. W ustach miały kneble.

– Minimalna dawka, a powaliła pana jak dziecko, komisarzu. – Głos dobiegł z bocznego korytarza.

Po chwili do pomieszczenia weszła postać w sutannie, koloratce i ceramicznej masce. Ta sama, którą widział na nagraniu.

– Mam nadzieję, że miał pan miłe sny.

Mężczyzna podszedł do stołu i stanął za plecami Patrycji. Położył dłonie ubrane w czarne rękawiczki na jej ramionach i zacisnął palce. Dziewczyna drgnęła.

– Najpierw to ja chciałem usiąść na miejscu Judasza. – Zaśmiał się. – Ale zrozumiałem, że to nie tak. Że potrzeba mi kogoś, kto straci własną wolę, przymuszony głosem... Boga. A ja siądę na jego miejscu. Rozumie pan, komisarzu?

Deryło się nie odezwał. Szarpnął łańcuch, ale metalowy dybel nawet nie drgnął.

– Nie musi pan odpowiadać. Jednak za chwilę będzie pan zmuszony dokonać pewnego wyboru. Judasz też go dokonał, chociaż ponoć był jedynie pionkiem. Pan też nim był od samego początku.

Zamaskowany mężczyzna przeszedł za plecami swoich ofiar.

– Przedstawiam panu świętych Bartłomieja, Filipa i Marka. Oni już nie żyją. Gdyby nie pan, moje misterium ciągnęłoby się jeszcze tygodniami, ale znalazł się pan za blisko. Wszystko miało być gotowe w sam raz na Wielki Piątek, tak jak na Boże Narodzenie. Musiałem jednak przyspieszyć i mój skład się nieco skurczył. Ale to tylko symbole. Ci gówniarze śpią jeszcze mocniej od pana. Ich szczęście, bo nie lubię zabijać nieświadomych.

Mężczyzna w sutannie zatrzymał się za siedzącą pomiędzy dwoma chłopakami nastolatką i zdarł z jej głowy czapkę. Miała całkowicie ogoloną czaszkę. Drgnęła, ale nie otworzyła oczu.

– Niektóre pozory chciałem zachować do końca, chociaż apostołowie mogli mieć piękne długie włosy, prawda?

– Zostaw ją. – Deryło jeszcze raz szarpnął łańcuch. – Zostaw ją, popaprańcu!

– Przecież jeszcze nic nie zrobiłem.

– Pierdolona gnida! Czego chcesz?

– Niech się pan nie unosi, komisarzu. To nic nie da.

– Czego chcesz?!

Zamaskowana postać z powrotem przeszła wzdłuż stołu i stanęła za Magdaleną Szus. Deryło wyraźnie widział, jak dziewczyna w przerażeniu rozwiera szeroko oczy. Miała nogi skrępowane w kolanach i starała się kopać boki krzesła. Całkowicie bezskutecznie.

– Czego chcę? Potrzebuję jedynie Judasza.

– Jesteś chory. Nie rozumiesz, że bezsensownie bełkoczesz?!

– Hola, hola. – Zamaskowany pogroził mu palcem. – Obrażaniem niczego pan nie osiągnie. Ale wróćmy do tematu. Nie zwrócił pan uwagi na ropiejącą ranę na brzuchu? Zagoiła się już?

Komisarz odruchowo dotknął opatrunku. Nie zmieniał go od poranka. Ciągłe czuł nieprzyjemne pieczenie w miejscu zszycia, ale nawet nie zwrócił uwagi, czy cięcie się zasklepiło.

– Ta dziewczyna – mężczyzna skinął na Patrycję – posłusznie zrobiła wszystko, co jej kazałem. Kiedy leżał pan bezwładnie w swoim łóżku, umieściła coś w pańskiej ranie. Coś na tyle niewielkiego, że potrzebne było jedynie rozchylenie szwów.

– Co ty pieprzysz...

Deryło czuł, że intensywnie się poci. Podświadomie wiedział, do czego zmierzają słowa księdza. Rana na powrót zaczęła go palić.

– Znowu ponoszą pana emocje.

– Jesteś pokreconym śmieciem.

– Do końca odważny? Jeden z tych młodzieńców też zgrywał bohatera. Widział pan jego stopę? Nawet gdyby miał przeżyć dzisiejszą noc, zostałby kaleką.

– Czego chcesz?

Zamaskowany cmoknął z irytacją.

– Chce pan przejść od razu do sedna? Ostatnim razem starał się pan przedłużyć rozmowę, a teraz nie może się pan doczekać przyszłości? – Położył dłoń na pozbawionych skóry zwłokach. – Dobrze. Niech się stanie.

– Mów, czego chcesz, do cholery!

– Miał pan mnóstwo szczęścia. W pańskiej ranie znajduje się szklana kapsułka z cyjankiem. W każdej chwili mogła pęknąć, powodując śmierć w przeciągu kilku sekund.

Deryło łąpczywie złapał oddech. To było czyste szaleństwo. Dotknął dłonią boku i wyczuł nierówność opatrunku.

– Los dał panu tych kilka dni życia. Cienkie szkło jakimś cudem się nie stłukło. Dar Boży?

– Dlaczego to robisz? – Przełknął ślinę, nie opanowując drżenia głosu.

– Ma pan wybór. Może pan wyciągnąć tę kapsułkę i ją rozgryźć. Samobójstwo w szczytnym celu jest tak samo plugawe jak to popełnione w depresji. Zostanie pan doskonałym Judaszem. Jeżeli sam pan tego nie zrobi, za chwilę zamorduję jedną z dziewcząt. Ma pan równe jedenaście minut i sześć sekund.

– Łącznie sześćset sześćdziesiąt sześć sekund. Taki drobny symbol, panie komisarzu.

Deryło miał wrażenie, że ktoś chwycił go za gardło i ścisnął, pozbawiając tchu. Niedawna senność zamieniła się w stan przedzawałowy. Pot przylepił koszulę do pleców, zrosił czoło i zebrał się przy nosie. Odruchowo oblizał słoną wargę.

Zamaskowany mężczyzna wyciągnął zza poły sutanny czarnoprochowy rewolwer.

– Oprócz kuszy lubię także tę broń. – Obrócił bębenek. – Co prawda, żaden apostoł nie zginął od kuli, ale już chyba mówiłem, że zepsuł mi pan zabawę w metafory. Zostało dziesięć minut.

– Czekaj!

– Na co mam czekać?

– Do cholery, porozmawiajmy!

– Traci pan tylko czas, komisarzu.

– Dlaczego to robisz?

Postać w sutannie przemknęła wokół stołu. Wycelowała rewolwer w pierś Patrycji. Dziewczyna zaczęła histerycznie oddychać i zamknęła oczy.

– Adam i Ewa poszli do nieba. Kupili mąki za dwa pająki. – Rewolwer w rytmie słów wędrował w stronę jednej lub drugiej z dziewcząt. – Adam rozsypał, Ewa płakała. Adam pozbierał, Ewa się śmiała! Bum!

Wystrzelona kula utkwiała w ceglany murze. Pomieszczenie wypełniły mgiełka dymu i zapach siarki.

– Przestań!

Deryło rozpiął koszulę i ją podwinął. Szybkim ruchem zdarł opatrunek, który pozostawił na skórze czerwony ślad. Rana była zaropiała, ale już prawie zasklepiona.

– Dziewięć minut. Czy naprawdę chce pan uratować nieznajomą albo kogoś, kto włożył panu w trzewia cyjanek?

Deryło błyskawicznie analizował, lecz wszystkie jego myśli rozbijały się o ścianę przerażenia. Nie był w stanie wydukać choćby słowa. Nie zastanawiał się, co zrobi za chwilę. Najważniejsze było sprawdzenie, czy w jego ciele rzeczywiście coś zostało upchnięte. Mógł się

tym zając, odrywając wzrok od skrepowanych kobiet. Podjął grę, ale nie liczył na zwycięstwo.

Przyjrzał się ranie. Sześć szwów scalało jej krawędzie, przeplatając się w nierównych odstępach. Dwa środkowe rozeszły się i dzieliła je co najmniej centymetrowa przerwa, wypełniona zaropiałą tkanką. Dotknął jej wierzchem dłoni. Miejsce było wrażliwe i od razu przeszedł go nieprzyjemny dreszcz.

– A może tam niczego nie ma, panie komisarzu? – Zakryta maską twarz przechyliła się na bok. – Może to tylko błąd?

Deryło niepotrzebnie podniósł wzrok. Powiódł spojrzeniem po zwłokach, a potem po skrepowanych nastolatkach. Wydawało mu się, że jeden z chłopaków się budzi.

Nie mógł uspokoić drżenia dłoni.

– Która z nich ma zginąć? – Zamaskowany pogładził włosy Patrycji. – Chciałem, żeby moja Maria Magdalena oddała się igraszkom z trupami, ale całkiem opadło w niej libido. A ta druga... Zrobiła wszystko, czego zażądałem. Chyba powinna być dla mnie więcej warta.

Komisarz chwycił w paznokcie skrawek szwu. Nie rozumiał tego, co słyszał. Krew buzowała mu w żyłach i instynktownie wyczuwał, że mężczyzna nie kłamie.

– Sześć minut.

Pociągnął cienką niteczkę. Zacisnął zęby, odciągając ją na bok. Z rany wypłynęła ropa zmieszana z krwią. W powstały otwór mógł wsunąć palec. Zebrało mu się na mdłości, przez plecy przeszedł lodowaty dreszcz. Wsunął ledwie opuszkę i pulsujący ból ścisnął całą jamę brzuszną. Jęknął.

– Śmiało, panie komisarzu!

Oddychał szybko. Starał się rozluźnić mięśnie, ale pozostały napięte jak stal.

– Ty skurwysynu!

Powoli obrócił palec i dotknął powłoki skóry. Krew i limfa popłynęły obfitym strumieniem. Na szczęście wewnętrzne szwy pozostawały nienaruszone.

Kropla potu skapnęła z jego nosa na posadzkę.

– Chce pan uratować siebie czy jedną z nich?

Nie odpowiedział. Nawet na chwilę nie oderwał spojrzenia od rozchodzącej się rany. Nagle wyczuł twardą powierzchnię. Coś tkwiło płytko pod jego palcem, ale za zasklepionym fragmentem zszycia. Pod naciskiem kulka obróciła się i nie miał jak jej uchwycić. Trzewia paliły go, jakby wsunięto w nie rozżarzone węgle.

– Niech pan pamięta, że szkło jest bardzo kruche. Trzy minuty!

Mógł to wyciągnąć tylko w jeden sposób. Położył się na plecach i zaczerpnął głęboko powietrza. Palcami lewej dłoni uchwycił pętelki na skraju szwu. W myślach postanowił policzyć do trzech, ale zaraz o tym zapomniał. Gwałtownie szarpnął, wrywając nici i rozrywając skórę. W tym samym momencie delikatnie pchnął tkwiący w nim przedmiot, który razem z krwią wypłynął na wierzch. Zakreśliło mu się w głowie. Ból rozlał się po całym ciele, zmuszając go do podkulenia nóg.

Ciężko sapnął, wypuszczając powietrze.

– Tyle trudu, żeby zaraz się zabić?

Nie słuchał. Przyłożył zdjęty bandaż do rany i mocno przycisnął. O dziwo, nie krwawiła tak obficie, jak się tego spodziewał. Szklana kapsułka, która stoczyła się do pępka, nie była wcale kulą, lecz zaokrąglonym walcem. Uchwycił ją delikatnie, jakby parzyła.

Mężczyzna w sutannie zbliżył się do niego. Stał kilka kroków dalej, wydając z siebie rżęzący rechot.

– Przegryzie pan tę ampułkę, komisarzu? Czy mam zabić jedną z dziewcząt?

Fizyczny ból był niczym w porównaniu do psychicznego przerażenia. Był pewien, że jego

śmierć niczego by nie zmieniła. Zgodnie z psychopatycznym planem zginąć mieli wszyscy.

Obrócił w dłoni kapsułkę. Bezwiednie przyciągnęło go przerażone spojrzenie Magdaleny Szus. Patrycja siedziała z półprzymkniętymi oczami. Wydawało mu się, że porusza ustami w rytmie modlitwy. Na jej bladą twarz opadały kosmyki ciemnych włosów. Dopiero co szła tuż obok niego, wspierając się o jego ramię.

Małe kapsułka ważyła więcej niż głaz. Ślizgała się w oblepionej krwią dłoni.

– Trzydzieści sekund.

Poczuł słoną kroplę spływającą do ust. Nie był to pot, ale łza. Nie potrafił już powstrzymać emocji.

– Wybór należy tylko do pana, komisarzu. Jeżeli nie zabije się pan w tej chwili, zrobią to później wyrzuty sumienia. Tak czy inaczej, zostanie pan moim Judaszem.

Odwrócił wzrok. Pomyślał o córce i żonie, a potem o innych bliskich. Nie potrafił się zabić. Wypuścił kapsułkę, która rozłukła się o posadzkę. Poczuł woń gorzkich migdałów.

– Na całe, krótkie już życie zapamięta pan ten wybór.

Mężczyzna podniósł rewolwer i wycelował.

Wystrzelił.

Brzeski rzucił klucze na futurystyczną komódkę. Był cholernie zmęczony. Mimo tego przed powrotem do domu przez prawie godzinę bezmyślnie jeździł po mieście. Wiedział, że szybko nie zaśnie. Będzie się gapił na telefon, czekając na ostateczny raport techników. Nerwowe spaczenie.

Kiedy zawiesił marynarkę, z salonu wyszła Alicja z butelką szampana. Uważnie się jej przyjrzał, ale nie była pijana. Przynajmniej nie na tyle, by dać to po sobie od razu poznać. Miała na sobie różowy szlafrok, włosy zebrała w wysoki, elegancki kok. Zalotne spojrzenie nie było rozbiegane, a policzki zaczerwienione.

– Chodź do mnie – powiedziała, wyciągając rękę. – Chodź.

Z wymuszonym uśmiechem chwycił jej drobną dłoń. Poprowadziła go do sypialni. Na szafce nocnej i parapecie stały zapalone świece. Poczł ich intensywny, słodki zapach. Łóżko zostało starannie zaścienione, zupełnie jak na królewską noc poślubną. Brakowało tylko służącego, który rozwijałby przed nimi czerwony puszysty dywan.

Alicja zdarła sreberko i podała mu butelkę.

– Otwórz.

Nie był zachwycony rozwojem wydarzeń, ale odkręcił metalowy drucik i wystrzelił korek. Przechylił butelkę, żeby nie zalać podłogi. Piana podeszła do gwintu i ściekła po rancie. Alicja wzięła od niego szampan i wypła duży łyk. Najwyraźniej tego wieczoru nie obchodziły jej konwenanse. Królowa nie potrzebowała kieliszków.

– Masz. Napij się. Zrelaksuj.

– Mogę jedynie umoczyć usta. Jestem pod telefonem.

Skrzywiła się na oschły ton jego głosu. Zmieszał się. Nie chciał być dla niej niemiły. Wziął butelkę i upił niewielki łyk. Wytrawny szampan przyjemnie polechtał kubki smakowe.

– Mamy dziś jakąś okazję? – zapytał, siadając na łóżku obok żony. – Czy świętujemy ciszę nocną?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego znów wzięła jego dłoń i wsunęła pod połę szlafroka. Poprowadziła ją ku swoim piersiom. Kształtnym i jędrnym. Poczł twarde brodawki.

– Ala... – wyszeptał.

– Ciii...

Przyłożyła mu palec do ust i rozpięła pasek u spodni. Pocałowała go namiętnie. Nawet nie poczuł, kiedy rozpięła guzik i rozporek. Opuściła się na bok, kładąc na łóżku. Opadł na nią całym ciałem i odwzajemnił pocałunek. Poprowadził dłonią po jej biodrze ku pośladkowi. Pozwolił zdjąć sobie koszulę. Leżąc na niej, powiódł spojrzeniem po delikatnych rysach twarzy. W bladym świetle świec jej cera wydawała się mlecznobiała, a oczy kruczoczarne.

Wtedy przypomniał sobie półotwarte oczy mężczyzny pozbawionego skóry. Wzdrygnął się. Chciał jak najszybciej wyprzeć z głowy ten obraz, ale raz przywołane wspomnienie zatrulo umysł. Zacisnął pięści na puchowej poduszce.



Alicja obróciła się, wywijając z jego objęcia. Delikatnie popchnęła go na łóżko i usiadła na nim. Nie miała na sobie żadnej bielizny. Odarta z ubrań, ale nie ze skóry. Kolejna chora myśl, która wywołała w Brzeskim złość na samego siebie. Miał ochotę walić głową w kant łóżka, dopóki nie pozbędzie się tych pieprzonych skojarzeń. Miał ochotę krzyknąć i kląć, ale nie kochać się.

Pomyślał o leżącym przy łóżku telefonie. Gdyby zaraz zadzwonił...

Nie, to nie tak. Nie mógł być żalonym dupkiem, którego przerosła praca. Od zbyt wielu dni uciekał od jej objęć.

Zebrał się w sobie, starając się skupić na dotyku żony. Objął jej piersi i delikatnie zacisnął dłonie. Kiedy się pochyliła, pocałował ją w szyję. Otworzył oczy i popatrzył w sufit. Migotały na nim refleksy świec.

– Wiesz co? – wyszeptała, liżąc płatek jego ucha. – Czuję, że dziś jest ta noc. Jest idealnie!

Huk wystrzału zaświdrował mu w uszach. Czerwona plama rozlała się na piersi Patrycji. Drugi pocisk uderzył tuż obok, wyginając jej ciało. Głowa dziewczyny gwałtownie opadła, a włosy rozsypały się, opadając ku kolanom. Znieruchomiała.

Deryło przyłożył zaciśniętą pięść do ust. Z trudem powstrzymał wybuch histerycznej paniki. Nigdy w życiu się tak nie bał. Nigdy w życiu nie przyznał się choćby samemu sobie, że się boi.

– Wybrał pan, komisarzu.

Mężczyzna w sutannie odwrócił się do niego plecami. Położył rewolwer na stole i oparł się o niego obiema rękami. Deryło wiedział, że nie patrzył na zamordowaną dziewczynę. Patrzył prosto w wypełnione przerażeniem oczy Magdaleny Szus. Upajał się jej strachem.

– Znowu mnie pan rozczarował.

Słowa wypowiedział całkowicie bez emocji. Tym razem nie było w nich nawet ironii.

– Choć miał pan swoje imponujące momenty. Na przykład wtedy, kiedy rzucał się pan, aby zasłonić córkę. Ta dziewczyna była mniej warta od Wiktorii?

Deryło drgnął. A więc był wtedy wśród luster i mierzył do niego. Nie stanowił jedynie wytworu wyobraźni rannego umysłu.

– Dlaczego nie wystrzeliłeś? – zapytał, ledwie ruszając ustami.

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie. Szkło przysłaniające oczy zaskrzyło się, odbijając światło żarówki. Ceramiczna maska nigdy nie wydawała się tak upiorna.

– Dlaczego? – zacharczał. – Przecież nie mogłem zakończyć wszystkiego w tak banalny sposób. Zafundowałbym panu pogrzeb bohatera. Może nie na Wawelu, ale w akompaniamencie orkiestry i wśród wspaniałych wieńców. Nie potrzebowałem górnołotnych emocji. Mimo aromatu, który pan poczuł, w kapsułce nie było cyjanku. Nie słuchał pan, kiedy mówiłem, że nie chcę nieświadomych ofiar?

Deryło opuścił głowę. Nie czuł już bólu rany, ale miał wrażenie, że z tyłu jego czaszki wytrysnął wodospad. Grzmot hektolitrowej wody przelewał mu się po karku.

Zamaskowany się poruszył. Komisarz usłyszał, że powoli przechadza się wzdłuż stołu. Po chwili kroki ucichły. Wiedział, gdzie się zatrzymał. Chciał kontynuować swoje przedstawienie, na scenie wciąż pozostawali aktorzy.

– O, jak miło! Towarzystwo się budzi! Przespało tyle atrakcji...

Deryło otarł dłonią piekące oczy i podniósł głowę. Dwójka nastolatków bezskutecznie usiłowała uwolnić się z więzów. Szarpali się, jeszcze mocniej zaciskając pętle. Kneble zamieniały ich spazmatyczne krzyki w ciche kwilenie.

– Wreszcie!

Mężczyzna ściągnął rękawiczkę i zbliżył się do dziewczyny. Śmiejąc się, poklepał ją po pozbawionej włosów głowie.

– Czas umierać – wysyczał. – Najwyższy czas.

Deryło zacisnął usta. Szarpnął łańcuchem, ale ten ciasno opinał kostki. Nagle dostrzegł, że Magdalena Szus intensywnie mruga. Najwyraźniej starała się zwrócić jego uwagę. Dopiero po chwili zrozumiał, o co jej chodzi. W mgnieniu oka ocenił sytuację i skinął głową. Nerwowo, wiele razy, jakby mogła nie dostrzec wyrazu jego afirmacji.

Podczołgał się jak najbliżej. Napięty łańcuch brzęknął, ściągając spojrzenie zamaskowanego mężczyzny.

Wtedy Magdalena Szus z całych sił kopnęła nogę stołu. Ograniczony ruch nie mógł go przeważyć, ale wystarczyło. Mebel przesunął się, a rewolwer zsunął z blatu.

Deryło rzucił się w jego stronę. Wyciągnięte mięśnie nóg zapiekły, ale zdołał uchwycić koniec lufy. Kolejnym rozdzierającym ściętną zrywem przyciągnął broń do siebie.

Mężczyzna w szatach księdza zastygł w pół kroku. Nie zdążył obieć stołu i wyprzedzić komisarza. Maska się przekrzywiła. Przyglądał się mu z ciekawością.

– Klucze, gnoju! – Deryło odciągnął kurek. Upewnił się, że rewolwer jest załadowany.

Mężczyzna nawet nie drgnął.

– Dawaj klucze, bo cię rozpieprzę!

Wyprostował się i włożył dłoń za poję sutanny.

– Powoli! Jeden szybki ruch, a wystrzelę.

Deryło intensywnie wpatrywał się w ruch ręki pod tkaniną. W ciągu kilku sekund zebrał się do kupy. Mimo ciężaru trzymał rewolwer bez najmniejszego drgnięcia.

Po chwili niewielki kluczyk wylądował przy jego stopie. Poruszył się, aby po niego sięgnąć. W tym samym momencie mężczyzna w masce uskoczył na bok. Wystrzelona kula przeleciała tuż obok, rozbijając żarówkę.

W pomieszczeniu zapanowała kompletna ciemność.

Deryło po omacku wymacał zamek. Przez chwilę myślał, że klucz nie pasuje, ale w końcu zapadka odskoczyła. Uwolnił nogi i wstał. Ból boku powrócił ze zdwojoną siłą. Przycisnął lewą dłońią bandaż, w prawej wciąż ścisnął rewolwer.

Słyszał kroki ostrożnie stawiane w korytarzu. Przypuszczał, że zamaskowany mężczyzna doskonale zna wszystkie zakamarki. Nie mógł ryzykować pogoni w ciemności. Liczył na szczęście.

Obijając się o stół, przeszedł za plecami nastolatków. Słyszał ich pisk, ale nie miał czasu im pomóc. Niechcący trącił łokciem jedno ze zwłok. Odskoczył jak oparzony, kierując się w stronę ostatniego z krzeseł. W ciemności dotknął zwieszanej głowy Patrycji i sięgnął do kieszeni jej spodni. Głośno odetchnął. Jego komórka wciąż tam była.

Wyciągnął telefon, wciąż czując ciepło ulatujące z ciała. Nie było zasięgu, ale nowoczesny aparat miał wielki atut. Latarkę.

Otarł o koszulę spoconą dłoń i wybrał odpowiednią aplikację. Po chwili ostre, białe światło omiotło pomieszczenie. Natychmiast rzucił się w stronę korytarza. Nieuciskana rana szarpała, spowalniając jego ruchy.

Nagle echo oddalających się kroków ucichło. Deryło przystanął, nasłuchując. Cisza.

Nie mógł biec na ślepo. Po bokach znajdowały się maleńkie alkowy, a w każdej z nich mógł czaić się ten szalenciec. Powoli, krok za krokiem posuwał się do przodu. Wychylał się zza załomów muru, celując za każdym razem w pustą przestrzeń.

Starał się kierować światło latarki w sufit, aby nie zdradzić swojego położenia. Bezgłośnie zbliżał się do końca korytarza. Nie było tam żadnych drzwi.

Usłyszał szmer. Cichy szmer gdzieś z przodu, po prawej stronie. Ścisnął rękojeść, brnąc do krawędzi ściany. Bezgłośnie zaczerpnął tchu. Gwałtownie wychylił się, mierząc i oświetlając krótką przecznicę.

Struchlał.

Zamaskowany mężczyzna stał kilka metrów od niego. Za jego plecami była jedynie naga ściana. Znajdował się w ślepym zaułku. Deryło wycelował wprost w jego pierś.

– Na kolana!

Wrzask komisarza poniósł się echem, ale mężczyzna nie zareagował. Stał nieruchomo z rękoma założonymi z tyłu. Maskę odbijała światło latarki. Szklane oczy, skrząc się martwo, pozostawały niezmiennie nieruchome.

– Na glebę, chuju!

Mężczyzna jeszcze przez chwilę pozostał bez ruchu. Wreszcie opadł na kolana, cicho się śmiejąc.

– Nigdy sobie nie wybacysz. – Podniósł głowę, patrząc wprost na Deryłę. – Nigdy.

– Zamknij się!

W ułamku sekundy mężczyzna wyciągnął zza pleców nóż. Nim komisarz zdążył się

poruszyć, wbił go sobie w szyję. Krew momentalnie zbroczyła biel koloratki, a ciało upadło.

Deryło jednym susem znalazł się przy nim. Odrzucił na bok nóż i przyklęknął. Przyłożył dłoń, by sprawdzić, jak intensywny jest krwotok. W rytmie uderzeń serca z leżącego mężczyzny ulatywało życie. Jego nogi drżały, szurając na posadzce.

– To ja... – wycharczał, starając się nabrać tchu. – To ja miałem zostać Judaszem.

Kiedy Deryło wybiegł z pomieszczenia, pozostawił za sobą jęki wydobywające się z zakneblowanych ust. Magdalena Szus wyrwała się z wielogodzinnego letargu. Jej mózg ocknął się kilka minut wcześniej, dostrzegając szansę przeżycia. Teraz cała drżała, zaciskając co chwilę zęby.

Wsluchiwała się w odgłosy dobiegające z głębi korytarza. Kroki Deryły, a potem jego krzyk. Napięte mięśnie bolały, jakby każdy z nich ścisłano obcęgami. Mimo tego czuła ulgę. Nieważne, co się stanie. Jeszcze raz dostała nadzieję na ocalenie. Intensywnie wdychała powietrze. Płakała.

Nagle usłyszała dziwny dźwięk. Tuż obok siebie. Chwilę potem instynktownie wyczuła ruch.

To było niemożliwe. Umysł musiał sobie robić z niej żarty. Odwróciła głowę, mrużąc oczy.

Gdyby nie bezgraniczna ciemność, dostrzegłaby, że siedząca obok niej Patrycja wypluwa knebel i rozciąga zdrętwiałe usta. Widziałaby, że kilka sekund później wypuszcza z dłoni sznur i powoli wstaje. A następnie, zdejmując umazaną sztuczną krew kamizelkę kevlarową, niespiesznie kieruje się do wyjścia.

– koniec –